ROSJA BEZ PUTINA? POCZĄTEK KOŃCA

EPIDEMIA OTYŁOŚCI

BÓG SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

OSKARŻONY KRYSTIAN LUPA

Kraków 2 lipca 2023 nr 27 (3860)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Dlaczego boimy się rodzić

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Albatros travel

Laponia i św. Mikołaj

Program wycieczki: Dz.1 Przelot do Oulu i przejazd do Iso-Syöte. **Dz. 2** Iso-Syöte. Czas wolny na relaks lub zimowe aktywności na wycieczkach fakultatywnych: skutery śnieżne i psie zaprzęgi (dodatkowo płatne). **Dz. 3** Iso-Syöte – Rovaniemi. Wizyta w Ranua WildLife Park i czas wolny w Rovaniemi. **Dz. 4** Wizyta w wiosce św. Mikołaja i zaprzęgi reniferów. **Dz. 5** Transfer na lotnisko i powrót do Polski.

5 dni | Wylot z Warszawy 08/12 2023 | 7.298,-

WYKŁAD ONLINE

Klasyczna Tanzania
06/07/23 o godz. 17:00
Rejestracja na stronie
www.albatros.pl

Angkor – imperium w głębi dżungli

Wycieczka śladami dziedzictwa kulturowego Khmerów przez Tajlandię, Kambodżę i Wietnam, zwiedzanie m.in. słynnego Angkor Wat oraz rejs rzeką Mekong.

15 dni | Wyloty z Warszawy 09/11 2023, 18/01, 14/03, 27/04, 13/07 2024

od 11.998,-

Norwegia – przez góry i fiordy

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Bergen. **Dz. 2** Bergen. Spacer po nadbrzeżu, wspaniałe widoki z kolejki Fløibanen i targ rybny Fisketorvet. **Dz. 3** Bergen – Flåm. Podróż pociągiem do Voss i rejs statkiem po fiordzie Sognefjorden do Flåm. **Dz. 4** Flåm. Czas wolny lub możliwość skorzystania z wycieczki fakultatywnej. **Dz. 5** Flåm – Oslo. Przejazd koleją Flåmsbanen do Myrdal i dalej pociągiem do Oslo. **Dz.6** Oslo. Powrót do domu.

6 dni | Wyloty z Warszawy 05/10 2023, 29/03, 10/04 2023

od 4.298,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP14

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

KS. ADAM

Boniecki: *Brat Albert*

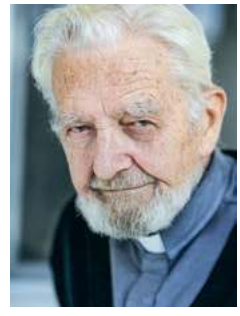

Zawsze mi się wydawało, że dużo o nim wiem. Ale teraz, po lekturze książki „Brat Albert. Biografia” Natalii Budzyńskiej, zdałem sobie sprawę, że moja wiedza była zawężona, bardzo niekompletna. Nie miałem pojęcia o znaczeniu czasu przed przełomem w życiu Adama Chmielowskiego. Nie wiedziałem, że tak długo (przeszło rok) przechodził przez dziwną chorobę, z której wyszedł nagle. I to chyba nie w wyniku leczenia, jako że to, przez co przechodził, nie było procesem dojrzewania do decyzji, która miała zdecydować o ostatecznym wyborze sposobu życia.

Byłem zawsze przekonany, że brat Albert całkowicie wtedy porzucił swoje zainteresowania malarskie. Tymczasem ich nie porzucił, lecz pozwolił, by na pierwszy plan weszły inne, religijne i po prostu ludzkie: troska o ludzi, którym całkowicie poświęcił swoje życie. Ale nie znaczy to, że malarstwo przestało go wręcz pasjonować. Odeszło tylko z pierwszego planu na dalszy. Nigdzie nie znalazłem też wzmianki o tym, żeby zerwał on z nałogiem palenia. Ten wątek w książce zaznaczony delikatnie, ale dobitnie przez zdjęcie na samym początku książki, które czyni go bliższym ludziom, z ich słabościami. Nikt w końcu nie jest doskonałym absolutnie, a brat Albert-palacz bliski jest wszystkim, którzy nałogu nie pokonali. Choć, dodajmy, nigdzie w książce nie ma też mowy o tym, by jego cela była spowita dymem z papierosów.

Biografia ta w książce Natalii Budzyńskiej pokazana jest we właściwych proporcjach. Połowa książki to dzieje Adama Chmielowskiego przed tym, jak stał się bratem Albertem. Sam ten proces przemiany również przedstawiony jest bez pośpiechu. Od ozdrowienia z dziwnej choroby – depresji czy czymkolwiek ona była – do przywdziania habitu upływa dobre pięć lat (sierpień 1882 – sierpień 1887). Budzyńska nie streszcza, nie skraca. Czyta wszystko, co o Chmielowskim zostało napisane, co on sam napisał, bada dokumenty, przyznaje, kiedy nie wie, bo dokumentów brak, wykorzystuje wszystko, co jest dostępne i wiarygodne u innych autorów, i może dlatego postać brata Alberta jest jeszcze bardziej zdumiewająca (a jednocześnie bardziej prawdziwa niż w innych opracowaniach).

Tak jak w części pierwszej tej blisko pięćsetstronicowej książki mamy opisy nie tylko życiowych perypetii powstańca, więźnia, uciekiniera, studenta, malarza, lecz nade wszystko dostajemy portret człowieka dziwnego, z dużą wiedzą teoretyczną, z talentem, a jednocześnie niezadowolonego ze swoich dzieł malarza – tak w części drugiej jesteśmy zmuszeni przebrnąć przez teologiczną lekturę, która określała życie zakonnika. Bez tych rozdziałów niczego nie będziemy rozumieli.

Myślę, że Bóg co jakiś czas (jak często, nie wiemy) daje nam takich dziwnych ludzi (aż ma się pokusę napisać: „proroków”), którzy o Jego zamiarach mówią wprost jako o czymś całkowicie oczywistym. Po tym można ich rozpoznać, że dotykają spraw w danym czasie najważniejszych. Brat Albert – oczywiście nie wiedząc o tym – był takim prorokiem dla ówczesnych czasów. Myślę, że każdy czas ma swoich proroków i prawdopodobnie nie są oni podobni do swoich poprzedników, bo każdy czas jest inny. Są znani, jak brat Albert, i – tak jak i jego – można ich nie zauważyć. Lecz ci, co zauważą i zareagują, będą wygranymi, bo odnajdą swój czas. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Epidemia otyłości
MAREK RABIJ
Gdyby to był koronawirus, już dawno mielibyśmy twardy lockdown. Ale to tylko otyłość. Mimo że cierpi na nią już co czwarty Polak, wciąż nie mamy nawet planu, jak poradzić sobie z tym problemem.

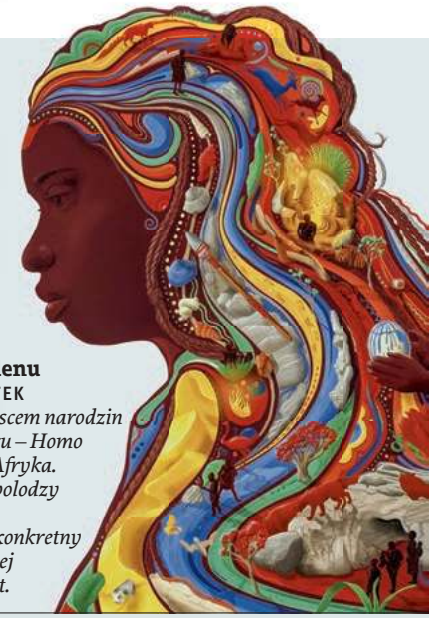

58 Powrót do Edenu
ŁUKASZ KWIATEK
Wiemy, że miejscem narodzin naszego gatunku – Homo sapiens – była Afryka. Ale paleoantropolodzy spierają się o to, czy chodzi o jej konkretny region, czy raczej o cały kontynent.

34 Na wieki wieków AI
ŁUKASZ OSTRUSZKA
Dalszy rozwój sztucznej inteligencji przemodeluje relacje społeczne, gospodarcze i system prawny. A co zrobi z naszymi Kościołami i z samą wiarą?

44 Plastikowy przypływ
PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII

46 Skąpany w odpadach
ROZMOWA Z ALLYM MITCHELLEM, NURKIEM I BIZNESMENEM

Osiem milionów ton plastiku trafia co roku do mórz i oceanów: to sieci rybackie, opony, saszetki po ketchupie, mikroplastik. Część z tych śmieci woda wyrzuca na brzeg.

76 Bug wie
ROZMOWA ZE STANISŁAWEM BAJEM, MALARZEM:
Zawsze jeżdżę w to samo miejsce. Ale ono za każdym razem wygląda inaczej. Rzeka zwalnia lub przyspiesza, chmury inaczej się układają. Bogactwo możliwości jest niewyczerpane.

62 Wymazywanie
DARIUSZ KOSIŃSKI
Lupa dawał swojej widowni poczucie niezwykłości i osobliwości. Ale tę publiczność stanowiła głównie dobrze sytuowana wielkomiejska klasa średnia. I to ona dzisiaj najsilniej go potępia.

JOANNA RUSINEK DLA „TP" // SAM FALCONER / EAST NEWS // MATERIAŁY PRASOWE OCEAN.PLASTIC.POTS // JACEK DOMIŃSKI / REPORTER // PIOTR PĘKALA // MATTHIAS SCHRADER / AP / EAST NEWS

6 Dzień, który wstrząsnął Rosją
ANNA ŁABUSZEWSKA

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Epidemia otyłości
MAREK RABIJ

26 Systemowa patodeweloperka
ROZMOWA Z ŁUKASZEM DROZDĄ, URBANISTĄ: *Wiedeń konsekwentnie buduje mieszkania komunalne*

29 Celujący
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Minister Czarnek zasłużył na świadectwo*

30 Zabawy z ogniem
PIOTR WÓJCIK: *Staliśmy się krajem absorbującym ogromną liczbę cudzoziemców. Popełniamy jednak te same błędy, co przed laty Zachód*

WIARA

34 Na wieki wieków AI
ŁUKASZ OSTRUSZKA

38 Kościół rebeliantów
DOMA MATEJKO: *Teologia wyzwolenia prowadziła niektórych do pracy w fawelach, a inni w jej imię zamieniali sutanny na karabin*

40 Człowiek, drapieżnik
ROZMOWA Z LEONARDEM BOFFEM, TEOLOGIEM: *Niektórzy ludzie Kościoła krzywo patrzą na teologię wyzwolenia*

42 Materia wątpliwa
MACIEJ MÜLLER: *Do wina dodano ekstraktu z czarnego bzu. Według biskupa wszystkie msze odprawione przy jego użyciu były nieważne*

ŚWIAT

44 Plastikowy przypływ
PATRYCJA BUKALSKA

TEMAT TYGODNIKA

PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

12 Dlaczego boimy się rodzić
ZUZANNA RADZIK
Embrion i płód wymagają obrony przed światem, w tym... przed matką. To zwycięstwo narracyjne zabija i okalecza kobiety.

16 Prokurator i relikwie
MAŁGORZATA SOLECKA
Błąd medyczny sprawił, że zmarła 33-letnia ciężarna – przekonują rządzący. Takie tłumaczenie nie wytrzymuje konfrontacji z faktami.

FELIETONY
33 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 ZUZANNA RADZIK
53 ELIZA KĄCKA **74** OLGA DRENDA
75 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

46 Skąpany w odpadach
ROZMOWA Z ALLYM MITCHELLEM

48 Japonia patrzy na wojnę w Europie
WOJCIECH KONOŃCZUK Z TOKIO: *Agresja Rosji na Ukrainę wywołała zmiany w polityce Japonii*

50 Coś jest na rzeczy
MARTYNA WASIUTA: *Konspirytualność łączy teorie spiskowe z alternatywną duchowością i rozczarowaniem polityką. Czy Czesi są na nią podatni?*

HISTORIA

54 Gdy ratuje morderca
ALEKSANDER R. MICHALAK: *Trujillo – odpowiedzialny za śmierć tysięcy Haitańczyków – okazał się wybawcą dla kilkuset Żydów*

NAUKA

58 Powrót do Edenu
ŁUKASZ KWIATEK

KULTURA

62 Wymazywanie
DARIUSZ KOSIŃSKI

66 Nakazane piosenki
ROBERT KASPRZYCKI: *Blond włosy, biała rubaszka, opaska z trójkolorową rosyjską flagą, krzyż na piersi i mikrofon w kieszeni. To Shaman w pieśni „My"*

69 Jak z bicza strzelił
SEBASTIAN SMOLIŃSKI: *80-letni Harrison Ford jest zachwycający w „Artefakcie przeznaczenia"*

72 Gwiezdny flirt
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Asteroid City"*

73 „Ja już wiem, kto Pan jest"
LEKTOR *o książce Adama Zagajewskiego „Najwyższy człowiek świata. O Józefie Czapskim"*

ZMYSŁY

76 Bug wie
ROZMOWA ZE STANISŁAWEM BAJEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Pucz Prigożyna: serwis specjalny
Dlaczego wagnerowcy się zbuntowali? Dlaczego odpuścili zdobycie Moskwy? Kim naprawdę jest Jewgienij Prigożyn? I wreszcie: co dalej?
TygodnikPowszechny.pl/pucz-prigozyna

Oceniamy ministra Czarnka
Szef resortu edukacji to partyjny prymus. Ale czy należy mu się świadectwo z paskiem? — oceny ministrowi wystawia **PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI** | powszech.net/czarnek

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

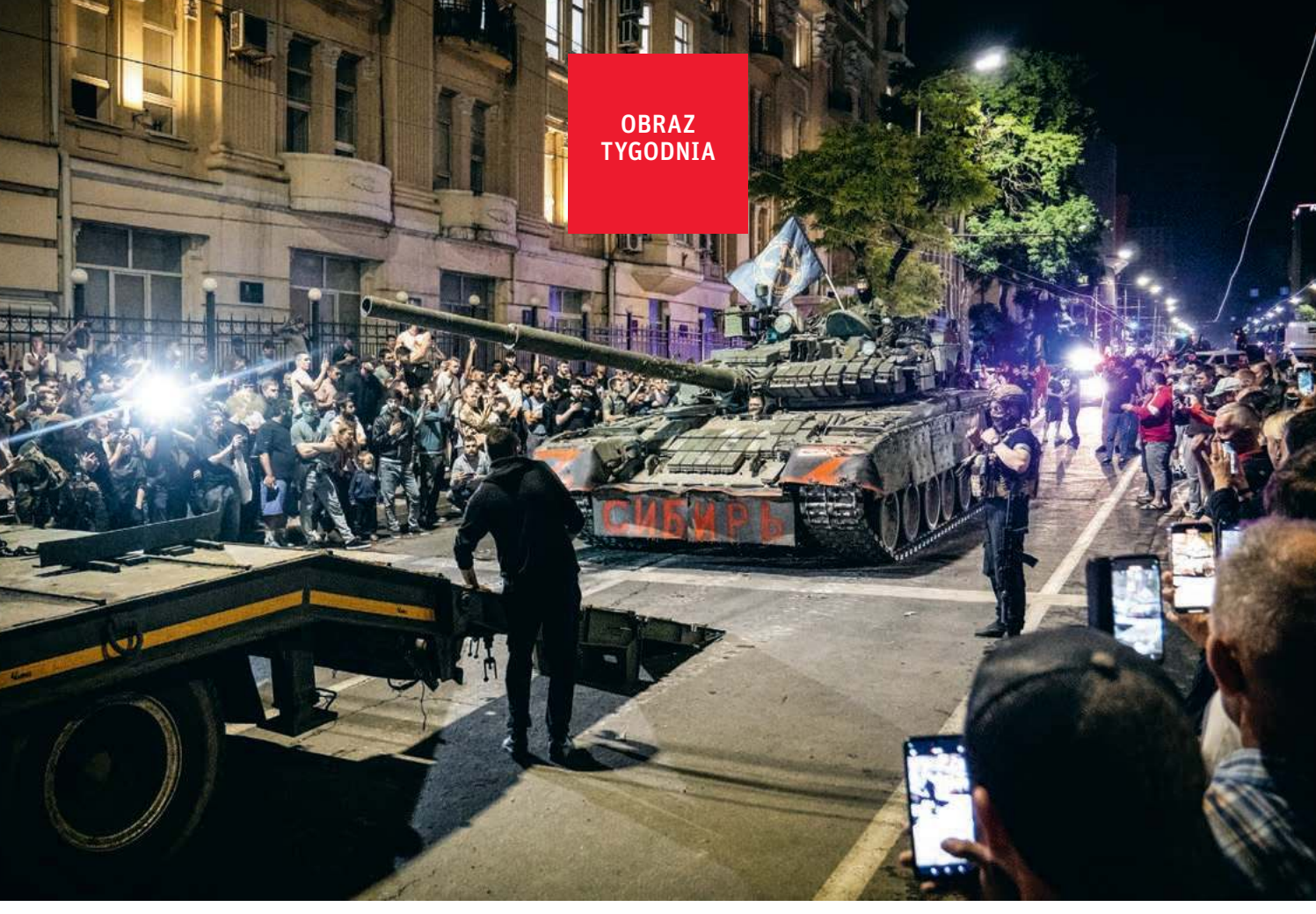

OBRAZ TYGODNIA

DZIEŃ, KTÓRY WSTRZĄSNĄŁ ROSJĄ

Czego za sprawą jednodniowego buntu Prigożyna dowiedzieliśmy się o tym kraju, o jego systemie władzy, o pozycji Putina? I co będzie dalej?

ANNA ŁABUSZEWSKA

POWYŻEJ:
W emocjonalnym orędziu Putin nazwał wagnerowców zdrajcami, którzy wbijają Rosji nóż w plecy. Tymczasem zwykli ludzie traktowali ich jak bohaterów. Rostów nad Donem, wieczorem 24 czerwca 2023 r.

W 24 godziny Rosja przeżyła jeden z najdziwniejszych epizodów najnowszej historii. W piątek 23 czerwca wieczorem prywatna firma wojskowa Grupa Wagnera pod wodzą Jewgienija Prigożyna weszła do Rostowa nad Donem, gdzie – nie napotkawszy oporu – przejęła kontrolę nad kluczowymi obiektami, w tym dowództwem Południowego Okręgu Wojskowego, po czym ruszyła w kierunku Moskwy. Prezydent Putin w orędziu nazwał wagnerowców zdrajcami i zapowiedział rozprawę. Tymczasem armia Prigożyna bez przeszkód dalej maszerowała na stolicę, a jej wódz hardo odrzucał oskarżenia prezydenta. Zwrot akcji nastąpił już kilka godzin później: gdy wagnerowcy byli 200 km od Moskwy, zostali przez swego watażkę zawróceni. Prigożyn ogłosił, że nie chce rozlewu krwi, dlatego przerywa marsz i kieruje swoich ludzi do miejsc stacjonowania. Ogłoszono, że Aleksandr Łukaszenka w porozumieniu z Putinem prowadził negocjacje z przywódcą wagnerowców i wyjednał zadowalające rozwiązanie: w zamian za wycofanie się Grupy Wagnera – gwarancje bezpieczeństwa dla najemników i ich wodza.

Te 24 godziny odsłoniły słabość systemu, pokazały bezradność władz w obliczu siły, a także strach i niepewność elit; w gruzach legły kolejne mity putinizmu.

Bunt był skutkiem decyzji podjętych przez Putina we wrześniu 2022 r. Wtedy to, po udanej ukraińskiej kontrofensywie, władze Rosji postanowiły rzucić na front także prywatne firmy wojskowe. Tym samym Putin złamał monopol państwa na przemoc. Eksperyment na pierwszym etapie się powiódł, armia ukraińska została

zatrzymana. Ale uzbrojeni i zorganizowani ludzie mogą skierować broń nie tylko w stronę wskazaną przez władze, ale też w stronę samej władzy. I tak się stało w chwili, gdy minister obrony Rosji podjął decyzję, że członkowie formacji ochotniczych i firm wojskowych, w tym wagnerowcy, muszą do 1 lipca podpisać kontrakty z ministerstwem. Prigożyn odparł, że nie zamierza oddawać swoich sokołów pod niezborną komendę generałów armii, która nie potrafi walczyć.

Można na tę sytuację popatrzeć także jako na walkę o biznes. Grupa Wagnera przynosiła Prigożynowi kokosy, wykonywanie przez wiele lat nieformalnych zleceń Kremla – w Afryce czy Syrii – dawało wymierne dochody. Prigożyn, który zaczął zbijać fortunę w czasach bandyckiego Petersburga lat 90. XX w., rozkaz ministra obrony odczytał jako zapowiedź wrogiego przejęcia swojej firmy. Na rzecz tej wersji przemawia fakt, że Prigożyn nie deklarował zamiaru obalenia Putina i objęcia władzy, lecz odsunięcie ministra. Gdy uzyskał gwarancje, że firma przetrwa, zarządził odwrót.

To tylko hipoteza. Nad wydarzeniami tych 24 godzin nadal unosi się mgła – i wiele pytań. Np. zastanawia, jak łatwo grupa uzbrojonych ludzi weszła w głąb terytorium Rosji. Prigożyn opanował Rostów, bez oporu ze strony armii, policji, FSB i Rosgwardii zajął kluczowe punkty miasta. Ludność zachowała się przyjaźnie: mieszkańcy trzaskali selfiki z wagnerowcami – tymi, których Putin parę godzin wcześniej nazwał zdrajcami – zapewniali ich o poparciu, a gdy ci się wycofywali, zgotowali im owację. Policję, wracającą potem na ulice, witali złowrogimi okrzykami. To sygnał, że nastroje odbiegają od oficjalnie podawanych wysokich wskaźników poparcia dla Kremla. Znamienne, że ani w Rostowie, ani w innych miastach, przez które jechały kolumny wagnerowców, ludność nie wyszła na ulice w obronie Putina.

Bunt obnażył więc i niewydolność władzy, i frustrację mundurowych oraz oczekiwania ludności. Dokąd sięga władza Putina, skoro kilka, może kilkanaście tysięcy uzbrojonych ludzi w parę godzin jest w stanie podważyć kontrolę władz w kilku obwodach i maszerować sobie setki kilometrów przez kraj?

Warto się przyjrzeć postawie elit. Niektórzy gubernatorzy zamieścili w mediach społecznościowych filmiki, w których zapewniali Putina o lojalności. Ale bez entuzjazmu – i nie wszyscy. Tak jak większość społeczeństwa, również urzędnicy mają zakodowane: lepiej się nie wychylać, gdy dzieje się coś dziwnego, lepiej przeczekać. To, że elity nie zapewniały, iż stoją murem za Putinem, osłabia prezydenta. Także to jest świadectwem kryzysu władzy.

Bunt pokazał też, jak w państwie Putina traktowane jest prawo. Po ugodzie z buntownikiem Kreml ogłosił, że sprawa karna (nawoływanie do zbrojnego buntu) zostaje umorzona. Czy kraj, który skazuje na kilkuletnie wyroki ludzi piszących na Facebooku o zbrodniach w Buczy, puści płazem pucz? Dotąd Putin nie wybaczał nielojalności; tych, których uznał za zdrajców, karał zgodnie ze swym kodeksem wyniesionym z KGB i bandyckiego Petersburga – nawet za granicą, polonem i nowiczokiem. A tu taka pobłażliwość? Otwarcie, na oczach kraju i świata? A może gwarancje bezpieczeństwa szybko okażą się nieaktualne?

Czy Putin zdoła wyjść z tego zakrętu? Na tym tle zwraca uwagę postać będąca dotąd w cieniu: Aleksiej Diumin, gubernator obwodu tulskiego, w przeszłości ochroniarz Putina, od lat wskazywany jako możliwy następca. Według nieoficjalnego przekazu to on negocjował z Prigożynem. Być może obserwujemy początek tranzytu władzy: najpierw Diumin obejmie ministerstwo obrony, a potem zostanie wystawiony przez „grupę trzymającą władzę" jako pretendent do najwyższego urzędu.

Na koniec: w trakcie walk wagnerowcy zestrzelili śmigłowce i samolot, zginęło 13 ludzi. To największe straty osobowe rosyjskiego lotnictwa w ciągu jednej doby od początku wojny w Ukrainie. Wygląda na to, że również za to nikt nie poniesie odpowiedzialności. Jaki to sygnał dla żołnierzy? ©

Tekst ukończono 26 czerwca o godz. 10.00.

Więcej na: **TygodnikPowszechny.pl/pucz-prigozyna**

Co dalej z wojną

WOJCIECH KONOŃCZUK

„Bunt Prigożyna" sprawił, że na powierzchnię wylały się liczne słabości reżimu Putina. Żadna szanująca się władza nie może sobie pozwolić, aby wielotysięczna uzbrojona po zęby grupa zajęła dwumilionowe miasta, zestrzeliła kilka wojskowych helikopterów i samolot i niezatrzymywana przemaszerowała przez część kraju. Sobotnie wystąpienie Putina pokazało jego strach. Prigożyn, który początkowo posiadał kremlowską „licencję", postanowił zerwać się ze smyczy. Trudno sobie wyobrazić, aby zrobił to bez cichego poparcia którejś z grup w elitach rządzących Rosją.

Porozumienie wynegocjowane za pośrednictwem Łukaszenki nie kończy kryzysu – największego w historii 23 lat rządów Putina. To jedynie pauza. Widać coraz więcej sygnałów postępującej destabilizacji i „desakralizacji" reżimu, choć próbuje on maskować swoje słabości. Dlatego Putin będzie chciał szybko pokazać siłę i zetrzeć negatywne wrażenie. Niezbędne mogą być nie tylko dymisje na szczytach władzy, ale też czystki, co może jeszcze bardziej zdestabilizować system.

Wątpliwe jest jednak, aby Putinowi udało się odzyskać inicjatywę. Znacznie bardziej prawdopodobne jest, że w Rosji zbliża się potężny reset systemu władzy. Nie da się przewidzieć, kiedy dokładnie się to wydarzy (raczej wcześniej niż później) i jak długo potrwa, ale gdy zatrzęsie Kremlem, konsekwencje będą poważne nie tylko dla Rosji.

Postępująca destabilizacja systemu oznacza, że Rosja będzie miała coraz większe trudności, aby prowadzić wojnę na Ukrainie.

Paradoksalnie to zresztą niezdolność do jej wygrania doprowadziła do tej destabilizacji. Wydaje się, że szeroko pojęta elita rządząca Rosją rozpoczęła przygotowywanie pozycji startowych do przyszłej walki o podział władzy. W tej sytuacji wojna zejdzie na plan dalszy, przestanie być priorytetem. Nie oznacza to jednak, że Ukraińcy mogą już odtrąbić sukces. Zagnany w kąt Putin może wygenerować jeszcze wiele problemów – nie przypadkiem Kijów właśnie ostrzega, że Rosja może sztucznie wywołać awarię elektrowni atomowej w Zaporożu.

Wszystko wskazuje jednak na to, że Putin zaczął wojnę, która koniec końców pozbawi go władzy. ©

Tekst ukończono 26 czerwca o godz. 9.00.

FRANK AUGSTEIN / AP / EAST NEWS

Ilu nas jest naprawdę

MAREK RABIJ

Czas wreszcie zmienić metody liczenia ludności, bo nie wiemy, ilu nas jest i gdzie tak naprawdę mieszkamy – postulują autorzy raportu przygotowanego przez Fundację im. Stefana Batorego we współpracy z Unią Metropolii Polskich im. Pawła Adamowicza.

Pomiar ludności w Polsce wciąż bazuje na prowadzonych co 10 lat spisach powszechnych, częstotliwość badania nie nadąża więc za tempem zmian cywilizacyjnych. Na dodatek oficjalne statystyki bazują na danych z systemu PESEL i deklaracjach meldunkowych. Ten ostatni system sprawdzał się w czasach PRL, kiedy komunistyczna władza egzekwowała ten obowiązek, dziś często lekceważony, choć formalnie niezniesiony. W rezultacie stałe lub tymczasowe zameldowanie ma aktualnie zaledwie 36,3 mln osób w Polsce. Rzeczywiste miejsce zamieszkania pozostałych – czy to obywateli polskich, czy też migrantów – pozostaje nieuchwytne dla oficjalnej analizy statystycznej. W efekcie nie uwzględnia się takich osób także w raportach, na podstawie których zapadają potem ważne decyzje administracyjne o wysokości subwencji oświatowej dla gmin czy o przydziale pieniędzy na duże projekty infrastrukturalne. Wreszcie – o przydziale mandatów przypadających poszczególnym okręgom w wyborach parlamentarnych.

Przykłady? Edukacja. Według danych z ostatniego Spisu Powszechnego w Polsce mieszkało w 2021 r. 5 049 405 osób w wieku 6-18 lat. W centralnym Systemie Informacji Oświatowej mamy tymczasem o 166 968 osób mniej, co oznacza prawdopodobnie, że część dzieci w wieku szkolnym przebywa za granicą, oficjalnie wciąż „mieszkając” w Polsce. Pomiędzy tymi dwiema bazami danych występują w dodatku znaczące dysproporcje na poziomie regionalnym. O ile dla województwa mazowieckiego są one właściwie statystycznie nieistotne (0,2 proc.), o tyle już w przypadku warmińsko-mazurskiego czy podkarpackiego różnice przekraczają aż 7 proc.

Postulatów z raportu nie można oczywiście czytać bez bieżącego kontekstu politycznego, jakim jest konflikt między rządem a dużymi miastami, w których PiS przegrywał ostatnie wybory lokalne. Efektem tych napięć jest specyficzna inżyniera finansowa obozu władzy, który ceduje na samorządy coraz więcej obowiązków bez zapewnienia im odpowiedniego finansowania. Gminy mają sobie radzić same – jeśli rządzi w nich opozycja. Te, których mieszkańcy głosują na partię rządzącą, mogą liczyć na hojniejsze finansowanie, także z funduszy specjalnych. ©℗

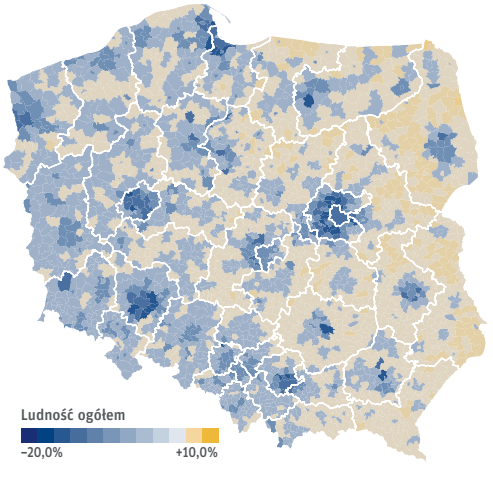

RÓŻNICA między liczbą osób zameldowanych na stałe a liczbą ludności według Spisu Powszechnego z 2021 r. Im ciemniejszy kolor, tym więcej osób ujętych w Spisie jako mieszkańcy danego obszaru nie posiada tam stałego meldunku. Rzeczywista liczba mieszkańców dużych polskich miast jest więc wyższa, niż wynika z danych meldunkowych naszego państwa.

Z RAPORTU „CZY WIEMY, ILE NAS JEST?” © UNIA METROPOLII POLSKICH I FUNDACJA BATOREGO, 2023 // CC BY 3.0 PL

Trzecie drogi

JAROSŁAW FLIS

Bunt Prigożyna tylko częściowo odciągnął uwagę od sobotnich konwencji i wieców pięciu list, które w świetle ostatnich sondaży będą się liczyć w jesiennych wyborach. Dwie największe partie zajmowały się głównie sobą nawzajem, ale dla trzech pozostałych krążący po mediach duch duopolu również był kluczowym punktem odniesienia. Różniły się podejściem do niego tak, jak różnią się ich własne problemy.

Lewica – trzecia siła w ostatnich wyborach – jest dziś w sondażach najsłabsza z całej piątki. Szukając nadziei na umocnienie, najwyraźniej postanowiła postawić wszystko na kobiety. To bez wątpienia wyróżniająca się strategia w sytuacji, gdy liderami wszystkich pozostałych partii są mężczyźni. Rzecz tylko w tym, że formalnie rzecz biorąc, Lewicą też kieruje „trzech tenorów”. Czy w trakcie kampanii, w szczególności układając listy wyborcze, da się zachować tu spójność przekazu? Czy naprawdę wszyscy po lewej stronie chcą podziękować „starszym panom w garniturach”?

Maskulinizacją nie przejmuje się Konfederacja, która w najnowszych sondażach jest trzecią siłą.

Ona również jest trójgłowym smokiem. Choć widoczne jest antysystemowe zbliżenie hiperliberałów Mentzena i narodowców Bosaka, to jednak na konwencji nie dało się schować trzeciego, „dziaderskiego” nurtu, uosabianego przez postaci takie jak Korwin-Mikke i Braun. Ich wystąpienia są co prawda młodzieńczo odjechane, lecz to właśnie wskazuje na głębszy problem Konfederacji. Polityka to jednak nie tylko publicystyka. „PiS-PO jedno zło” dobrze się skanduje, lecz to hasło nie rozwiewa wątpliwości, czy głos na tę „trzecią siłę” jest głosem za czy przeciw kontynuacji obecnego rządu.

Nie ma takich wątpliwości w przypadku tytułowej Trzeciej Drogi – chyba nie bardzo ma sens sugerowanie równego jej dystansu do dwóch głównych dróg. Kluczowe jest tu ustawienie się w roli „dobrego gliny” i politycznego Sancho Pansy, który chce troszczyć się o bardziej przyziemne sprawy i nie ma ochoty na starcia z wiatrakami. Lecz głównym problemem nowego aliansu jest to, czy ma sens promowanie nowej nazwy, gdy obie stare są od niej znacznie lepsze. Ludowcy i Hołownia to marki może nie wiodące, lecz dobrze już znane. Dalsze losy nowego szyldu to poważny test na sensowność tego kompromisu i kluczowy czynnik powyborczego układu sił. ©

NA PUNKTY

WIELKI SUKCES
„Grupka politycznych hejterów próbowała zakłócić otwarcie Igrzysk Europejskich" – skomentował w mediach społecznościowych minister aktywów państwowych oraz pełnomocnik rządu ds. wspomnianych igrzysk Jacek Sasin po tym, jak w czasie ceremonii został wygwizdany. Z innym fragmentem wpisu, w którym nazwał tę modelowo nieudaną imprezę „wielkim organizacyjnym sukcesem Polski", Sasin mógłby nawet w Igrzyskach Europejskich wystartować, gdyby stworzono dlań jakąś specjalną dyscyplinę, np. „kuriozalne diagnozy".

SUKCES DO PRZERWY
Wtedy konkurowałby z wcześniejszym o kilka dni występem piłkarza Jana Bednarka. „Myśleliśmy, że ten mecz dogra się sam do końca" – stwierdził reprezentant Polski po przegranym z Mołdawią spotkaniu, w którym grał do samego końca. Polacy do przerwy wygrywali 2:0, ale ostatecznie przegrali 2:3. Mołdawia w rankingu FIFA sklasyfikowana była do niedawna na 171. miejscu, uznając wyższość m.in. Fidżi, Barbadosu i Botswany.

PORAŻKA PO PRZERWIE
W rywalizację z Sasinem i Bednarkiem włączył się w weekend poseł Konfederacji Grzegorz Braun, którego koledzy – dbający o wizerunek partii zajmującej się głównie ekonomiczną wolnością – nie zdołali tym razem upilnować. Braun na konwencji partii straszył: Żydami, Niemcami, dewiantami, eurokołchozem, segregacją sanitarną, a także banderyzacją Polski. Igrzyska Europejskie potrwają do 2 lipca. ©℗

Indie i USA: sojusz z rozsądku

WOJCIECH JAGIELSKI

Podejmując po królewsku indyjskiego premiera Narendrę Modiego (na zdjęciu), prezydent Joe Biden powiedział, że przymierze Indii i USA zaważy na tym, jak będzie wyglądał świat w XXI wieku.

Indie, kraj obecnie najludniejszy na świecie, atomowa i gospodarcza potęga, praktykująca dodatkowo demokrację, na początku tego stulecia dołączyły do grona światowych mocarstw. Modi uchodzi za guru światowej prawicy, tej wrogiej liberalnej demokracji i przeciwstawiającej jej tzw. demokrację suwerenną. Zanim w 2014 r. objął władzę, na Zachodzie miano go za podżegacza religijnych waśni. W 2005 r. Amerykanie odmówili mu nawet wizy wjazdowej. Odkąd jednak rządzi Indiami, odwiedza Stany i – jako jedyny obok Churchilla, Mandeli i Netanjahu zagraniczny przywódca – przemawiał kilkakrotnie w Kongresie. Z Trumpem łączyło Modiego polityczne pokrewieństwo. Z Bidenem – jedynie strategiczne interesy USA i Indii, które potrzebują siebie nawzajem, by przeciwstawić się Chinom w regionie Pacyfiku. Amerykanie próbują też odwieść Indie od przymierza z ich starą przyjaciółką Rosją, która usiłuje podważyć postzimnowojenny porządek.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Na Pacyfiku Indie chętnie zawarły sojusz ze Stanami oraz ich sojusznikami Japonią i Australią. W Europie jednak zachowują wstrzemięźliwość, a nawet należą z Rosją, Chinami, Brazylią i RPA do grupy BRICS – bractwa kwestionującego dominację Zachodu nad światem. Dla Zachodu pozostają jednak mocarstwem, którego nie chce się mieć przeciw sobie, więc nie wypomina się im znajomości ani niedostatków demokracji. Tylko nieco mniej łagodnie traktuje się Turcję, Arabię Saudyjską, Izrael czy RPA, innych pożądanych sojuszników w światowej rozgrywce.

Biden podkreśla jednak ważną różnicę między przymierzami a wspólnotą: tą drugą, powiada, czynią nas wspólnie wyznawane wartości, a przymierza zawiązuje się w imię wspólnych celów. ©℗

Do jedności bez pośpiechu

MACIEJ MÜLLER

Długa droga pokonywana małymi krokami – tak wygląda prowadzony od 1980 r. teologiczny dialog katolicko-prawosławny. Właśnie wykonano kolejny krok: międzynarodowa komisja obradująca w Aleksandrii nieco posunęła do przodu refleksję nad prymatem i synodalnością w Kościele. Sposób administrowania Kościołem stanowi jedną z najistotniejszych barier dzielących prawosławie i katolicyzm. W 1054 r. legaci papiescy i patriarcha Konstantynopola obrzucili się nawzajem ekskomunikami. Tradycyjnie od tego czasu datuje się tzw. wielką schizmę wschodnią, jednak rozbrat Kościołów był procesem postępującym już od bardzo dawna. Spierano się m. in. o *filioque* w wyznaniu wiary, o rodzaj chleba stosowanego w Eucharystii – i o uzurpowanie sobie przez papiestwo przewodniej roli w chrześcijaństwie.

Dokument z Aleksandrii głosi m.in., że czym innym jest posługa papieża w Kościele łacińskim, a czym innym mogłaby być w odniesieniu do komunii wszystkich Kościołów. Brzmi to jak propozycja odpowiedzi na wezwanie Jana Pawła II, który w encyklice „Ut unum sint" z 1995 r., stanowiącej kamień milowy dialogu ekumenicznego, zachęcał do szukania nowych form prymatu.

W Aleksandrii wykonano krok dowodzący, że dialog z prawosławiem trwa i przynosi owoce – w odróżnieniu od dialogu z protestantyzmem, który od ogłoszenia w 2000 r. watykańskiej deklaracji „Dominus Iesus", odmawiającej wspólnotom wyrosłym z reformacji miana Kościołów, właściwie tkwi w miejscu. ©℗

ZUZANA GOGOVA / AFP / EAST NEWS

Čaputová ma dość

Gdy w 2019 r. wygrała wybory prezydenckie na Słowacji, była symbolem nadziei. Teraz Zuzana Čaputová ogłosiła, że za rok nie będzie się ubiegać o drugą kadencję. „Musiałam ocenić moje siły na kolejne, licząc od dziś, potencjalne sześć lat. Po bardzo szczerym namyśle wiem, że tych sił by mi nie starczyło" – wyjaśniła. Dodała, że minione cztery lata były najtrudniejsze w jej życiu: pandemia, wojna w Ukrainie, kryzys energetyczny, inflacja. I brutalne ataki na nią i jej rodzinę, łącznie z groźbami śmierci.

Čaputová rezygnuje w chwili, gdy prowadzi w rankingach zaufania. Tymczasem we wrześniu kraj czekają przedterminowe wybory parlamentarne. Ich zwycięzca będzie piątym szefem rządu za kadencji Čaputovej, co pokazuje, jak rozchwiany jest kraj. Na powrót do władzy liczy były premier Robert Fico, zmuszony do dymisji w 2018 r. po zabójstwie dziennikarza Jána Kuciaka. Wynik wyborów może przesądzić o zmianie słowackiej polityki zagranicznej, m.in. wobec Ukrainy, i pchnąć ją w stronę modelu rządów Orbána.

Decyzja niepokoi więc Słowaków liberalnych i proeuropejskich. Paradoksalnie może jednak stać się katalizatorem: sukces Čaputovej w 2019 r. był odpowiedzią na potrzebę zmian w kraju zmęczonym korupcją i brutalizacją polityki. Kandydatka – prawniczka zaangażowana społecznie, szukająca porozumienia – była nową jakością. Samo jej zwycięstwo nie przyniosło jednak takiej zmiany, jakiej oczekiwano. Jej wycofanie się może zmobilizować tych, którzy na nią liczyli, by o zmianę zawalczyli przy urnach. „Los Słowacji nie zależy od jednego człowieka" – mówiła Čaputová.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

RENATA DURDA, „NIEBIESKA LINIA":

Nawet najlepsze przepisy antyprzemocowe zawiodą, jeśli będą realizowane przez niekompetentnych ludzi

RAFAŁ GUZ / PAP

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: W zeszłym tygodniu zaczęła obowiązywać uchwalona kilka miesięcy temu nowelizacja ustawy o przeciwdziałaniu przemocy. Co się zmieniło?

RENATA DURDA: Po pierwsze, samo nazewnictwo: wcześniej była mowa o przemocy w rodzinie, teraz – o przemocy domowej. W obecnym kontekście politycznym nie sposób tego czytać inaczej niż jako próbę zdjęcia z rodziny pewnego odium.

To korekta symboliczna, ale jest też zmiana realna.

Skonsumowano wreszcie dwunastoletnie doświadczenie w realizowaniu procedury „Niebieska Karta". Ta pomocowa co do zasady, a nie karna procedura wszczynana jest przez rozmaite instytucje, gdy powezmą one podejrzenie, że w danej rodzinie stosowana jest przemoc. Zaczyna się wtedy interdyscyplinarna praca – i na rzecz sprawców, i w stosunku do pokrzywdzonych – która ma tę przemoc zatrzymać.

Zmian jest kilka, począwszy od przyjaźniejszych formularzy, przez usprawnienie samej procedury, która teraz ma się zaczynać od dokładnej diagnozy rodzinnej sytuacji, żeby nie strzelać z armaty do wróbla, aż po wprowadzenie restrykcji wobec osób podejrzewanych o stosowanie przemocy, które teraz będą obligowane, pod groźbą konsekwencji, do pewnych działań. Nowelizacja zmusi też odpowiedzialne za przeciwdziałanie przemocy samorządy powiatowe, by prowadziły na swoim terenie programy antyprzemocowe, co obecnie robi tylko około połowa z nich.

Zmienia się prawo, ale zjawisko przemocy jest nadal częste: w 2022 r. wypełniono ponad 61 tys. formularzy „NK", a w stosunku do ponad 71 tys. Polaków i Polek powzięto podejrzenie, że zostali pokrzywdzeni. Czego jeszcze brakuje, by z tym zjawiskiem walczyć skuteczniej?

Inwestowania w kompetencje ludzi. Trzeba lepiej szkolić tych, którzy pracują w terenie: dzielnicowych, asystentów rodziny, pracowników socjalnych. I efektywniej kształcić kandydatów do zawodów takich jak wyżej wymienione, ale też pedagogów czy nauczycieli. Nawet najlepsze przepisy i procedury zawiodą, jeśli będą realizowane przez niekompetentnych ludzi. ©℗

RENATA DURDA *jest kierowniczką Pogotowia dla Ofiar Przemocy w Rodzinie „Niebieska Linia", superwizorką i specjalistką ds. przeciwdziałania przemocy.*

MACIEJ KUROŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

„Marsz sprawiedliwości" po śmierci ośmioletniego Kamila. Częstochowa, 14 maja 2023 r.

Udziały w dziele – czyli kup sobie Bacona

FRANK AUGSTEIN / AP / EAST NEWS

Portrety George'a Dyera pędzla Francisa Bacona w galerii Christie's w Londynie. Luty 2017 r.

RYNEK SZTUKI ▪ Równo dziesięć lat temu irlandzki artysta Francis Bacon stał się najdroższym malarzem świata. Jego tryptyk „Trzy studia do portretu Luciana Freuda" (1969) za 142 mln dolarów kupiła Elaine Wynn, amerykańska miliarderka, właścicielka kasyn w Las Vegas. Teraz nie trzeba być bogaczem, by stać się właścicielem innego tryptyku Bacona, „Trzech studiów do portretu George'a Dyera" (1963), mimo że wycenia się go na 55 mln dolarów. Wszystko za sprawą firmy Artex, która w lipcu, po raz pierwszy w historii, zaoferuje dzieło sztuki jako papiery wartościowe. Jeden udział będzie kosztował 100 dolarów.

Artex reklamuje taką formę sprzedaży obrazu jako „demokratyzację elitarnej sztuki". W rzeczywistości sztuka powstała po 1945 r. jest po prostu znakomitą i pewną inwestycją – przynosi dwa, a nawet trzy razy większy zarobek niż inwestycje w złoto, amerykańskie obligacje czy nieruchomości.

Sztuka jako kapitał ma jednak ograniczenia, np. nie da się jej szybko upłynnić. Obraz oferowany jako papiery wartościowe rozwiązuje ten problem. Kolejną zaletą – z punktu widzenia inwestora – są znacznie mniej restrykcyjne regulacje dotyczące sztuki jako inwestycji finansowej. Dodatkowo Artex pomija cieszące się oligopolistyczną pozycją domy aukcyjne, pobierające wysokie prowizje, w przypadku arcydzieł liczone w dziesiątkach milionów dolarów. Obraz będzie jednak narażony na typowe dla takiej oferty giełdowej zagrożenia, jak wrogie przejęcie (na przykład przez zmotywowanego miliardera) po potajemnym wykupie udziałów. W ciągu najbliższych miesięcy Artex planuje wprowadzić na rynek inne dzieła sztuki, warte ponad miliard dolarów.

Firma obiecuje, że obraz Bacona będzie wystawiany w muzeum, więc nie zostanie ukryty przed światem w sejfie jakiegoś miliardera. A gdzie wisiał obraz Elaine Wynn? W niedużym muzeum w Portland. Skąd arcydzieło w skromnej placówce? Kupując arcydzieła, płaci się wysoki podatek. Chyba że właściciel zdecyduje się wypożyczyć na kilka tygodni obraz jakiejś społecznej instytucji w stanie przychylnym ulgom podatkowym (ale innym niż ten, w którym mieszka właściciel) – wtedy podatku płacić nie trzeba. Media spekulowały, że Wynn mogła dzięki temu zaoszczędzić nawet 11 milionów dolarów. ©℗ PATRYK STANIK

Źródła: „Wall Street Journal", „New York Times"

Ptasia grypa, ludzie i koty: co już wiemy?

ZDROWIE ▪ Pojedyncze przypadki śmierci kotów domowych odnotowano w ostatnich tygodniach w różnych częściach Polski. Następowała po krótkiej chorobie atakującej wiele narządów – głównie układ oddechowy, pokarmowy i krwionośny. Pierwsze wyniki badań z kilku miast, jak podał w poniedziałek Główny Inspektorat Weterynarii (GIW), wskazują, że przyczyną jest zakażenie wirusem grypy, szczepem H5N1, znanym przede wszystkim jako wirus ptasiej grypy.

O tym, że może on wywoływać infekcje u kotów, wiemy od dwóch dekad. Pod koniec 2003 r. wybuchła epidemia ptasiej grypy w Azji, która przetrzebiła stada drobiu i dzikich zwierząt – raport Światowej Organizacji Zdrowia z 2005 r. mówił o stu milionach martwych ptaków. Odnotowano także przypadki zakażenia u ludzi – bardzo rzadkie, ale przebieg choroby był gwałtowny. Do wiosny 2005 r. w Azji Południowo-Wschodniej spośród 89 pacjentów, u których potwierdzono zakażenie, zmarło aż 52. Służby weterynaryjne informowały wówczas także o infekcjach i zgonach wśród kotów, a Thijs Kuiken z Erasmus Medical Center w Rotterdamie wraz ze współpracownikami potwierdził eksperymentalnie, że koty mogą się zarażać tym samym szczepem wirusa po zjedzeniu mięsa chorych kurczaków i przenosić chorobę między sobą. Jak odnotowali badacze, zwiększa to ryzyko, że w przyszłości wirus otworzy sobie nową drogę do infekcji ludzi – właśnie poprzez koty.

W kolejnych latach w literaturze naukowej odnotowano infekcje ptasią grypą u ludzi, kotów oraz innych ssaków, m.in. psów, jednak skala zjawiska była marginalna. Również teraz pojawiają się uspokajające głosy – m.in. prof. Tadeusz Frymus z SGGW przekonywał na Facebooku, że lekarze weterynarii nie zaobserwowali dotąd sygnałów świadczących o rozwijającej się epidemii. Możliwe więc, że nie doszło do przełomowych mutacji u wirusa, a lokalne zakażenia występują u kotów, które polowały na chore ptaki. Choć to potwierdzić będą mogły dopiero dalsze badania. Na razie GIW rekomenduje ostrożność, higienę i utrzymywanie kotów w domach, bez kontaktu z ptakami i dzikimi zwierzętami. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TP"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – **www.tokfm.pl**

TEMAT TYGODNIKA

DLACZEGO BOIMY SIĘ RODZIĆ

W centrum stoją embrion i płód, wymagające bezwzględnej obrony przed zagrażającym światem, w tym... przed matką. To zwycięstwo narracyjne zabija i okalecza kobiety.

ZUZANNA RADZIK

Jej zdjęcie w kolorze wydrukowałam sobie w liceum. Błogosławiona Joanna Beretta Molla przyciągała mnie tym, że nie była kimś z odległej przeszłości. Siedziała roześmiana na śniegu, w czerwonej kurtce, przytulona do męża. Albo na tle gór, tuląc trójkę dzieci. Patrzyła na mnie z tych zdjęć prawdziwa współczesna kobieta – żona, matka, lekarka – i jednocześnie święta. Kochała swoją pracę, lubiła wycieczki, angażowała się społecznie, miała prawo jazdy. Nie umknęło mi wtedy, jaki był główny powód jej świętości, ale niewiele z tego rozumiałam.

Kwestię dostępności aborcji w późnych latach 90., gdy o tym problemie usłyszałam, cementował tzw. kompromis, a ja niewiele wiedziałam o seksualności i prawach reprodukcyjnych. A na pewno nie bardzo rozumiałam, jak to miałoby się odnosić do mnie. Wychowana przez polską szkołę na ideach składania życia na ołtarzu ojczyzny, przegapiłam edukację seksualną, bo miałam zapalenie oskrzeli. Więc łykałam oddanie życia za córkę przez Berettę Mollę bez zastanowienia. To była jeszcze jedna opowieść o tym, że najszlachetniej jest umrzeć.

Heroiczność cnót

Gdy umierała, Joanna Beretta Molla miała 39 lat i była matką czwórki dzieci – sześcio-, pięcio-, trzyletniego i urodzonej tydzień wcześniej córki. Pod koniec drugiego miesiąca czwartej ciąży dowiedziała się, że ma włókniaka, ale nie zdecydowała się na inwazyjne leczenie, które wiązałoby się z aborcją. Zmarła tydzień po porodzie: zabiło ją zapalenie otrzewnej. Rezygnacja z leczenia była jej świadomą i wolną decyzją, do której miała prawo.

Błogosławioną ogłosił ją Jan Paweł II w 1994 r. Z tej okazji w Mediolanie wybito medal pamiątkowy z napisem: „Ofiarowała swoje życie, aby nie pogwałcić tajemnicy godności życia ludzkiego". 10 lat później, z okazji Roku Rodziny, ten sam papież ogłosił Joannę świętą, mówiąc: „Uwieńczeniem życia Joanny Beretty Molli, która była najpierw wzorową studentką, potem aktywnie zaangażowała się w działalność wspólnoty kościelnej oraz została szczęśliwą żoną i matką, stało się złożenie ofiary z siebie, by mogło żyć dziecko, które nosiła w łonie i które dzisiaj jest tutaj z nami! Jako chirurg była w pełni świadoma grożących jej konsekwencji, lecz nie cofnęła się przed ofiarą, potwierdzając w ten sposób heroiczność swych cnót".

Gdzie jest Ewangelia

Dziś sama jestem w wieku, w którym Joanna zdecydowała się odmówić leczenia, i czytam o tej świętej swojego dzieciństwa z dreszczem przerażenia. Kobieta, która zdecydowała się umrzeć, jest patronką kobiet w ciąży, kobiet w trudnej ciąży i przeżywających trudności w oczekiwaniu na narodziny dziecka. Jakby bycie w ciąży w Polsce było jeszcze niewystarczająco przerażające! Jakby kobiety z patologią ciąży zagrażającej ich życiu albo noszące pod sercem terminalnie chory płód potrzebowały patronki, której postawa mówi: płód jest ważniejszy od twojego życia. ↦

PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

↦ Pod koniec drugiego miesiąca ciąży, gdy Beretta Molla odmówiła leczenia, embrion właśnie staje się płodem, ma parę milimetrów i dopiero zaczyna przypominać kształtem coś innego niż maleńkiego konika morskiego. Zatem mój Kościół pochwala, żebym w takiej sytuacji wybrała nie siebie, tylko te kilka milimetrów potencjału nowego życia. Wszystko się we mnie buntuje, gdy o tym myślę.

Oczywiście Kościół nie zmusza do podobnej decyzji, nie byłaby ona grzechem, tylko dopuszczalnym ratowaniem mojego życia. Ale szlachetniej byłoby postąpić inaczej, „ewangelicznie". Naśladując oddającego swoje życie Chrystusa. „Panie Jezu, [Joanna] na Twój wzór i ze względu na miłość ofiarowała samą siebie, rodząc nowe życie" – głosi modlitwa za wstawiennictwem Beretty Molli polecana na stronach parafii, w których jej kult jest żywy.

Pod koniec tłumaczyła mężowi, jaka jest jej wola: „Pedro! Jeśli będziecie musieli wybierać między mną a dzieckiem, nie wahajcie się: wybierzcie dziecko, żądam, ocalcie je! Czynię wolę Boga, i Bóg roztoczy opiekę nad moimi dziećmi". Wdowiec po latach tłumaczył motywację żony mówiąc: „Aby zrozumieć jej decyzję, trzeba pamiętać o jej głębokim przeświadczeniu jako matki i jako lekarza, że dziecko, które w sobie nosiła, było istotą, która miała takie same prawa jak pozostałe dzieci, chociaż od jego poczęcia upłynęły zaledwie dwa miesiące".

Są kobiety, także niewierzące, które tak jak ona decydują się narazić życie, nie podejmując w ciąży inwazyjnego leczenia. To ich wybór. To, co było jej osobistą decyzją w konkretnej sytuacji, Kościół postanowił wynieść na ołtarze. Zatem tak trzeba, tak byłoby najlepiej, to jest heroizm i cnota.

Znaczek

Jan Paweł II zachęcał przyjaciółkę rodziny i propagatorkę kultu Beretty Molli, by rozwoziła jej relikwie po całym świecie. W Polsce znajdują się w wielu parafiach i kaplicach. Już w 2004 r. przemyskie wydanie tygodnika „Niedziela" opisywało wprowadzenie relikwii świętej do kaplicy szpitalnej w Brzozowie. Kapelan szpitala ks. Stanisław Walter wyraził ogromną radość z faktu, że ta współczesna patronka „pozostanie w kaplicy pw. Świętej Rodziny i będzie (...) jako matka – obrończynią życia, składającą świadomą ofiarę za życie swego dziecka, a jako lekarka – wzorem pełnienia służby dla chorych braci w Chrystusie". Wiele więcej wprowadzeń relikwii Joanny miało miejsce w pierwszych latach po jej kanonizacji.

> To, czy Kościół jest mój i innych kobiet, nie wydaje się wobec śmierci w polskich szpitalach najpilniejszym pytaniem. Być może jednak wskazuje na jądro problemu.

Kult świętej zyskał ostatnio państwowy patronat. Poczta Polska w 2022 r. wydała 100 tys. sztuk znaczka pocztowego ze św. Joanną, a wiceprezes Wiesław Włodek stwierdził, że takie osoby „pokazują współczesnemu człowiekowi, że w zwykłym życiu można dokonywać niezwykłych czynów (...). Chciała po prostu, by jej dziecko żyło, bo każdemu życiu należy się szacunek, i żadna cena nie była dla niej zbyt wysoka, by to życie zachować. (...) Być może ta emisja (...) doda odwagi matkom, które oczekując dziecka przeżywają wielkie rozterki".

Poczta Polska jest organem do politycznych zleceń, a jej placówki – sklepikiem z dewocjonaliami. Aborcja jest w Polsce w zasadzie legalnie niedostępna, nawet w drastycznych przypadkach, więc ciężarnym „w rozterce" można zaproponować na pociechę znaczek pocztowy ze świętą. Przesłanie brzmi: lepiej jest poświęcić swoje życie, niż przerwać ciążę.

Sen Kościoła

Kult Joanny Beretty Molli jest promocją macierzyńskiego poświęcenia, również za cenę własnego życia. Oczywiście święta to tylko symbol, *poster girl* sporu o aborcję toczonego od ponad 30 lat. Dystrybucja relikwii, znaczków, kult w parafiach, banery do zakupienia i powieszenia w kościołach – to argumenty tego sporu. Symboliczne, ale drążące skałę. Kościół oficjalnie nie mówi, że masz oddać życie za płód. Możesz wybrać swoje zdrowie i życie. Niemniej: szlachetnie jest swoje życie co najmniej zaryzykować, poczekać do ostatniej chwili. Jeśli chcesz, żeby potraktowano cię priorytetowo, jesteś egoistką.

Poza tym już nie musisz decydować jak Joanna: zrobią to za ciebie lekarze. Ta narracyjna rama działa w taki sposób, że choć prawo wskazuje na zagrożenie życia i zdrowia jako przesłankę do aborcji, to co i rusz się okazuje, że medycy czekają sparaliżowani do ostatniej chwili. Czekają w sytuacjach, w których przerwanie ciąży i ratowanie życia kobiety nie byłoby uznane ani za bezprawie, ani za grzech. Czemu więc? Czy dlatego, że są fundamentalnie niedouczeni, czy może wygrywa w nich siła opowieści o niższości życia matki, o płodzie stawianym w centrum uwagi i o wyższości poświęcenia? Polska stała się niemal spełnionym snem Kościoła o tym, jak widziałby kształt prawa aborcyjnego.

Warto się przyjrzeć, do czego prowadzi taka teologia moralna wpisana w praktykę państwowych szpitali. W centrum tej opowieści stoją embrion i płód, wymagające bezwzględnej obrony przed zagrażającym światem. Również przed zagrażającą matką. Matką, która wolałaby wybrać swoje życie lub zdrowie. To zwycięstwo narracyjne zabija i okalecza kobiety.

Przybywa za to męczennic nie z własnej woli, męczennic teologii nazywanej obroną życia. Pierwszą, której imię i nazwisko znacie, była Alicja Tysiąc. Przed dwudziestu laty jako matka dwójki małych dzieci zaszła w nieplanowaną ciążę, która groziła jej utratą wzroku i pęknięciem macicy. Potwierdzili to okuliści, odmawiając jednak wydania opinii na piśmie. Gdy w końcu taką uzyskała, lekarz po krótkiej rozmowie podarł zaświadczenie i kazał rodzić. Niemal całkowicie straciła wzrok. Chciała domagać się sprawiedliwości, ale po latach umorzeń i ignorowania problemu doczekała się jej dopiero z Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Upokarzana i lżona przez 20 lat, złamana psychicznie. Kościelne media pisały, że otrzymała odszkodowanie za to, że nie pozwolono jej zabić własnego dziecka.

Nie da się nie myśleć, że to mój Kościół zbudował opowieść, która paraliżuje reakcje lekarzy. Pisząc „mój" poczułam wahanie. To jakieś samooszukiwanie się, że moje jest coś, co przez dwa tysiąclecia szło ramię w ramię z patriarchatem. Ufnie mówię „mój", bo co? Bo od kilkudziesięciu lat, skoro już wywalczyłyśmy sobie jakieś prawa, łaskawie bierze nas pod uwagę?

„Mój", choć kobiety nie piszą jego teologii? „Mój", bo rewolucyjnym gestem jest dopuszczenie przedstawicielki naszej płci (choć nie jest pewne, czy przedstawicielki naszych spraw i praw) do głosowania na synodzie? „Mój", bo najbardziej interesuje go moja seksualność, macica i czy wywiążę się z obowiązków cnoty i płodności?

To, czy Kościół jest mój i innych kobiet, nie wydaje się wobec śmierci w polskich szpitalach najpilniejszym pytaniem. Być może jednak wskazuje na jądro problemu. Trzeba przepisać teologiczno-religijną opowieść, która gloryfikuje śmierć kobiet, na taką, która będzie współtworzyć bezpieczny dla nas świat. Świat, w którym fakt, że jesteś osobą z macicą, nie sprawia, że dławi cię strach.

Potrzebna nam nowa, feministyczna teologia ciała. Inna niż ta, którą sformułował „nasz papież". Nie da się jej dziś zrobić inaczej, niż wychodząc od kontekstu, którym w Polsce XXI wieku są dyscyplinowane kobiety i ich nękane ciała. Gdzie byśmy doszli, gdyby nasze *locus theologicus*, czyli miejsce i perspektywa, z którego tworzymy teologię, znajdowało się w nich?

Boję się

Na razie kościelnej machinie retorycznej mogę przeciwstawić opowieści kobiet, które słyszę, bo z roku na rok coraz częściej wypowiadamy je na głos. I w telewizyjnym studiu, i przy stole, i na łamach gazet kobiety mówią o tym, jak przerwały ciąże, roniły, rodziły i jak były traktowane. Jakie były ich motywacje i lęki.

Kiedyś myślałam, że takie głosy skruszą serca. W 2016 i w 2020 r., pisząc teksty w lęku i gniewie, męczona gorączką, której nabawiłam się, przemakając na protestach, byłam przekonana, że ten chór głosów coś sprawi. Albo że policzymy się i już więcej nie pozwolimy się zagłuszyć ani skrzywdzić. Także w Kościele. Jednak ci, którzy nie chcą usłyszeć, i tak uznają nas za histeryczki. Ci, którzy wyśmiewali Alicję Tysiąc, wyśmieją też nasz strach. Ten, kto nie chce zrozumieć, co mówisz, zignoruje te głosy.

A ja nadal zwyczajnie boję się o siebie i inne bliskie kobiety. Zawsze masz się o kogo bać, bo kiedy tematy reprodukcyjne przestaną dotyczyć ciebie, zaczną być sprawą córki i będą dotyczyć przyjaciółek. Wystarczy być kobietą i mieszkać w Polsce. Zresztą lęk nie dotyczy tylko kobiet, bo niejeden mężczyzna zadaje sobie pytanie: a co, gdyby to była moja żona? Gdyby lekarze, czekając na śmierć płodu, przekreślili nasze dotychczasowe życie?

> Trzeba przepisać teologiczno-religijną opowieść, która gloryfikuje śmierć kobiet, na taką, w której fakt, że jesteś osobą z macicą, nie sprawia, że dławi cię strach.

Spodziewałam się, że będę pisać ten tekst w gniewie, ale opadłam z sił. Kolejny raz spisuję sumę lęków polskich kobiet, ucieleśnionych i namacalnych. Strachu, że ty będziesz następna. Piszę dziś w innych emocjach: to lęk pomieszany z rezygnacją oraz zupełnie przyziemną taktyką, której celem jest przetrwanie.

Moja reakcja po Nowym Targu była organiczna i prosta: jeśli będę w ciąży, muszę trzymać się daleko od Polski. Ten nagły lęk przed ewentualnym przekraczaniem granicy zaskoczył mnie, ale też wydał się uzasadniony. To chore: mówimy przecież o lęku przed własną ojczyzną. Chore, ale prawdziwe. Z trzewi.

Strategia przetrwania

Nie mieszkam już w Polsce i główną różnicą doświadczaną na co dzień jest zakres dostępnych mi praw reprodukcyjnych, objętych zakresem ubezpieczenia procedur. Odkrywam w zdumieniu, że świat może traktować kobietę inaczej. Belgijska ginekolożka wyjaśnia przy różnych okazjach, jaki mam wybór. Pokazuje opcje, pyta, jakby to było najzwyczajniejsze w świecie. Za każdym razem wprawia mnie to w osłupienie. Nie chcę tłumaczyć, że przyjechałam z kraju, w którym to wszystko nie jest oczywiste, bo wtedy patrzy na mnie z politowaniem. Nie opowiadam, że moja ostatnia ginekolożka w ojczyźnie kompulsywnie wypisywała recepty na antykoncepcję na zapas, żyjąc w lęku, że „oni" mogą zakazać jej z dnia na dzień.

Oni. Mogą. W sumie ma rację. Uwierzyć już można we wszystko.

Nie tylko ja myślę taktycznie. Telefon: „Słyszałaś o pani Dorocie?" – pyta znajomy głos. „Następnego dnia umówiłam się do ginekolożki, żeby założyć wkładkę. Mam dwoje dzieci, nie będę ryzykować".

Ta strategia przetrwania też jest uprzywilejowana, bo zakłada, że stać cię z marszu na ginekologa oraz że znajdziesz takiego, który nie będzie dyskutował z twoim wyborem metod antykoncepcji. To wszystko nie jest prawdą dla większości kobiet poza dużymi ośrodkami. Tam wyboru zwykle nie ma.

Dajcie nam chociaż prawo do decyzji, jakie miała wybrana przez was dla nas patronka ciąż i ich powikłań.

Pod Watykan

Wszystko już powiedziałyśmy. Czy ktoś usłyszał? Pytanie teraz, co zrobimy, byśmy nie musiały umierać.

Telefon: „Myślisz, że jakieś polskie katoliczki dołączyłyby do naszego protestu w czasie synodu?" – pyta znajoma z amerykańskiego Catholics for Choice. Amerykańskie kobiety, również katoliczki, wojują teraz z ograniczaniem prawa do aborcji w ich kraju. Biskupi są, oczywiście, bezwzględnie „za życiem". Zaczynam tłumaczyć, że pewnie nie: „Wiesz – mówię – jak łatwo zamknąć usta katoliczce, która zakwestionuje politykę biskupów w tej sprawie. Pokaże się na proteście, powie coś nie po linii. Zniuansuje. A nawet wyzna, że wybrałaby jak Alicja, a nie jak Joanna: swoje życie i zdrowie, a nie płód. Rozniosą cię w proch".

Katolicki dyskurs wydaje się zabetonowany. Sama się tego trochę boję, przesuwam granice w tym, co mówię, bo wygrywa biologiczny strach. Ale czy nie zakwestionowanie kościelnego języka jest właśnie drogą do tego, żebyśmy nie musiały umierać? Więc może jednak nadszedł czas. Może czas pokazać nasze męczennice Kościołowi, który formował nas według swoich?

„Dam znać, może właśnie przyszedł ten moment. Może znajdą się polskie katoliczki, które będą chciały dołączyć – dodaję więc. – Może boimy się już wystarczająco, by nasz lęk zanieść pod Watykan".

Mówili, że synodalność ma Kościół nauczyć wzajemnego słuchania. Coś jednak podpowiada, że nawet nasz krzyk przerażenia nie otworzy im uszu.

© ZUZANNA RADZIK

Prokurator i relikwie

MAŁGORZATA SOLECKA

To nie wyrok Trybunału Konstytucyjnego, lecz błąd medyczny sprawił, że w nowotarskim szpitalu zmarła 33-letnia ciężarna – przekonują rządzący. Takie tłumaczenie nie wytrzymuje konfrontacji z faktami.

„To jest jedno wielkie oszustwo z waszej strony" – słyszą dziennikarze 14 czerwca od przydybanego w korytarzu sejmowym prezesa PiS. Jarosław Kaczyński nazywa tak łączenie śmierci 33-letniej Doroty z wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej z jesieni 2020 r. „Ani we wniosku, ani w orzeczeniu dotyczącym aborcji nie było ani słowa o sprawie zagrożenia życia i zdrowia kobiet. Takiej sprawy nie ma, ona jest wymyślona przez propagandę, to jest część tej urojonej rzeczywistości" – mówi Kaczyński.

Dzień później w Sejmie trwa debata nad informacją rządu o dostępności aborcji w przypadkach zagrożenia zdrowia i życia kobiet. Przedstawiciele PiS jak mantrę powtarzają: „to nie kwestie ideologiczne, to nie wyrok TK, tylko błąd medyczny". Zawinił czynnik ludzki, nie rząd. Nie posłowie, którzy zwrócili się do Trybunału, obalając trwający blisko trzy dekady tzw. kompromis aborcyjny. I nie sam Trybunał, który wyręczył Sejm, faktycznie zaostrzając ustawę antyaborcyjną.

Czy opozycja i media rzeczywiście dokonują „wielkiego oszustwa"? Czy rzeczywiście za śmierć Doroty (i kilku innych kobiet, o których wiadomo, że straciły życie w podobnych okolicznościach) odpowiadają wyłącznie ci, którzy podjęli złe decyzje terapeutyczne?

Ani jednej więcej

Poniedziałek, 12 czerwca. Minister zdrowia Adam Niedzielski w trybie pilnym zwołuje konferencję prasową. Mając u boku rzecznika praw pacjenta Bartłomieja Chmielowca i konsultanta krajowego w dziedzinie ginekologii i położnictwa prof. Krzysztofa Czajkowskiego trzy razy podkreśla, że w Polsce wystarczającą przesłanką dopuszczalności przerwania ciąży jest zagrożenie zdrowia kobiety, w tym: jej zdrowia psychicznego. – Przesłanki zagrożenia życia i zdrowia kobiety należy rozpatrywać rozłącznie – powtarza.

Minister informuje o powołaniu zespołu, który ma przygotować wytyczne postępowania dla placówek szpitalnych. Takie wytyczne jednak już są: po śmierci ciężarnej w szpitalu w Pszczynie (listopad 2021 r.) przygotowali je konsultanci krajowi w dziedzinach perinatologii oraz ginekologii i położnictwa. Wytyczne nie zapobiegły kolejnym zgonom ciężarnych. Zgonom, które – jak potwierdziły kontrole – były do uniknięcia. „Ani jednej więcej!" – to hasło protestów z końcówki 2021 r. „Przestańcie nas zabijać!" – to już lato 2023 r.

„Pan tak mówi, jakby tych kobiet umierały tysiące" – bagatelizuje nastroje wśród Polek jedna z posłanek PiS. „Za czasów PO też dochodziło do zgonów okołoporodowych" – wtórują inni politycy tej partii, w tym Mateusz Morawiecki, podpierając się danymi, według których takich zgonów było wręcz więcej, gdy rządziła obecna opozycja.

Oficjalnie i nie

Nie liczba zgonów okołoporodowych jest jednak problemem. Generalnie, statystyk śmiertelności okołoporodowej Polska nie musi się wstydzić, nie odbiegamy od średniej europejskiej. Co prawda po 2020 r. pogorszył się wskaźnik śmiertelności noworodków i niemowląt (wzrósł z 3,6 do 3,9 na tysiąc żywych urodzeń), ale rządzący ten scenariusz wręcz założyli. Już jesienią 2016 r., gdy Sejm debatował nad zaostrzeniem prawa antyaborcyjnego, Jarosław Kaczyński mówił w wywiadzie dla PAP: „Będziemy dążyli do tego, by nawet przypadki ciąż bardzo trudnych, kiedy dziecko jest skazane na śmierć, mocno zdeformowane, kończyły się jednak porodem, by to dziecko mo-

JACEK TARAN

„Ani jednej więcej" – demonstracja w obronie praw kobiet po śmierci Doroty z Nowego Targu. Kraków, 14 czerwca 2023 r.

gło być ochrzczone, pochowane, miało imię. Chcemy, by było to możliwe ze względu na realną pomoc, która będzie udzielana także ze środków publicznych. Oczywiście mowa tylko o tych przypadkach trudnych ciąż, gdy nie ma zagrożenia życia i zdrowia matki".

Wyrok TK z października 2020 r. wybawił PiS z kłopotu: okazało się, że nie trzeba nowelizować prawa antyaborcyjnego, bo sędziowie uznali za niekonstytucyjną przesłankę mówiącą o dopuszczalności terminacji ciąży ze względu na wady płodu. Oficjalna liczba aborcji przed wyrokiem TK (lata 2016-2020) nie przekraczała 1,1 tysiąca rocznie. W 2021 r. przeprowadzono 107 aborcji – wszystkie z przesłanki dotyczącej ratowania zdrowia i życia kobiety. Przesłanka związana z czynem zabronionym (w tym gwałtem) nie miała zastosowania ani razu.

Czy rzeczywiście w Polsce wykonuje się tak mało zabiegów przerwania ciąży? Organizacje domagające się liberalizacji prawa aborcyjnego, ale też sami lekarze, mówią wprost: oficjalne dane to fikcja. Nie tylko dlatego, że naprawdę rocznie ciążę przerywa – najczęściej na bardzo wczesnym etapie, gdy wystarczy interwencja farmakologiczna – ok. 100-200 tys. Polek, z czego 20-25 tys. za granicą, głównie w Niemczech i Czechach. To oczywiście jedynie szacunki, bo danych brak.

Ale i w szpitalach wykonuje się – i wykonywało jeszcze wtedy, gdy obowiązywał tzw. kompromis aborcyjny z 1993 r. – więcej zabiegów przerwania ciąży, niż mówią oficjalne dane. Większość placówek, które nie odsyłają pacjentek, nie raportuje jednak zabiegów indukcji sztucznego poronienia, tylko np. poronienia samoistne lub krwawienia. Robią tak, choć nie łamią ustawy antyaborcyjnej, bo w grę wchodzi ratowanie życia ciężarnej.

Kara za ratowanie życia

Politycy obozu rządzącego nie tylko twierdzą, że werdykt z października 2020 r. nie wpływa na dostępność aborcji w przypadku ratowania życia i zdrowia kobiety, ale też przypominają, że gdy pod koniec roku Sejm zajmował się obywatelskim projektem zakładającym całkowitą penalizację aborcji, klub PiS opowiedział się za jego odrzuceniem w pierwszym czytaniu.

Projekt zakładał zrównanie aborcji z zabójstwem – przerwanie ciąży miałoby być zagrożone karą od 5 do 25 lat więzienia, a nawet dożywociem. Karze miałaby podlegać również kobieta, wobec której sąd mógłby odstąpić od wymierzenia kary. Przedstawiając stanowisko klubu PiS, Anita Czerwińska kilka razy przywołała prawo kobiety do postawienia własnego życia na pierwszym miejscu. Zarzuciła autorom projektu, że *de facto* działają po myśli ruchów proaborcyjnych, bo „propozycja karania kobiet za ratowanie własnego życia może doprowadzić, co jest oczywiste, do niepokojów społecznych, ponieważ to jest nieakceptowalne". „Nigdy w naszym kręgu kulturowym nie było akceptowalne, żeby karać kogokolwiek za ratowanie własnego życia" – mówiła.

Czy wszyscy posłowie PiS podpisali się pod tymi słowami? Na 228 posłów klubu udział w głosowaniu nad wnioskiem o odrzucenie projektu wzięło 208. Z czego 155 zagłosowało za wnioskiem, przeciw 41, a 12 wstrzymało się od głosu. Liderzy klubu głosowali „za", ale „przeciw" byli liczni posłowie ówczesnej Solidarnej Polski, a także poseł Bartłomiej Wróblewski, który rok wcześniej reprezentował wnioskodawców przed TK.

Debata nad projektem całkowicie penalizującym aborcję miała miejsce krótko po pierwszym głośnym przypadku śmierci ciężarnej kobiety. W szpitalu w Pszczynie lekarze powstrzymywali się od działania, czekając na obumarcie płodów (ciąża bliźniacza). Czy dlatego, że tylko przesłanka o ratowaniu życia – i to w przypadku jego bezpośredniego zagrożenia – jest uznawana na niektórych oddziałach położniczych za wystarczającą do podjęcia decyzji o terminacji ciąży?

Ironia profesora

Pewne światło rzuca oświadczenie Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników z 12 czerwca. „W ostatnim czasie lekarze położnicy-ginekolodzy mierzą się z problemami wynikającymi z rozwiązań systemowych, które mogą oddziaływać zarówno w sferze psychologicznej, jak i prawnej na podejmowane decyzje i procesy lecznicze". Przekładając na język zrozumiały: obawiamy się zarzutów prokuratorskich, dochodzeń w sprawie przeprowadzonych zabiegów terminacji ciąży, co sprawia, że przynajmniej część z nas podejmuje niewłaściwe decyzje, gdy stoimy przed koniecznością wyboru: zdrowie kobiety czy ochrona płodu.

Sęk w tym, że takiego dylematu – przynajmniej trzymając się litery prawa – w Polsce nie ma. Polska to nie Malta, gdzie aborcja jest nielegalna nawet wtedy, gdy w grę wchodzi zagrożenie życia matki (choć praktyka wskazuje, że w takich okolicznościach prokuratura nie rozpoczyna postępowania). Trzymając się litery prawa, jak powtarzają zgodnie minister zdrowia, rzecznik praw pacjenta i premier Morawiecki, zabieg przerwania ciąży może być wykonany zawsze wtedy, gdy zagrożone jest życie lub zdrowie kobiety, w tym – zdrowie psychiczne.

Zdarzają się szpitale, w których przepisy prawa traktuje się serio. „Podczas wczorajszego dyżuru w poradni patologii ciąży przyjęłam 10, może 11 pacjentek. Pięć z nich przyjechało na konsultacje w celu zakończenia ciąży" – mówi podczas posiedzenia parlamentarnego zespołu ds. praw reprodukcyjnych ↦

↦ (tworzą go przede wszystkim posłanki i posłowie Lewicy) lek. Gizela Jankowska, specjalistka w dziedzinie ginekologii i położnictwa, zastępczyni dyrektora szpitala powiatowego w Oleśnicy (woj. dolnośląskie). Jak mówiła, żadna z kobiet, które badała w tym dniu, nie mieszka w Oleśnicy ani nawet w województwie dolnośląskim. Przyjechały z miast i miasteczek często odległych o kilkaset kilometrów. Dlaczego? „W moim oddziale, w momencie [wystąpienia] wskazań do zakończenia ciąży, bez względu na ich rodzaj, również wtedy, gdy zagrożone jest »tylko« zdrowie kobiety, ciąża jest przerywana".

Jak przyznaje Jagielska, 90 proc. terminacji ciąż dokonywanych jest ze wskazań psychiatrycznych, a kobiety przyjeżdżają do Oleśnicy, bo wcześniej spotkały się w innych szpitalach z odmowami. „Niektóre z tych odmów są na piśmie" – podkreśliła.

Dlaczego szpitale odmawiają? „Według definicji Światowej Organizacji Zdrowia zdrowie to stan pełnego dobrego samopoczucia – fizycznego, psychicznego i społecznego. Wystarczy złe samopoczucie, aby zakwalifikować, że mamy do czynienia z zagrożeniem zdrowia, a co za tym idzie – zakwalifikować do dokonania tzw. aborcji ze względu na zagrożenie zdrowia matki" – ironizuje na początku 2022 r. na antenie Radia Maryja prof. Bogdan Chazan, jeden z największych autorytetów ruchów antyaborcyjnych w Polsce, były konsultant krajowy w dziedzinie ginekologii i położnictwa, publicznie posługujący się terminem „morderstwa prenatalnego".

Prof. Chazan, mówiąc o „złym samopoczuciu", odnosi się do konkretnej kwestii. W poszukiwaniu legalnych dróg obejścia werdyktu Trybunału pojawia się pomysł, by psychiatrzy wystawiali kobietom z rozpoznaniem ciężkich wad płodu zaświadczenia ze wskazaniami do przerwania ciąży z powodu pogarszającego się bądź złego stanu psychicznego. Ginekolodzy mówią wprost: kobieta, która dowiaduje się, że jej dziecko ma zespół Edwardsa [uwarunkowany genetycznie zespół poważnych wad wrodzonych – red.], naprawdę nie symuluje. Są matki, które chcą urodzić, by się pożegnać. Przekonane, że dopóki dziecko się nie urodzi, nie cierpi. Gotowe na nieprzedłużanie terapii po porodzie. Są jednak i takie, dla których każdy dzień po diagnozie to tortura. To nie jest kwestia „złego samopoczucia".

> Zapowiedź wypracowania ministerialnych wytycznych dotyczących aborcji to najlepszy dowód, że problem jest systemowy.

Zgodnie z wyrokiem TK w tej chwili nie ma mowy, by przesłanką do przerwania ciąży była nawet wada letalna (śmiertelna) płodu. Prezydencki projekt ustawy z tzw. nowym kompromisem (aborcja byłaby dopuszczalna, gdy lekarze potwierdzą wadę lub wady, które powodują, że dziecko urodzi się martwe lub obarczone ciężką chorobą lub wadą prowadzącą bezpośrednio do śmierci dziecka, niezależnie od zastosowanych metod leczenia; przesłanka nie dotyczy zespołu Downa, ale już np. zespołu Edwardsa tak) leży od ponad dwóch lat w Sejmie, bo PiS przeszedł nad propozycją do porządku dziennego.

Wiedza medyczna

O błędzie medycznym mówią jednak nie tylko politycy. „To, co wydarzyło się w szpitalu w Nowym Targu i wcześniej w Pszczynie, jest sprzeczne nie tylko z prawem, ale przede wszystkim z wiedzą medyczną. Nikt nie podważa nadrzędności życia kobiety i konieczności jej ratowania. Wiadomo, że nie uda się opanować sepsy, zwłaszcza mającej źródło w narządach rodnych, bez opróżnienia jamy macicy, czyli zakończenia ciąży" – mówi podczas posiedzenia parlamentarnego zespołu ds. praw reprodukcyjnych prof. Przemysław Oszukowski, konsultant w dziedzinie położnictwa i ginekologii dla województwa świętokrzyskiego, członek zarządu Polskiego Towarzystwa Medycyny Perinatalnej. Akcentuje kilka razy, że niepotrzebne są rozporządzenia i ministerialne wytyczne, bo w zupełności wystarczy wiedza medyczna: „Wiadomo, że nie da się wyleczyć infekcji wewnątrzmacicznej, nawet najsilniejszymi antybiotykami, bez zakończenia ciąży".

Kluczowe pytania o to, czy w nowotarskiej placówce żaden lekarz nie wiedział, jaką decyzję należy podjąć zgodnie z wiedzą medyczną, i czy lekarze powstrzymali się od działań z jakiegoś innego powodu, zadał Dominik Przeszlakowski, również specjalista w dziedzinie ginekologii i położnictwa, jeden z lekarzy zaangażowanych w promocję filmu „O tym się nie mówi", przybliżającego historie kobiet i ich rodzin, które musiały się zmierzyć z konsekwencjami wyroku TK. Odpowiedź ze strony prof. Oszukowskiego nie padła, ale też trudno przypuszczać, by był on ich właściwym adresatem.

Matka czy dziecko

Drugie fundamentalne pytanie: czy można było uratować i matkę, i dziecko? Bezwodzie, nawet na tym etapie ciąży, jak mówią doświadczeni ginekolodzy, nie musi oznaczać zakończenia ciąży. Są przykłady szczęśliwie zakończonych ciąż, w których utrata wód płodowych nastąpiła na podobnym, co w przypadku pacjentki z Nowego Targu, lub nawet wcześniejszym etapie ciąży. To jednak pojedyncze przypadki, w których udaje się nie dopuścić do powstania infekcji. „Udaje się" to złe wyrażenie, ukrywające ogromny ładunek wiedzy, doświadczenia i wysiłku. Bo gdy zakażenie się pojawia, ciążę – niezależnie, na jakim by nie była etapie – trzeba natychmiast zakończyć, a szanse płodu na przeżycie determinuje w największym stopniu liczba zakończonych tygodni w łonie matki. Dlatego im wcześniej pojawia się bezwodzie, tym, statystycznie, mniejsze szanse na happy end.

Jednak w przypadku z Nowego Targu, jak wynika z kontroli przeprowadzonej przez rzecznika praw pacjenta oraz konsultanta krajowego w dziedzinie ginekologii i położnictwa, praktycznie nie było mowy o ratowaniu płodu. „Już na drugi dzień po przyjęciu lekarze powinni zaproponować pacjentce indukcję poronienia" – mówił Bartłomiej Chmielowiec. Rosły parametry zakażenia, podany antybiotyk nie działał, nie zmieniono go na mocniejszy. Czekano. Na co?

Ile, pytam!

Autorytetom w dziedzinie ginekologii i położnictwa nie w smak są zapowiedzi ministerialnych wytycznych, ale to właśnie deklaracja ich wypracowania (jak podkreślał Adam Niedzielski, z zachowaniem parytetu płci: na 13 osób powołanych do zespołu siedem stanowią kobiety, nie ma natomiast ani jednej przedstawi-

cielki organizacji kobiecych) to najlepszy dowód, że problem jest systemowy.

A co z faktem, że Podhalański Szpital Specjalistyczny w Nowym Targu nosi imię św. Jana Pawła II i szczyci się posiadaniem jego relikwii? Czy rzeczywiście poprzedni dyrektor – niemal dwie dekady temu – ogłosił, że aborcji w placówce się nie wykonuje ze względu na imię patrona? A może to tylko legenda *ex post*? „Gazeta Wyborcza", powołując się na dane z oddziału wojewódzkiego NFZ poinformowała, że w ciągu ostatnich sześciu lat w szpitalu ani razu nie wykonano aborcji. Na łamach „Rzeczpospolitej" nowotarska placówka broni się, że wykonuje wszystkie procedury medyczne, a NFZ nie ma danych na temat sztucznych poronień... ponieważ nie pyta o nie. Fundusz „pyta" o liczbę urodzeń, o odsetek porodów fizjologicznych, cięć cesarskich, poronień samoistnych, ale o aborcję – nie. Dlatego nie ma danych.

Wyjaśnienie zgrabne, tyle że nieprawdziwe. To nie NFZ pyta, ale szpital raportuje wykonane świadczenia – według kodów. Sztuczne poronienie ma swój przypisany kod, a NFZ dysponuje danymi (i wiedzą), gdzie takie świadczenia są – i w jakiej liczbie – wykonywane. Bo, jak podkreślają i rzecznik praw pacjenta, i minister zdrowia – szpital nie może się zasłaniać klauzulą sumienia. Klauzula sumienia dotyczy tylko osoby wykonującej zawód medyczny: lekarza, położnej, pielęgniarki.

To nie podoba się obrońcom życia. Zaledwie w marcu, podczas konferencji w toruńskiej szkole o. Tadeusza Rydzyka (który *nota bene* zamierza wkrótce kształcić przyszłych lekarzy), prof. Bogdan Chazan zastanawiał się, czy szpital albo poradnia mogą mieć sumienie: „Niektórzy mówią, że nie, inni twierdzą, że owszem, bo szpital ma własną tożsamość, ma patrona – najczęściej osobę świętą, np. św. Jana Pawła II lub Świętą Rodzinę; ma swoją misję i cele, które trwają pomimo zmian kadrowych. (...) Mówi tak również uchwała Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Natomiast NFZ wcale się nie przejmuje postulowaną wolnością sumienia, ponieważ wszystkie szpitale mające oddziały położniczo-ginekologiczne mają obowiązkowo w swojej umowie numer statystyczny aborcji" (cytat za „Gazetą Wyborczą", 7 marca 2023).

Na podstawie danych raportowanych przez szpitale do NFZ w 2019 r. rzecznik praw obywatelskich podjął interwencję i wystąpił z pytaniem do dyrektora oddziału NFZ na Podkarpaciu, gdy okazało się, że w całym 2017 r. nie wykonano tam ani jednego zabiegu aborcji". Adam Bodnar pytał, jakie działania dyrektor podkarpackiego oddziału NFZ podjął „w celu zapewnienia realnego dostępu do zabiegów terminacji ciąży w województwie". Pytał też, czy w związku z informacjami o niewykonywaniu zabiegów legalnej aborcji w województwie dyrektor kontrolował należyte wykonywanie umów w tym zakresie przez podmioty lecznicze, a jeśli tak, to czy stwierdzono naruszenie obowiązków kontraktowych i nałożono kary umowne.

■■■

Minęły cztery lata. „Ile szpitali straciło kontrakty, ponieważ nie wywiązywały się z obowiązku wykonywania wszystkich świadczeń z koszyka świadczeń gwarantowanych, w tym prawa do aborcji z powodu zagrożenia życia i zdrowia?" – pytała Ministerstwo Zdrowia i NFZ Marcelina Zawisza (Lewica), gdy Sejm debatował nad informacją rządu o wydarzeniach w Nowym Targu i dostępności zabiegu przerwania ciąży w okolicznościach, na jakie zezwala prawo. „Ile, pytam!". Lewica i Koalicja Obywatelska chcą albo likwidacji, albo nowelizacji przepisów o klauzuli sumienia – projekty są już złożone w Sejmie.

Nie ulega wątpliwości, że na sytuację ciężarnych rzutują z jednej strony restrykcyjne przepisy antyaborcyjne, z drugiej – niedookreślone i łatwo poddające się nadinterpretacji przepisy umożliwiające lekarzom (i innym profesjonalistom medycznym) odmawianie wykonania niektórych świadczeń ze względu na przekonania. Klauzula sumienia jest, jak każde inne narzędzie, ani dobra, ani zła. Źle używana lub nadużywana – przynosi złe owoce. © MAŁGORZATA SOLECKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Modlitwa za rządzących

Rabin Chanina rzecze: „Módl się za dobrostan władzy, bo gdyby nie strach, który wzbudza, człowiek pożarłby [hebr. *belao*] swojego bliźniego żywcem [hebr. *chaim*]". Wybrałam „pożarcie", które wydało mi się lepsze frazeologicznie, lecz mędrzec dosłownie mówi o „połykaniu". Przywodzi mi ono na myśl następujące wersy: „I otworzyła ziemia paszczę swoję, i pochłonęła [hebr. *watiwla*; ten sam rdzeń, co powyższe *belao*] ich... I zstąpili oni, i wszystko, co do nich należało, żywcem [hebr. *chaim*] w przepaść" (Lb 16, 32-33; Cylkow).

Te wersy dotyczą – a jakże – tzw. buntu Koracha. Właściwie w szesnastym rozdziale Księgi Liczb zlały się w jedno dwie rebelie: pierwsza, skierowana przeciwko Mojżeszowi i Aaronowi, wywołana była arcykapłańskimi ambicjami ich kuzyna. W drugiej prym wiedli trzej Rubenici – Datan, Abiram i On, którzy mieli problem z przywództwem politycznym młodszego z braci. Także kary dla buntowników były różne – jedna grupa spłonęła, drugą pochłonęła ziemia. Rubenici uprawiali politykę historyczną: „Czyż mało tego, żeś wywiódł nas z ziemi płynącej mlekiem i miodem, aby zamorzyć nas na tej pustyni – że jeszcze chcesz jako pan nad nami panować?" (wers 13). Zadali kłam faktom: w ich wypowiedzi krainą miodem i mlekiem płynącą jest Egipt! Korach to subtelniejszy demagog: „Dosyć wam [Mojżeszu i Aaronie]! Wszak cały ten zbór, wszyscy są święci, a w pośród nich Wiekuisty; czemu więc wynosicie się nad zgromadzeniem Wiekuistego?" (wers 3). Pod płaszczykiem nawoływania do równości wypacza on Boże wezwanie do świętości (zob. Kpł 19, 2).

Mój błogosławionej pamięci nauczyciel tłumaczył początek słów rabina Chaniny jako „módl się za pomyślność władzy". Zaproponowany przeze mnie „dobrostan", który wydaje mi się bliższy oryginałowi, może w nieprzychylnych rządzącym budzić skojarzenia z ciepłymi posadkami. „Pomyślność" może oznaczać też „powodzenie", np. w mądrym rządzeniu krajem. W synagogach na całym świecie Żydzi modlą się w szabat i święta za państwo, w którym mieszkają w Diasporze, oraz za Izrael. W jednej z warszawskich bóżnic tradycyjnie – wpierw za państwo polskie polszczyzną rabina Mojżesza Schorra z Wielkiej Synagogi na Tłomackiem. Potem za Izrael, może czasem z bólem serca myśląc o konfliktach z prawem, jakie mają tamtejsi ludzie u steru: „Ześlij Twoje światło i Twoją prawdę na jego przywódców, sędziów i urzędników i prowadź ich Twoją dobrą radą, aby szli drogą sprawiedliwości, wolności i uczciwości..." (Modlitwa za Państwo Izrael w: „Sidur Ec Chaim. Modlitwy poranne w szabat i święta", s. 120). Taka modlitwa powinna przejść przez gardło każdemu zatroskanemu obywatelowi niezależnie od strony barykady, po której się znajduje. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Bieg do niebios bram

Błogosławiony lud, który umie wesołe śpiewanie: Panie, chodzić będą w jasności oblicza twego, a w imieniu twoim będą się weselić cały dzień i w sprawiedliwości twojej będą podwyższeni", śpiewa psalmista po polsku w przekładzie Wujka. Ale już słyszę: komu dobrze, temu dobrze, ale mnie nie do śmiechu, z czego niby mam się cieszyć? Papier przyjmie wszystko, ale człowiek nie papier, ma ograniczoną wytrzymałość. Na Ukrainie wojna, głód w Afryce, kartele narkotykowe, mobbing w pracy, arogancki proboszcz czy przełożony zakonny i tak dalej, i dalej... Mam, co mam, inni mają gorzej, tym się cieszę i dziękuję Bogu za Jego „liczne łaski".

„Dwóch ludzi weszło do świątyni, aby się modlić. (...) Faryzeusz skupiony na sobie tak się modlił: »Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie: zdziercy, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, albo jak ten celnik. Poszczę dwa razy w tygodniu, daję dziesięcinę ze wszystkiego, co nabywam«. Celnik natomiast stał z daleka i nie śmiał nawet oczu podnieść ku niebu, ale bił się w piersi, mówiąc: »Boże, bądź miłosierny dla mnie, grzesznego«. Mówię wam (...) każdy, kto się wywyższa, będzie poniżony; a kto się uniża, będzie wywyższony". Łatwo się jednak pomylić i uznać siebie za poniżonego, gdy w rzeczywistości jest się tym, który poniża. Jak ujść cało z takiej pułapki, podpowiada Faustyna Kowalska.

„Często modlę się za Polskę, ale widzę zagniewanie Boże na nią, iż jest niewdzięczna – mówi Faustyna. – Odczuwam tak straszny ból, kiedy patrzę na cierpienia bliźnich (...) tak że mnie to nawet fizycznie wyniszcza. Pragnęłabym, aby wszystkie bóle na mnie spadły, by ulżyć bliźnim". Czyli pamiętać o Jezusowym poleceniu: „Wy dajcie im jeść".

Na przykład przewodniczący Komisji ds. Migracji Konferencji Episkopatu Włoch, abp Giancarlo Perego, uważa luksemburskie porozumienie ministrów spraw wewnętrznych Unii Europejskiej w sprawie uchodźców za „wyraźny krok wstecz". Mówi, że wciąż „są kraje, które biorą na siebie większy ciężar niż inne, jeśli chodzi o przyjmowanie migrantów. Ale Włochy nie są jednym z nich", a włoskie procedury azylowe są „hańbą". A u nas?

Przy zgodnym milczeniu i wbrew prawu stosujemy push-backi, ale coraz głośniej śpiewamy: „Pójdź do Jezusa, do niebios bram (...) Słuchaj, Jezu (...) uczyń z nami cud! Przemień (...) smutny ten czas (...) pociesz nas!". Nie udawajmy, daleko nam do męczeństwa. To uchodźcy potrzebują „pocieszenia". Jeśli nie z prawa, to ze sprawiedliwości. Wygląda jednak na to, że w biegu do „niebios bram" wyprzedzają nas pogardliwie nazywani lewakami i zboczeńcami. Nic nowego, Jezus to przewidział: „Zapewniam was: Celnicy i nierządnice wejdą przed wami do królestwa Bożego". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Ojcze nasz

Nieustannie uprawiaj wielkie wyciszenie.

JAN Z KARPATOS

Gdy ustaje wytwarzanie świadomości siebie samego, przybliża się absolutna wolność.

PATAŃDŻALI

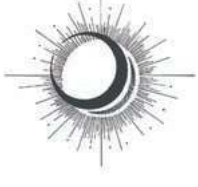

Dzięki Liturgii przeżyliśmy w minionych tygodniach przekazanie „Modlitwy Pańskiej" – sam Jezus nie tyle nauczył nas tej modlitwy, co wprowadził nas w sam środek swojej własnej modlitwy do Boga. W taki bowiem sposób przekazuje się modlitwę: nie „ucząc" i odpytując wyuczonego tekstu, lecz po prostu modląc się z uczniem. Rodzice uczą swoje dzieci modlitwy, modląc się z nimi. W taki też sposób modlitwy uczy nas Jezus.

Słowo „Ojcze" jest kluczowym słowem Jego modlitwy: „Wysławiam Cię, Ojcze (...) Tak, Ojcze (...)" (Mt 11); „Ojcze mój, jeśli to możliwe (...)" (Mt 26); „Ojcze, przebacz im (...) Ojcze, w Twoje ręce (...)" (Łk 23); „Ojcze, dziękuję Ci, żeś mnie wysłuchał" (J 11); „Ojcze, nadeszła godzina (...), a teraz Ty, Ojcze, otocz mnie chwałą (...), Ojcze święty, zachowaj ich w Twoim imieniu (...), jak Ty, Ojcze we mnie (...)" (J 17).

Wszyscy czujemy, że przekazując nam „Ojcze nasz", Jezus nie naucza nas jedynie recytacji jednego z najważniejszych tekstów, ale zaprasza nas do wnętrza swojej relacji z Bogiem; przekazuje nam nie tylko słowa, ale przede wszystkim Ducha, w którym możemy je w całej prawdzie wypowiedzieć (ostatecznie, to tylko Duch woła w nas do Boga: Abba, Ojcze! – zob. Rz 8 i Ga 4).

„Ojciec wasz wie – mówi Jezus, wprowadzając nas w ducha (Ducha) swojej Modlitwy – wie, czego wam potrzeba, zanim jeszcze Go poprosicie". Mimo jednak, że „Ojciec wie", Pan każe nam wypowiadać siedem kolejnych próśb modlitwy „Ojcze nasz".

Po co? No bo nie po to przecież, by uświadomić Bogu nasze potrzeby. On/Ojciec je zna. Więc?

Najpewniej po to, byśmy samym sobie uświadomili, czego naprawdę w życiu potrzebujemy – byśmy sami rozeznali i wewnętrznie przylgnęli do tych potrzeb, które Pan postrzega jako istotne i podstawowe.

Nie będziemy szczęśliwi, jeśli Imię Boga nie zostanie uświęcone w naszym wnętrzu; jeśli Bóg nie zakróluje w naszym życiu; jeśli nie będziemy Mu posłuszni; jeśli będziemy tkwili w odmowie wybaczenia (i odmowie prośby o wybaczenie). Nie będzie w nas radości i pokoju życia, nawet jeśli zostanie ono po dziurki w nosie wypełnione konsumpcją daleko przekraczającą miarę i poziom „chleba naszego powszedniego".

Ojciec chce nam to wszystko dać; pytanie jednak, czy my na te dary jesteśmy otwarci? Właśnie dlatego potrzebujemy „Modlitwy Pańskiej". Byśmy się nie rozmijali z Bogiem w postrzeganiu naszych elementarnych potrzeb. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (2 – 9 VII)

13. niedziela zwykła: 2 Krl 4, 8-12a. 14-16a; Ps 89; Rz 6, 3-4. 8-11; Mt 10, 37-42;
Poniedziałek: Ef 2, 2-5; Ps 117; J 20, 24-29;
Wtorek: Rz 19, 15-29; Ps 26; Mt 8, 23-27;
Środa: Rz 21, 5. 8-20; Ps 34; Mt 9, 1-8;
Czwartek: Rdz 22, 1-19; Ps 116; 2 Tm 4, 6-9. 16-18; Mt 16, 13-19;
Piątek: Rdz 23, 1-4. 19. 24, 1-8. 10. 48. 59. 62-67; Ps 106; Mt 9, 9-13;
Sobota: Rdz 27, 1-5. 15-29; Ps 135; Mt 9, 14-17;
14. niedziela zwykła: Za 9, 9-10; Ps 145; Rz 8, 9. 11-13; Mt 11, 25-30.

Wybrał PIOTR SIKORA

EPIDEMIA OTYŁOŚCI

Gdyby to był koronawirus, już dawno mielibyśmy twardy lockdown. Ale to tylko otyłość. Mimo że cierpi na nią już co czwarty Polak, wciąż nie mamy nawet planu, jak poradzić sobie z tym problemem.

MAREK RABIJ

Tym razem nie da się napisać, że „wśród ofiar nie ma Polaków". Tempo, w jakim przybywa u nas osób z nadwagą lub otyłością, czyni z Polski jeszcze nie najgrubszy, ale z pewnością jeden z najszybciej tyjących krajów rozwiniętego świata.

Aby unaocznić skalę problemu, dość porównać bieżące dane o odsetku otyłych z liczbami z roku 1990, kiedy zaczynaliśmy marsz do wolnorynkowej normalności. Przez 33 lata nie tylko dziesięciokrotnie zwiększyliśmy PKB. Także ciepiących na otyłość mamy obecnie przeszło dwa razy więcej niż wtedy. Perspektywy na kolejne lata są w dodatku bardziej niż niepokojące, bo najszybciej tyją właśnie najmłodsi. Światowa Organizacja Zdrowia w zeszłorocznym raporcie podaje, że nadwagę lub otyłość ma 24 proc. polskich nastolatków, ale tu jeszcze mieścimy się poniżej europejskiej średniej (25 proc.). W grupie wiekowej 6-9 lat odsetek otyłych i z nadwagą sięga już 29 proc. – i zrównuje się ze średnią dla regionu. Najgorzej jest z dziećmi do piątego roku życia, wśród których już ponad 6 proc. ma w Polsce ponadnormatywną wagę. Pod tym względem plasujemy się na trzecim miejscu wśród krajów Europy, za Grecją i Portugalią.

W miejscu

W dobie ciałopozytywności pisanie o czyjejś tuszy niesie ze sobą szereg pułapek, dlatego warto z góry zaznaczyć, że wagę wykraczającą ponad normy – czy to medyczne, wyznaczane wskaźnikami typu BMI, czy tym bardziej estetyczne, które usiłują forsować media i świat mody – dzieli od otyłości wyraźna granica. Ta ostatnia zaczyna się tam, gdzie zbędne centymetry w pasie zagrażają zdrowiu ich posiadacza, a społeczeństwo, w którym funkcjonuje cierpiący na to schorzenie (od 1996 r. otyłość to jednostka chorobowa oznaczona międzynarodowym kodem E66), zmaga się z szeregiem problemów. Od konieczności zwiększenia wydatków na leczenie około 200 chorób towarzyszących otyłości, przez pogłębienie spadku dzietności (zmiany hormonalne wywołane przez nadmierną tuszę upośledzają płodność), a kończąc na pytaniach, czy pasażer zajmujący *de facto* dwa miejsca w autobusie lub samolocie powinien płacić tylko za jedno. Dopóki osoby otyłe stanowiły statystyczny margines społeczeństw rozwiniętych, ich tuszę można było traktować jako ich osobistą sprawę. Dziś jesteśmy jednak niebezpiecznie blisko momentu, kiedy skala problemu otyłości przekroczy punkt krytyczny, a czekający w kolejce do lekarza zaczną pod adresem otyłych pacjentów kierować podobne uwagi, jakie od dawna słyszą np. nałogowi palacze.

Jedno pytanie powinni systematycznie słyszeć także politycy. Co państwo polskie robi dla powstrzymania rozpędzającej się epidemii? Czy wzorem innych krajów stworzyło choćby zintegrowany plan jej zapobiegania?

Hiszpania w ubiegłym roku rozpoczęła program, który do 2030 r. ma zredukować o 25 proc. liczbę przypadków nadwagi i otyłości wśród dzieci. W opisie roi się wprawdzie od komunałów w rodzaju zapewnienia młodym Hiszpanom środowiska zachęcającego do aktywnego i zdrowego trybu życia, ale na szczęście Madryt idzie dalej. W programie zaplanowano bowiem ścisłą współpracę ponad 50 agend i instytucji publicznych, wydzielono też budżety na konkretne zadania – jak budowa placów zabaw przy szkołach, które ich nie mają, dopłaty do zdrowej żywności (w formie elektronicznych voucherów) dla dzieci z uboższych rodzin czy obligatoryjne włączenie analiz szkolnego menu do procesu oceny jakości kształcenia. Producenci żywności, którzy zechcą oznakować produkty dla dzieci w sposób wyznaczony przez ekspertów rządowego programu, będą mogli liczyć także na wsparcie rządu w inwestycjach.

Co w tej sprawie robi Polska? Odpowiedź na to pytanie jest przerażająca w swej prostocie. Od 33 lat kręcimy się w miejscu.

Lepiej leczyć, niż zapobiegać?

KOS-BAR to nazwa pilotażowego programu, który NFZ wdrożył w 2021 r. z myślą o pacjentach cierpiących na otyłość olbrzymią. To ostatnia deska ratunku dla tych, którzy z różnych powodów stracili kontrolę nad swoją wagą i ich wskaźnik BMI przekroczył 40. W walce z taką tuszą chory potrzebuje już wsparcia szeregu specjalistów, czasem także chirurga. W ramach pilotażu KOS-BAR uruchomiono 15 regionalnych placówek, w których opieką objęto na start 2900 osób. Na razie chodzi o sprawdzenie, jak taki program powinien funkcjonować w pełnym wymiarze. W Polsce, jak szacuje NFZ, na otyłość olbrzymią choruje już ok. 700 tys. osób.

KOS-BAR to również niemal idealna ilustracja stosunku państwa polskiego do problemu otyłości, który można w zasadzie streścić w parafrazie „lepiej leczyć, niż zapobiegać". Pierwsza edycja Narodowego Programu Zdrowia, czyli coś na kształt mapy drogowej dla polskiego systemu lecznictwa, powstała w roku 1995, ale dopiero 11 lat później, w kolejnej, znalazło się miejsce na pierwszy samodzielny program zapobiegania otyłości. W następnej edycji Narodowego Programu Zdrowia na lata 2016-2020 walkę z dodatkowymi kilogramami Polaków określono już jako jeden z kluczowych celów. Skończyło się jednak głównie na opisie sytuacji. W ochronie zdrowia zawsze są jeśli nie ważniejsze, to na pewno bardziej politycznie sycące tematy. Pensje lekarzy, refundacja *in vitro*, tabletki „dzień po". Grubi zaczekają.

Polski pomysł na opanowanie epidemii otyłości (oraz towarzyszącej jej często cukrzycy, miażdżycy, chorób układu krążenia i stawów oraz nowotworów) to wciąż z jednej strony zestaw słusznych, ale niezrealizowanych postulatów, z drugiej zaś chaotyczne, a często wręcz spóźnione działania, które leczą skutki, zamiast usuwać przyczyny. „Pracujemy nad kolejnymi zadaniami, takimi jak kompleksowa opieka specjalistyczna dla pacjentów z nadwagą, którzy mają powyżej 30 BMI. Przygotowywane są przepisy służące cyfryzacji badań bilansowych dzieci, dzięki czemu zyskamy bieżącą wiedzę na temat tego, jak zmienia się sytuacja w poszczególnych rocznikach dzieci w różnych regionach" – wyliczał wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski na majowym posiedzeniu podkomisji stałej ds. zdrowia publicznego. Słowem – w 2023 r. Polska wciąż nie ma centralnego systemu, który pozwalałby śledzić wagę najmłodszych obywateli częściej niż kolejne edycje Spisu Powszechnego. Owszem, w 2017 r. powstało Narodowe Centrum Edukacji Żywieniowej, które przygotowuje szkolenia i materiały edukacyjne; działa też Centrum Dietetyczne Online. Z drugiej strony mamy jednak resort edukacji ministra Czarnka, który problemu niewłaściwej diety młodych Polaków nie dotyka, bo ręce ma zajęte ↦

JOANNA RUSINEK DLA „TP"

EUROPEJCZYCY Z NADWAGĄ I OTYŁOŚCIĄ (ODSETEK POPULACJI)

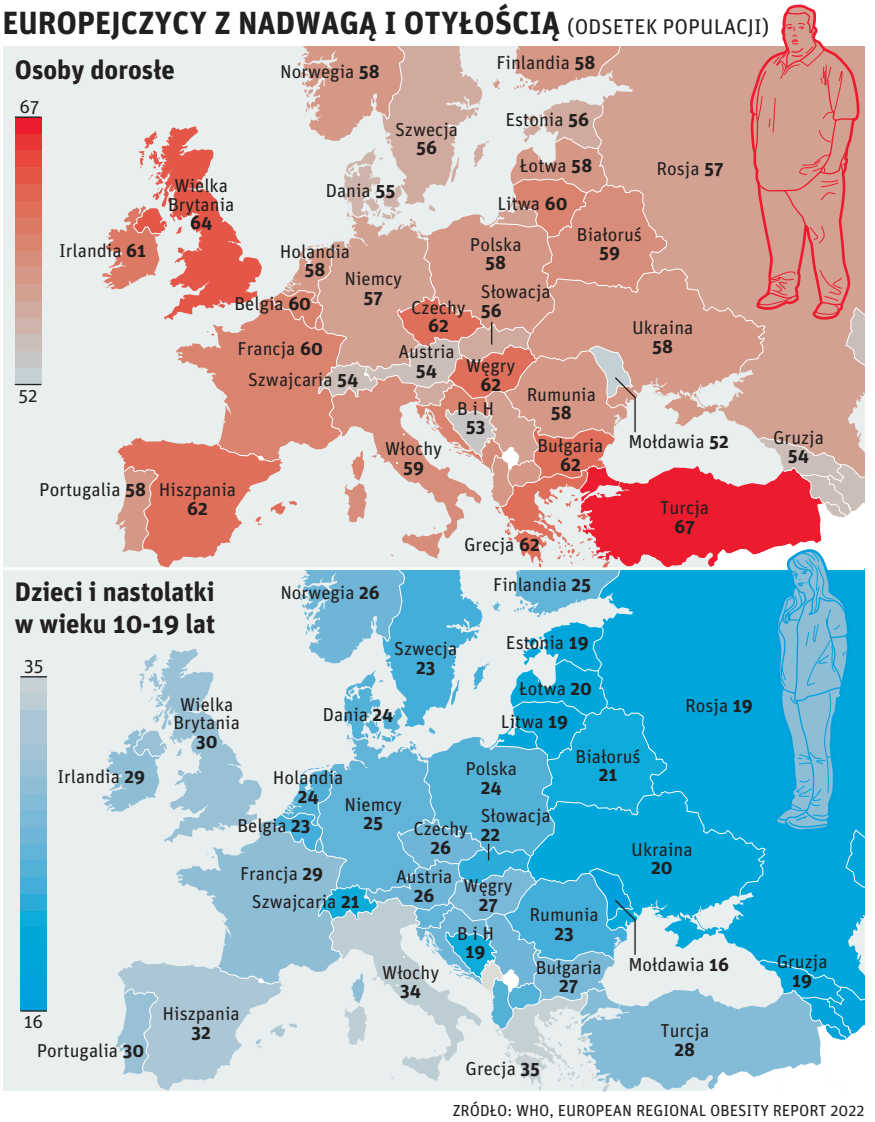

LECH MAZURCZYK

ZRÓDŁO: WHO, EUROPEAN REGIONAL OBESITY REPORT 2022

↦ pilnowaniem drzwi szkół przed podstępnymi seksedukatorami. W retoryce polityki totalnej, jaką uprawia PiS, nawet merytoryczna krytyka polskich nawyków żywieniowych staje się atakiem na polskość. Znane twarze obozu rządzącego fotografowały się więc niedawno z lubością nad talerzami steków, golonek i schabowych, podkreślając przywiązanie do babcinych smaków, które Europa chce rzekomo zamienić Polakom na robaki. I lekceważąc fakt, że polskiej diecie bardzo przydałaby się dieta.

PiS udało się jednak uchwalić w 2020 r. ustawę o promocji prozdrowotnych wyborów konsumentów ze słynną opłatą cukrową, która w 96,5 proc. trafia do Narodowego Funduszu Zdrowia. Z danych uzyskanych od NFZ wynika, że opłata w 2022 r. przyniosła Funduszowi 1,59 mld zł. Miesięcznie – średnio po 133,1 mln zł. Rok wcześniej, po wejściu w życie tego podatku z dniem 1 lutego, wpływy wyniosły 1,42 mld zł, czyli 129,1 mln zł miesięcznie. Danina jest naliczana od zawartości cukru w 100 ml napoju, jej wysokość nie zależy zatem od ceny produktu. A to prowadzi wprost do wniosku, że jeśli celem opłaty miało być zniechęcenie konsumentów do spożywania wysokosłodzonych napojów, to coś poszło nie tak. Najwyraźniej sam impuls cenowy to za mało, by zmienić zastałe nawyki żywieniowe.

Choć w zasadzie mowa o nawykach, które inflacja właśnie nam betonuje.

Dieta dwóch prędkości

CBOS, który co kilka lat stawia kraj na statystyczną wagę, jesienią 2010 r. szacował odsetek Polaków z prawidłową masą ciała (mierzoną wskaźnikiem BMI) na 46 proc. W lipcu 2019 r. osób spełniających takie same kryteria było w Polsce tylko 39 proc. Z 35 do 38 proc. wzrósł natomiast odsetek osób z nadwagą. W przypadku ludzi już otyłych zanotowaliśmy przeskok z 17 do 21 proc. Autorzy badania podkreślają przy tym, że do 2014 r. proporcje osób z prawidłową wagą, nadwagą i otyłością praktycznie nie ulegały pogorszeniu.

Skąd ta zmiana? Powodów może być wiele, ale dane niezbicie wskazują na korelację między tempem, w jakim tyjemy, a szybkością, z jaką w ostatnich latach ponownie zaczęły rosnąć w Polsce nierówności dochodowe. W latach 2000-2013 mieliśmy właściwie do czynienia z zamrożeniem dynamiki nierówności mierzonej współczynnikiem Giniego na poziomie około 0,34. W kolejnych latach nastąpił wyraźny i godny pochwały spadek poniżej 0,3 odnotowanego w roku 2017 – a następnie równie szybki rajd w górę aż do niemal 0,32 w roku 2021. Badacze dość zgodnie postrzegają te zmiany przez pryzmat polityki socjalnej PiS. Podwyżki pensji minimalnej, 500 plus czy dodatkowe emerytury szybko wzmocniły siłę nabywczą najuboższych Polaków, ale ich efektem ubocznym był także wzrost cen, który w pewnym momencie pożarł zdobycze socjalu PiS. A w międzyczasie przypałętała się pandemia i rządowe programy ratowania gospodarek dodatkowo podsyciły inflację.

Nieujęty jeszcze w statystykach GUS rok 2022 może tę tendencję wzmocnić. Cechą obecnego kryzysu jest bowiem nieproporcjonalnie szybki wzrost cen żywności w stosunku do innych grup produktowych. W lutym, kiedy odczyt pokazał rekordowe 18,4 proc., roczna dynamika cen produktów spożywczych i napojów sięgnęła 24 proc. W tym samym czasie restauracje i hotele podniosły ceny o 17,2 proc., usługi edukacyjne podrożały o 14 proc., a odzież i obuwie – tylko o 6,6 proc. Osoby zamożne, co do zasady, przeznaczają na żywność mniejszą część swoich dochodów niż najubożsi, którzy w sklepach spożywczych wydają zazwyczaj niemal wszystko, co mają. W warunkach inflacji, która wprawdzie słabnie, ale do końca roku utrzyma się zapewne powyżej 10 proc., drożyzna będzie więc nadal bić po kie-

szeni głównie najuboższych, zmuszając ich do kupowania tego, co najtańsze i niekoniecznie zdrowsze.

Ostatni odczyt inflacji z maja daje wyobrażenie, ile mogłaby dziś kosztować rewizja nawyków żywieniowych. Królująca na polskich stołach wieprzowina w porównaniu z majem zeszłego roku podrożała o 19,4 proc. Mogące stanowić alternatywę warzywa i jajka – o niemal 25 proc., a ryby o 20 proc. Za tłuszcze roślinne trzeba było zapłacić 15,7 proc. więcej niż rok wcześniej, podczas gdy tłuszcze zwierzęce zdrożały symbolicznie – o 0,5 proc. Rzecz jasna, wahania cen mają zawsze charakter sezonowy i niebawem te proporcje mogą się na jakiś czas odwrócić, ale jedno nie ulegnie zmianie. Żywność „dla uboższych" drożeje szybciej od jedzenia dla tych, którzy na skoki cen są mniej wrażliwi. Wybierając między jakością a ilością, coraz większy odsetek Polaków zdaje sobie sprawę, że nie ma już wyboru. Musi jeść to, co tanie i mocno sycące.

Zagadka 4 kilo

Z prowadzonych cyklicznie przez GUS badań przeciętnego miesięcznego spożycia wybranych artykułów w przeliczeniu na osobę w gospodarstwie domowym wynika, że między rokiem 2010 a 2021... zmniejszyliśmy konsumpcję większości produktów spożywczych. Polski apetyt na pieczywo stopniał w tym czasie z 7,01 do 5,17 kg na osobę miesięcznie. Spożycie mięsa ograniczyliśmy z 5,57 do 4,97 kg, a warzyw – z 9,95 do 7,43 kg. We wspomnianym okresie z miesięcznej diety wykreśliliśmy też statystycznie dwa jaja, ponad pół litra mleka i 170 g ryb. Odstawiamy nawet czekolady i wyroby cukiernicze, bo i tu nastąpił spadek konsumpcji z 1,76 do 1,65 kg miesięcznie. Owszem, pijemy zauważalnie więcej wód mineralnych oraz źródlanych (skok z 3,85 do 5,93 litra) i częściej zajadamy się owocami (wzrost z 3,43 do 3,95 kg na osobę miesięcznie), nie zmienia to jednak faktu, że w ciągu zaledwie 11 lat z polskiego menu w skali miesiąca ubyło... 4,1 kg żywności.

Trudno zakładać, by zapotrzebowanie na kalorie u osobników gatunku *Homo sapiens* zamieszkujących dorzecze Wisły uległo w tym okresie aż takiemu zmniejszeniu, nawet jeśli wziąć poprawkę na zmiany cywilizacyjne, które skutkują zauważalnym spadkiem naszej aktywności fizycznej. Na wadze również nam przecież nie ubywa. Pozostaje jedno wytłumaczenie – w ostatniej dekadzie znacząco wzrosła kaloryczność tego, co trafia na polskie stoły, głównie z powodu nasycenia rynku żywnością produkowaną przemysłowo.

Drożyzna bije po kieszeni głównie najuboższych, zmuszając ich do kupowania tego, co tanie, sycące i niekoniecznie zdrowe.

Dla opisania tego zjawiska dietetycy posługują się terminem gęstości energetycznej, czyli parametrem, który określa, jak bardzo dany produkt „upakowany" jest kaloriami. Uczucie sytości nie jest – na nasze nieszczęście – powiązane z dawką energii, jakiej dostarczają przyjmowane pokarmy. Porcja 200 g ugotowanych ziemniaków może pozwolić poczuć się najedzonym, mimo że dostarcza jedynie 174 kilokalorii, głównie w postaci węglowodanów. Gdyby zastąpić je gotowymi frytkami z supermarketu, w takiej samej porcji, która też powinna dać uczucie sytości, dorzucimy organizmowi już 646 kilokalorii, z czego spora część pochodzić będzie z 30 g tłuszczu, jakim je nasączono, by konsument mógł po prostu wrzucić towar do piekarnika i cieszyć się, że piecze „bez tłuszczu". A może być jeszcze gorzej, bo o próg 600 kilokalorii łatwo też otrzeć się po zjedzeniu dwóch słodkich batoników, które pozostaną niemal niezauważone przez żołądek.

Wyrzuć pan wagę

Gotowa żywność, królująca w marketach i osiedlowych sklepach typu *convenience store*, to także królestwo jedzenia o bardzo wysokiej gęstości energetycznej. Produkt musi być możliwie najtańszy, najtrwalszy, a do tego spełniać estetyczne oczekiwania konsumenta. Marketowa lasagna upakowana jest więc dodatkami, które sprawiają, że może tygodniami czekać w lodówce na nabywcę, nie tracąc przy tym zachęcającego wyglądu. A że przy okazji zawiera o kilkaset kilokalorii więcej od jej odpowiedniczki, która zostałaby zrobiona w domu? Z punktu widzenia konsumenta może to stanowić wręcz atut. Wysokokaloryczna żywność to także iluzja oszczędności czasu. Szybciej się najem, szybciej zajmę się czymś innym. Rzecz bezcenna w świecie, który walczy, żeby z każdej doby urwać jak najwięcej czasu na zawodową efektywność i czas wolny.

– W polskiej dyskusji o epidemii otyłości bardzo brakuje mi również elementów związanych z dobrostanem psychicznym i higieną snu – zauważa Urszula Binduga, dietetyczka. – Płynnie przeszliśmy z jednej sytuacji stresogennej, jaką była pandemia, do kolejnego kryzysu, czyli wojny za naszą wschodnią granicą. Poddany długotrwałemu stresowi organizm uruchamia atawistyczne mechanizmy mogące pomóc mu przetrwać, gromadzi np. kalorie. Jeśli podczas nocnego wypoczynku nie dochodzi do choćby częściowego rozładowania tych emocji, efekty prędzej czy później staną się dostrzegalne na wadze.

Tymczasem, jak wynika z zeszłorocznego badania STADA Health Report, aż 34 proc. Polaków od początku pandemii doświadcza postępującego obniżenia jakości snu. Ponad połowa przesypia najwyżej sześć godzin na dobę. Męczy nas widmo wojny, chorób, skomplikowanych relacji międzyludzkich, ale także zwykła niepewność jutra w obliczu spowolnienia gospodarczego.

– A bez ośmiu godzin zdrowego snu bardzo trudno zachować prawidłową masę ciała, nawet komuś, kto nie nadużywa rozkoszy stołu – wylicza Urszula Binduga. – Osoby, które się nie wysypiają, mają zwiększony apetyt, bo nocny odpoczynek pozwala na regulację poziomu dwóch ważnych hormonów głodu: greliny i leptyny. Ten pierwszy jest uwalniany w żołądku, a jego poziom jest wysoki przed jedzeniem, kiedy żołądek jest pusty, i niski po jedzeniu. Leptyna to z kolei hormon uwalniany z komórek tłuszczowych. Tłumi głód i sygnalizuje sytość w mózgu.

Rozumienie procesów trawiennych na takim poziomie szczegółowości oczywiście nikomu nie zaszkodzi, ale problemem nie jest brak dogłębnego warsztatu dietetycznego. W ankiecie CBOS z 2019 r. aż 54 proc. otyłych Polaków zapytanych o stan zdrowia określiło go jako dobry. Lampka ostrzegawcza zapaliła się ledwie 16 proc. badanych.

Wyrzuciliśmy wagę i nie mamy nadwagi.

©℗ MAREK RABIJ

Systemowa patodeweloperka

ŁUKASZ DROZDA, URBANISTA:

Wiedeń jest wzorcowy. Konsekwentnie buduje mieszkania komunalne i nie wyprzedaje krótkowzrocznie tych już istniejących. Dzięki temu wiedeńczycy mieszkają w tańszych lokalach miejskich i mają regulowane czynsze.

JĘDRZEJ DUDKIEWICZ: Mamy kryzys mieszkaniowy?

DR ŁUKASZ DROZDA: Tak, ale nie jest to nowe zjawisko. Nigdy nie mieliśmy porządnie rozwiązanych problemów mieszkaniowych, zawsze występowały deficyty. Co prawda po raz pierwszy w historii jest mniej więcej tyle mieszkań, ile gospodarstw domowych, ale część z nich ma więcej niż jeden lokal, do tego dużo można by mówić o ich kiepskiej jakości technicznej i nie najlepszym rozmieszczeniu pomiędzy miastem i wsią. W praktyce jest więc duży niedostatek, a coraz więcej osób trafia w dziurę systemową: nie stać ich ani na kredyt czy wynajem, ani nie mają szans na wsparcie publiczne. Jakby tego było mało, pojawiło się około miliona ludzi szukających schronienia przed wojną, co powoduje, że sytuacja właścicieli mieszkań, którzy decydują się je wynajmować, jest jeszcze lepsza, a to skłania do podnoszenia cen.

Jakie są konsekwencje tego, że wielu z nas musi coraz większą część wynagrodzenia wydawać albo na raty kredytu, albo na wynajem?

To obniża jakość życia. Nie dobieramy lokali pod realne potrzeby, które odpowiadają temu, jak żyjemy, jak funkcjonują nasze rodziny i co służyłoby naszemu dobrostanowi psychicznemu. Zamiast tego fiksujemy się na tym, czy inwestycja się nam spina.

Co dla Pana jest patodeweloperką?

To deficyty architektoniczne, urbanistyczne i ekonomiczne składające się na katalog cech mieszkań budowanych przez firmy deweloperskie, które stały się dominującym aktorem na naszym rynku. To efekt polityki, dla której najważniejsza jest równowaga gospodarcza, a nie zaspokajanie potrzeb mieszkaniowych. Zakłada ona, że zdecydowana większość społeczeństwa ma radzić sobie sama i nie może korzystać ze wsparcia publicznego, które też nie jest zbyt duże, bo mieszkalnictwo publiczne i społeczne jest słabo rozwinięte. Ludzie wybierają więc ofertę deweloperów, która jest droga i często nie jest najlepszej jakości. Deweloperzy nie są zaś organizacjami charytatywnymi, ich inwestycje muszą się spinać finansowo. Oszczędzają więc na jakości materiałów, które są też coraz droższe, osiedla mają większą gęstość i intensywność zabudowy, są położone w gorszej lokalizacji i źle skomunikowane z centrami miast.

Program Mieszkanie Plus zakończył się klęską. Teraz rząd stawia na Bezpieczny Kredyt 2 proc., a opozycja chce kredytu wręcz na 0 proc.

Mieszkanie Plus okazało się źle zaprojektowaną próbą wypromowania mieszkalnictwa czynszowego, której podsumowaniem jest obietnica ze strony władz, iż użytkowane lokale będzie można wykupić na własność po preferencyjnych cenach. Co do kredytów, ostatnie, co bym o nich powiedział, to że są bezpieczne. Skorzystają głównie pierwsze osoby, które załapią się na program, bo pozbędą się części kosztów odsetkowych. W przypadku następnych zniwelują to już, niestety, nieuchronne podwyżki cen nieruchomości.

Kredyt 2 proc. nie został uszyty po to, by rozwiązać problemy, tylko żeby odebrać opozycji temat w kampanii wyborczej. To może mieć fatalne skutki, bo strategia polegająca na sztucznym pompowaniu siły nabywczej gospodarstw domowych często kończy się źle. Wszak kryzys z 2008 r. wziął się stąd, że próbowano wciskać własność niezamożnym Amerykanom, którzy nie powinni dostać kredytu. Tąpnięcie, jakie nastąpiło na skutek bańki spekulacyjnej, rozlało się potem na cały świat. Takie działania są też nieefektywne w kwestii wydatkowania środków publicznych, bo zakładają dofinansowanie setkami tysięcy złotych pojedynczych gospodarstw domowych, w dodatku wcale nie najbiedniejszych.

Ale to chyba nie jest żadna nowość?

Było ileś podobnych pomysłów. Zaskoczyło mnie, że w ramach kampanii niektórzy politycy PO nawiązywali do programów Rodzina na Swoim oraz Mieszkanie dla Młodych, konfrontując ich rzekomy sukces z działaniami Zjednoczonej Prawicy. Za koalicji PO-PSL rzeczywiście rok w rok budowano tysiące mieszkań, ale tych deweloperskich, więc to te firmy i sektor finansowy były głównymi beneficjentami dopłat. Obecna propozycja rządu idzie w tym samym kierunku. Będzie to program drogi, mało efektywny i dodatkowo stojący w sprzeczności z narracją PiS, który kreuje się na partię pomagającą najbardziej wykluczonym. Ale jak zdrapiemy warstwę tej godnościowej narracji, okaże się, że chcą dosypywać do majątku lepiej sytuowanym ludziom. Zresztą tym samym jest propozycja dar-

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

mowych autostrad, ona też najbardziej cieszy klasę średnią i wyższą.

A co z propozycją dopłat do czynszu, którą od państwa mieliby dostawać wynajmujący mieszkania? Pomoże, czy kiedy pojawi się wsparcie 600 zł, wzrośnie też koszt najmu, czyli będzie to transfer raczej do właścicieli lokali?

Najlepsze byłoby wprowadzenie podatku od pustostanów, żeby zaczęły trafiać na rynek, ale żadna ze stron politycznego sporu nie ma odwagi tego zrobić. Istnieją pośrednie rozwiązania, jak społeczne agencje najmu, do których w swoich programach odwoływały się obie największe partie. To zachęta dla właścicieli lokali do wynajmowania ich na cele mieszkalnictwa komunalnego, za mniejsze czynsze, za to z gwarancją większej stabilności i wypłacalności, bo najemcą będzie samorząd, a nie lokator. To na pewno ciekawsze rozwiązanie niż dopłata 600 zł do czynszu dla osób wynajmujących, tym bardziej że nie pojawiły się żadne obwarowania, więc oferta brzmi jak zachęta do podwyższenia komornego o kwotę proponowaną do dorzucenia najemcom przez państwo. Jeżeli już wprowadzać takie pomysły, to z limitami blokującymi nadmierne podwyżki i z ustaleniem parametrów, które muszą spełniać lokale, by łapać się do programu – chociażby ich wielkość w relacji do liczby najemców, wydajność energetyczna czy dostępność architektoniczna dla osób z niepełnosprawnościami. Rządowy pomysł jest więc typową propozycją w formule kampanii wyborczej, a nie polityki tworzonej na podstawie diagnozy potrzeb.

W innych krajach są podobne problemy czy jesteśmy wyjątkowi na tle Europy?

Żelazna kurtyna wciąż jest widoczna w mieszkalnictwie, szczególnie w różnicach między Polską i Niemcami, które są najczęściej wynajmującym społeczeństwem w Europie. To zresztą może wydać się dziwne, że w krajach z komunistyczną przeszłością odsetek osób posiadających na własność zamieszkiwany przez siebie lokal jest wyższy. Z drugiej strony w Europie Zachodniej jest większy udział mieszkań spłacanych z kredytów, podczas gdy w Polsce lokali obciążonych hipoteką wbrew pozorom jest niewiele. Polskie zasoby mieszkaniowe są też mniejsze, do tego przeludnione, a nasze państwo jako biedniejsze nie oferuje lokatorom prawie żadnej pomocy socjalnej. Ludzie mniej chętnie decydują się na wynajmowanie, bo ich nie stać; w efekcie w jednym mieszkaniu funkcjonuje często więcej niż jedno gospodarstwo domowe, a młodzi ludzie później wyprowadzają się od rodziców. Praktycznie nie ma też alternatywy dla deweloperki, skoro w największych miastach w Polsce to właśnie deweloperzy budują nawet ponad 95 proc. mieszkań.

Są rozwiązania, które mogłyby służyć za dobry kierunek dla nas?

Jeśli chodzi o całą Europę, to nie ma jednego modelu i nawet posługiwanie się kategoriami Wschód–Zachód może być mylące. Weźmy na warsztat Niemcy, których kawał to przecież byłe NRD. Tam inaczej niż u nas rozwiązano kwestię prywatyzacji mieszkań, odbyła się ona szybciej i w bardziej skomasowany sposób, poddano jej całe spółdzielnie mieszkaniowe, a lokale wykupywano razem z lokatorami. To, do czego jesteśmy przyzwyczajeni w Polsce, że wykupu mógł dokonać sam lokator, nie wszędzie było standardem i w takiej sytuacji mieszkańcy stawali się klientami nowych podmiotów właścicielskich, a nie właścicielami. Przez to pojawił się problem wielkich operatorów, czyli firm, które zaczęły dysponować setkami tysięcy lokali, ze sporą możliwością wpływania na rynek, za co są mocno krytykowane. Jednocześnie Polska też nie jest skrajnym przykładem, bo prywatyzacja poszła dalej w państwach na wschód od nas lub w niektórych bałkańskich, gdzie udział mieszkań własnościowych zbliża się do 100 proc., u nas wynosząc 86.

W Niemczech czy chociażby w austriackim Wiedniu ważne jest też chyba to, że samorząd to silny i aktywny gracz na rynku, mający w swoich zasobach dużo lokali i mogący kontrolować w ten sposób wysokość czynszów na rynku. Powinniśmy się na tym wzorować?

Wiedeń jest zdecydowanie wzorcowy. Przede wszystkim są tam konsekwentni w budowie nowych mieszkań komunalnych i niewyprzedawaniu tych już istniejących w krótkowzroczny sposób. Dzięki temu większość wiedeńczyków mieszka w lokalach miejskich lub takich o regulowanych czynszach. Wielka Brytania miała podobne doświadczenia z budownictwem komunalnym, ale w pewnym momencie rządzący z Partii Konserwatywnej uznali, że zwiększa to liczbę wyborców Partii Pracy, więc zdemolowali system, aby zyskać wdzięczność części elektoratu w ramach masowej prywatyzacji – w tym przypadku mieszkania wyprzedawano lokatorom z dużymi bonifikatami, przez co dzisiaj trudno jest tam prowadzić jakąkolwiek strategię w ramach polityki mieszkaniowej. W Wiedniu wygląda to inaczej – polityka mieszkaniowa jest świadomie prowadzona od dziesiątek lat, panuje w tym zakresie pełen konsensus.

W krajach z większą liczbą mieszkań czynszowych żyje się lepiej, bo łatwiej jest wpływać na ceny rynkowe?

To nie jest tylko kwestia tego, że zasoby publiczne w krajach Europy Zachodniej – w Holandii to np. jedna trzecia wszystkich mieszkań – są większe, chociaż to oczywiście prawda. Ale nawet rynek prywatny nie jest do końca komercyjny, bo istnieje szereg ograniczeń. Przy czym i tam pojawiają się spory, bo np. niemiecki Trybunał Konstytucyjny odwołał blokadę podwyżki czynszów uchwaloną przez samorząd w Berlinie. Z kolei we wspomnianej Holandii oraz w Szwecji budowanie ↦

↦ mieszkań komunalnych uznano za przypadki nieuzasadnionej pomocy publicznej, godzącej w interesy deweloperów. To pokazuje, że nawet w najbardziej rozwiniętych państwach postulat traktowania mieszkania jako prawa, a nie towaru, nie zawsze znajduje posłuch. Generalnie jednak w tych krajach są dokładne przepisy dotyczące podwyżek czynszów i warunków, które trzeba spełnić, by można było je wprowadzać. Takim powodem mogą być np. remonty mieszkań, choć zdarza się, iż pod płaszczykiem renowacji właściciele pozbywają się niechcianych lokatorów i zastępują ich nowymi, którzy po remoncie płacą wyższy czynsz. Jednak co do zasady system oparty jest na tym, że wysokość czynszów nie może być wzięta z powietrza.

W Polsce niczego takiego nie ma. A do tego nasze zasoby komunalne, chociaż wciąż nie aż tak małe, kurczą się, bo z roku na rok ubywa lokali na skutek degradacji technicznej budynków lub ich wyprzedaży przez samorządy.

Jest jakaś szansa, że coś się u nas zmieni?

Jesteśmy w momencie systemowej zmiany, co na razie widać w Warszawie i kilku innych dużych miastach. Chodzi o coraz mocniejszy rynek najmu instytucjonalnego. Firmy deweloperskie, widząc, że ludzie nie są w stanie kupować mieszkań, bo są one zbyt drogie, postanawiają przerzucić się na coś, co odpowiada realnym potrzebom i jest przyszłościowe, czyli na wynajem. Deweloper może samodzielnie lub w partnerstwie z jakimś innym podmiotem stać się wówczas operatorem wynajmującym takie lokale. Jest to robione trochę na niemiecki wzór, gdzie duży podmiot ma w zasobach setki albo i tysiące mieszkań, więc nie przejmuje się tym, że ktoś będzie niewypłacalny, bo przy takiej skali jest to wpisane w biznesplan. Problem polega na tym, że te mieszkania są z reguły dużo droższe. Już niedługo nie będzie to np. 2-4 tys. miesięcznie, ale ponad 5 tys. zł. Jest to więc bardzo atrakcyjne dla kadry zarządzającej, ale niekoniecznie dla większej liczby odbiorców.

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

DR ŁUKASZ DROZDA jest urbanistą, politologiem, adiunktem na Wydziale Stosowanych Nauk Społecznych UW oraz wykładowcą w School of Ideas Uniwersytetu SWPS. Autor m.in. książki „Dziury w ziemi. Patodeweloperka w Polsce".

Do czego może to doprowadzić?

Boję się, że rynek najmu będzie jeszcze bardziej darwinistyczny, a konieczność gniazdowania u krewnych spotykana jeszcze częściej. Tym bardziej że nie dość, iż nawet po zakończeniu wojny spora część osób z Ukrainy może chcieć u nas zostać, to jeszcze niewykluczona jest kolejna duża migracja, tym razem z Białorusi, gdzie też może dojść do dalszej destabilizacji, nie wspominając o innych miejscach na świecie. Jednocześnie rozwój rynku może być szansą, dzięki której zacznie się więcej mówić na temat mieszkalnictwa czynszowego. Przestaniemy narzekać, że czynszówki są mniej atrakcyjne od mieszkań własnościowych, bo nie mogą być lokatami kapitału, tylko dostrzeżemy, że są bardziej atrakcyjne cenowo. To wpłynie na aspiracje i oczekiwania – dzisiaj za każdym razem na hasło „mieszkania na wynajem" słyszymy mantrę o tym, że to się nie opłaca, że lepiej mieć akt własności. Ale nacisk na własność zmniejszy się dzięki temu, że stanie się ona coraz mniej dostępna, a nie z powodu opowiastek o mniejszym przywiązaniu młodych ludzi do wartości materialnych. I to się zadzieje, czy to się komuś podoba, czy nie.

Rynek już to dostrzega. Deweloperzy zaczynają myśleć o tym, jak mieć długoterminowe zyski z wynajmu nieruchomości i wchodzić w sensowne partnerstwa publiczno-prywatne. Politycy co prawda wciąż jeszcze tkwią w starych schematach i jak katarynka powtarzają, że należy upychać społeczeństwu jak najwięcej kredytów hipotecznych, ale to się skończy. Jedną z patologii w polskim mieszkalnictwie jest krótki horyzont wyobraźni tych, którzy pozwolili jej rozwinąć skrzydła. Będą musieli przestawić to myślenie na inne tory.

© Rozmawiał JĘDRZEJ DUDKIEWICZ

REKLAMA

„Edith go kocha. Więcej o tym potem".

Państwowy Instytut Wydawniczy zachęca do czytania książek Roberta Walsera

Zapraszamy do księgarni internetowej **www.piw.pl** oraz na ul. Foksal 17 w Warszawie

Celujący

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Pod koniec swojego – być może – ostatniego roku szkolnego w tej roli minister Czarnek zasłużył na świadectwo.

To coś jak kres edukacyjnego cyklu – np. ósmej klasy. W niemal każdym przedmiocie Przemek z 8A (prymus; żywotny i krzepki okularnik, który podczas gry w kosza na wuefie tratuje przez przypadek wszystko i wszystkich) zasłużył na najwyższe noty. I na świadectwo z czerwonym paskiem (interpretacja – zaznaczmy – że chodzi o pasek pojawiający się u dołu telewizora, jest niegodziwa).

ZACHOWANIE: wzorowe

„Pani jest głupia czy pani po prostu tak mówi tylko?" – zapytał rzeczowo dziennikarkę „Wyborczej", która wypytywała go arogancko o pogląd na czerpanie przyjemności z seksu (chodziło o to, czy PiS takiego seksu zabroni). Czarnek zachował się tak jak każdy przyzwoity człowiek niepokojony podobnymi pytaniami, w dodatku podczas wchodzenia po schodach (był tym wchodzeniem zdyszany, a dziennikarka wyraźnie prowokowała).

Sytuacja miała miejsce 7 września 2022 r., a więc na starcie roku szkolnego. To pokazuje nabytą przez ucznia 8A znajomość rządzących szkołą praw: daj się poznać z jak najlepszej strony na początku, to później „pojedziesz na nazwisku".

RELIGIA: celujący

W tej lekcji nie trzeba uczestniczyć, ale on uczestniczył – i to bardzo. „Ksiądz Boniecki to nie jest Kościół katolicki ani chrześcijański. To jest jakiś Kościół neoprotestancki, bo to nic wspólnego z dziesięcioma przykazaniami Bożymi nie ma" – powiedział, ani na moment nie rezygnując z powierzonej mu (przez niego samego) misji stawiania granic ortodoksji.

Był jak uczeń, który nie tylko uczestniczy, nie tylko odpowiada na pytania katechetki, nie tylko pobożnie, acz stanowczo potakuje – ale też robi porządki. Albo się koledzy i koleżanki będą pilnować, albo niech idą na etykę lub do domu.

MATEMATYKA: celujący

Za to, że zgadzają się rachunki, zwłaszcza partyjne. Za pokazanie, że w polityce liczy się lekceważona przez szkołę matematyka: dodawane do siebie milionowe sumy z programu Willa Plus, które przyznawał organizacjom pragnącym patriotycznie wybudować lub wyremontować jakąś nieruchomość, muszą dać jedynie słuszny wynik – wygraną w wyborach.

Bledną przy tym inne nabyte przez ucznia 8A kompetencje: mnożenia (wrogów w innych klasach) oraz dzielenia (na kolegów prawdziwie polskich i prawdziwie niepolskich; na koleżanki katolickie oraz neoprotestanckie itd.).

HISTORIA: celujący

Ktoś mało rozumny powiedział, że nie da się zrozumieć historii Polski bez zrozumienia historii regionu czy Europy. Czarnek tak długo tę doktrynę odwracał, aż wpoił jej nową wersję ludziom dobrej woli. „Nie ma historii Stanów Zjednoczonych bez Kazimierza Pułaskiego i Tadeusza Kościuszki, nie ma Wiosny Ludów w Europie bez udziału Polaków, nie ma wojen napoleońskich bez księcia Józefa Poniatowskiego. My, Polacy, uczestniczyliśmy w dziejach świata, chociażby obrona Europy przed islamem pod koniec XVII wieku – słynna odsiecz wiedeńska króla Jana. To będzie utrzymane" – mówił np. zastępca Czarnka Tomasz Rzymkowski, zapowiadając nie tyle (jak by można sądzić) powtórzenie odsieczy wiedeńskiej, co po prostu nowy szkolny przedmiot.

WOS: celujący

Za lekcję nowoczesnego społeczeństwa obywatelskiego, w którym społeczności obywatelskie poznają swoje miejsce w społeczeństwie. Ich wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się klamka od zamkniętej szkolnej furtki.

O tym, co jest po drugiej stronie tej furtki, decydują natomiast rodzice. Pod warunkiem, iż mają oni nowoczesne spojrzenie na społeczeństwo obywatelskie, w idealnym zaś wariancie są przy okazji kuratorami oświaty.

FIZYKA: dopuszczający

To rysa na wizerunku Czarnka. Przez cały rok nie dowiódł tu niczego, co służyłoby narodowi. Nieśmiałe nawiązania do katastrofy smoleńskiej („Nie wierzę, że to był zwykły przypadek") to mało. Nie było w tych rozważaniach niczego, co pozwoliłoby nam wyjść poza krąg znanych już i zużytych praw fizyki.

Był więc minister jak prymus, który na tej jednej lekcji jest rozkojarzony. Zdarza mu się pogryźć gumkę od ołówka, rozciągnąć w palcach gumę do żucia albo porysować książkę od fizyki małymi czołgami z czasów II wojny światowej.

WDŻWR: uczestniczył

Pokazał prawdziwe oblicze polskiego życia w rodzinie, prezentując przy okazji gotowość do jakiejś kolejnej odsieczy. „Neomarksistowscy ideolodzy z Niemiec, którzy pieczołowicie zabiegają o to, żeby Niemiec nie był chrześcijaninem i był rozwiązły, liczą, że to samo będzie miało miejsce w Polsce" – mówił.

Zdarzało mu się też bronić swojej własnej rodziny. Na wieść o tym, że burmistrz Ustrzyk Dolnych chce zakazać używania książki prof. Roszkowskiego do HiT, Czarnek powiedział grzecznie, że zakazywać książek to burmistrz może swojej żonie. Tego prostego, odwołującego się do ciepła domowego ogniska przekazu nie zrozumiał jeden z radiowych redaktorów, który zapytał ministra, czy i on zakazuje swojej żonie czytać. „Nie pański interes, co ja robię ze swoją żoną w swoim domu" – odpowiedział minister.

■■■

„Nie państwa interes, co ja robię ze swoją edukacją i swoją nauką w swoim ministerstwie" – mógłby też powiedzieć, ale nie powiedział. A szkoda, bo to pasowałoby nam na podsumowanie. Na szczęście powiedział coś podobnego. „Analizujemy, z jakich uczelni to jest, i będziemy na to reagować. Nie ma pozwolenia na to, żeby coś, co nauką nie jest, tylko jest zwykłym chamstwem antypolskim, było finansowane za pieniądze Polski" – tak zareagował na list w obronie prof. Engelking, której ustalenia badawcze stanęły złośliwie po niewłaściwej stronie furtki.

W ten sposób Czarnek wysłał sygnał, że żadna edukacja ani nauka nie przeszkodzą mu w rzetelnym wykonywaniu swoich obowiązków. Im szybciej to zrozumieją, tym lepiej dla nich.

Edukacja ma czas do 1 września; nauka miesiąc dłużej. ©℗

Zabawy z ogniem

PIOTR WÓJCIK

Pod rządami partii, która na sztandarach ma obronę polskich granic przed imigrantami, staliśmy się krajem absorbującym ogromną liczbę cudzoziemców. Popełniamy jednak te same błędy, co przed laty Zachód.

Setki tysięcy zezwoleń na pracę, które Polska w ostatnich latach przyznaje regularnie osobom spoza UE, ugodziły rykoszetem w partię władzy. Sprawiły, że nowy wymiar zyskał pomysł Jarosława Kaczyńskiego, planującego w dniu wyborów referendum na temat mechanizmu wymuszającego na państwach członkowskich Unii przyjęcie pewnej liczby imigrantów. Opozycja zarzuca PiS, że sam po cichu sprowadza tłumy przybyszów, by potem szczuć na nich Polaków i obwiniać Unię.

Czy temat imigracji ma szansę być jednym z decydujących w kampanii, tak jak to było w 2015 r.? Cyniczne założenie, że da się na fali niechęci do ludzi z Azji i Afryki dopłynąć pomyślnie do wyborów, jest ryzykowne. Nie zmienia to faktu, że problem istnieje, a Polska nie jest przygotowana na harmonijne przyjęcie tysięcy ludzi z całego świata, gdyż nasz rząd nie prowadzi spójnej polityki migracyjnej, ograniczając się jedynie do wydawania zezwoleń na przyjazd.

Zmiana kierunków

Pod Płockiem powstał kompleks baraków dla pracowników z zagranicy, który szumnie nazwano „miasteczkiem dla imigrantów". Zamieszka w nim co najmniej kilka tysięcy pracowników sprowadzonych przez koreańskiego wykonawcę inwestycji dla Orlenu. W 2020 r. podobny kompleks powstał w województwie zachodniopomorskim, gdzie ten sam wykonawca realizował inwestycję dla Polimerów Police.

To tylko najgłośniejsze przykłady. Pracowników z Azji, a nawet z Afryki ściągają mniejsze i większe przedsiębiorstwa z całej Polski, niemal z wszystkich działów gospodarki. Według badania przeprowadzonego przez Polski Instytut Ekonomiczny z takich ludzi korzysta co czwarta polska firma i ponad połowa dużych, czyli zatrudniających powyżej 250 osób.

Zgodnie z informacjami Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej w 2021 r. wydano ponad pół miliona zezwoleń dla pracowników spoza UE. Wtedy dotyczyło to jeszcze w większości Ukraińców i Białorusinów. Rok temu takich zgód wydano 365 tys., jednak obie te grupy narodowe należały już do zdecydowanej mniejszości.

– Liczbę wszystkich cudzoziemców spoza UE pracujących obecnie w Polsce, z wyłączeniem Ukraińców i Białorusinów, możemy oszacować pomiędzy 500 a 600 tys. – wyjaśnia prof. Maciej Duszczyk, członek rady naukowej Ośrodka Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego. – Wliczamy w to zezwolenia na pracę, także tę sezonową, oraz oświadczenia o powierzeniu pracy cudzoziemcowi, co dotyczy obywateli pięciu państw, w tym Armenii, Gruzji i Mołdawii. Doliczyć trzeba jeszcze cudzoziemców, którzy mogą podejmować pracę bez zezwolenia, to np. studenci i absolwenci polskich uczelni. A jest ich coraz więcej, gdyż polskie szkoły wyższe kilka lat temu szeroko otworzyły się na osoby z zagranicy.

W ubiegłym roku zezwolenie na pracę otrzymało m.in. rekordowe 41 tys. mieszkańców Indii, 33 tys. Uzbeków, 22 tys. Filipińczyków i 20 tys. Nepalczyków. Na dużą skalę zaczynają pojawiać się także mieszkańcy państw afrykańskich – najwięcej z Nigerii (1,6 tys.), ale po kilkaset osób przyjechało także z Angoli, Kamerunu czy Demokratycznej Republiki Konga. Łącznie zezwolenie na pracę w Polsce otrzymali w zeszłym roku obywatele 140 państw świata – w tym z Dżibuti, Beninu, Haiti i Jamajki.

– W zeszłym roku wydano też w Polsce ponad sto tysięcy zezwoleń na pobyt stały. To jedna z pierwszych wskazówek, że imigracja czasowa przekształca się w imigrację stałą. Co jest też jednym z wyznaczników przekształcania się danego kraju w państwo imigracyjne – tłumaczy prof. Duszczyk.

Zezwolenia na pobyt stały dotyczą głównie Ukraińców i Białorusinów, gdyż to oni dominowali w pierwszych falach imigracji zarobkowej do Polski. Od około dwóch lat struktura narodowościowa imigrantów wyraźnie się różnicuje, co jest częściowo spowodowane dynamicznym odbiciem gospodarki po pandemii, ale przede wszystkim wojną w Ukrainie. Przedsiębiorcy nie mogą już tak łatwo znaleźć pracowników za naszą wschodnią granicą, więc zaczęli ich szukać dosłownie wszędzie.

– Pracodawcy, którzy mieli zakontraktowanych obywateli Ukrainy, z powodu wojny nagle zostali ich pozbawieni. Gdy spojrzymy na statystyki przyjazdów z krajów spoza UE, Ukrainy i Białorusi, zobaczymy wzrosty o 80-100 procent – mówi Maciej Duszczyk.

Polityczne gry

Pomimo trwającego od półtora roku kryzysu uchodźczego i rekordowego napływu pracowników z Azji temat imigracji do Polski nie był w ubiegłym roku wiodącym w debacie publicznej. Stał się nim dopiero wtedy, gdy Rada UE przyjęła projekt pakietu azylowego w sprawie kryzysu uchodźczego na Morzu Śródziemnym, zobowiązujący państwa unijne do uczestniczenia w ich relokacji, a polska partia rządząca zapowiedziała referendum w tej sprawie. W 2015 r. zagranie na emocjach antyimigranckich przyniosło PiS korzyść, jednak powtórzenie tego manewru niemal dekadę później może być trudniejsze, zwłaszcza że istnieją przesłanki, by Polsce zaliczyć w ramach pakietu azylowego ciężar przyjęcia uchodźców wojennych z Ukrainy.

– Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Sytuacja się zmieniła, poza tym znacznie łatwiej podnosi się tego typu tematy, gdy samemu jest się w opozycji, jak PiS w 2015 r. Trudniej jest te postulaty egzekwować, gdy samemu się rządzi i pojawia się presja pracodawców – mówi prof. Flis, socjolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Te setki tysięcy ludzi nie zostały przecież ściągnięte w ramach jakiejś akcji rządowej, ale na skutek decyzji poszcze-

PIOTR HEJKE / AGENCJA WYBORCZA.PL

Olefin III – miasteczko pracownicze PKN Orlen w Starej Białej pod Płockiem, czerwiec 2023 r.

gólnych przedsiębiorców, którzy potrzebują rąk do pracy.

Rząd z jednej strony deklaruje więc antyimigranckie nastawienie, ale z drugiej dobrze wie, że zablokowanie imigracji miałoby fatalne skutki dla gospodarki. Ten paradoks zaczęła wykorzystywać opozycja, która wytyka rządzącym rekordowe liczby ściągniętych nad Wisłę pracowników z Azji i Afryki.

– Sprawa imigracji wpisuje się w największy polski problem, czyli w nadmierną instrumentalizację wszystkich istotnych tematów. Nie prowadzimy dyskusji, tylko chcemy „zaorać" przeciwnika. Nie próbujemy rozwiązać problemu, tylko chcemy pokazać, że go rozwiązujemy, a to nie jest to samo – mówi prof. Flis.

Podczas niedawnego wiecu w Poznaniu lider PO Donald Tusk podawał liczbę pracowników z krajów muzułmańskich, którzy przybyli do nas w ostatnich latach. Dla porównania pokazywał wielokrotnie niższe statystyki z ostatnich lat rządów PO-PSL. Powtórzył to w Jeleniej Górze, nawiązując do zabójstwa młodej Polki na greckiej wyspie Kos, gdzie podejrzanym jest imigrant z Bangladeszu. „135 tysięcy ludzi wpuszczono do Polski w 2022 r. z państw muzułmańskich. W czasie ostatniego roku rządów PO to było 3,3 tysiąca osób. Nie mam nic przeciwko innej rasie i wyznaniu. Zawsze szanujemy ludzi. Mówię tu jednak o tym, żeby wreszcie ujawnić kłamstwa Morawieckiego w sprawie imigracji. Oskarżam pisowski rząd o sprowadzanie niekontrolowanej liczby ludzi, którymi nikt się nie zajmuje. Z samego Bangladeszu sprowadzili więcej migrantów niż mój rząd przez cały rok ze wszystkich tych państw" – alarmował Tusk, odwołując się zapewne do nieco zapomnianego, prawego skrzydła swojego elektoratu.

– Przewaga wyborców identyfikujących się w Polsce jako prawica jest tak duża, że partia określona w ten sposób ma wielki bonus. Dla opozycji kluczowe znaczenie ma więc to, żeby nie dała sobie przykleić łatki „lewicowo-liberalnej", bo wtedy przegra – tłumaczy Jarosław Flis.

Opozycja coraz częściej próbuje więc łowić wśród licznych wyborców konserwatywnych, którzy jednocześnie są przeciwni partii rządzącej. Kiedyś stanowili ważną grupę zwolenników PO, dziś spoglądają częściowo w stronę Konfederacji. Aby ich przyciągnąć, opozycja znacznie chętniej odwołuje się ostatnio do patriotyzmu i biało-czerwonych barw, które dominowały choćby podczas marszu 4 czerwca. W patriotycznej narracji nie ma oczywiście niczego złego, jest jednak ryzyko, że antyimigracyjny przekaz przyniesie korzyść głównie Konfederacji, dla której jest zdecydowanie bardziej naturalny.

– Oni w tej sprawie mają pełną swobodę manewru. Z jednej strony mogą krytykować paskudną Unię, z drugiej lekkomyślny PiS, który „wpuszcza do Polski tysiące Azjatów" – twierdzi Jarosław Flis.

Dla wszystkich stron sporu to gra niebezpieczna. Może się odbić nie tylko na tysiącach pracowników z Indii czy Pakistanu, ale też na półtora miliona ofiar wojny z Ukrainy, zarazem przynosząc nam kolejne niepokoje społeczne i poważne turbulencje w gospodarce.

Od emigracji do imigracji

Imigranci trafiają głównie do tych branż i działów naszej ekonomii, w których jest najwięcej wakatów. Według GUS w 2021 r. przemysł miał 35 tys. nieobsadzonych miejsc pracy, a budownictwo 20 tys. Następny w kolejności był handel (15 tys.), a zaraz za nim transport i logistyka (12 tys.). W tym samym roku przemysł, budownictwo i transport z logistyką odpowiadały też za dwie trzecie zezwoleń na pracę wydanych cudzoziemcom. Podobnie było w 2022 r. Struktura wykonywanych zawodów jednak się zmienia.

– Cechą państwa imigracyjnego jest to, że cudzoziemcy zaczynają pojawiać się właściwie wszędzie. Oczywiście nadal pracują głównie w kilku branżach, ale jeśli spojrzymy na obecnie wydawane zezwolenia na pracę, to znajdziemy je już we wszystkich działach gospodarki – twierdzi prof. Duszczyk.

Polska przez lata była państwem emigracyjnym, skąd więcej ludzi wyjeżdżało „za chlebem", niż szukało tu szczęścia, jednak mniej więcej w połowie drugiej dekady XXI w. nastąpił znaczący przełom na rynku pracy – miejsc zatrudnienia zaczęło być więcej niż kandydatów, a firmy notowały pierwsze poważne problemy ze skompletowaniem załóg. Zarazem w latach 2013-2018 stopa bezrobocia spadła z niemal 11 do mniej niż 4 proc. W ciągu kilku lat nastąpiła więc niemalże rewolucja w zatrudnieniu, co wywołało presję na ściąganie pracowników z zagranicy. Pierwsze fale imigracji do Polski miały miejsce jeszcze pod koniec rządów PO-PSL, chociaż wtedy byli to przede wszystkim obywatele Ukrainy.

– Polska jest państwem, które najszybciej w historii przeobraziło się z kraju o charakterze emigracyjnym w państwo imigracyjne. Nastąpiło to w mniej niż dekadę. Jak na razie większe problemy na tym tle jeszcze nie wystąpiły, tak ↦

↦ jak początkowo nie było ich w Szwecji, Niemczech czy Holandii. Wyzwania pojawiają się w momencie przekształcania się imigracji krótkookresowej w długookresową. Największe problemy notuje się w trzecim pokoleniu, gdy potomstwo dzieci pierwszych imigrantów jest nadal na różne sposoby wykluczone. Stara się więc szukać swoich korzeni, gdyż nie akceptuje własnej sytuacji społeczno-ekonomicznej. Radykalizacja imamów w Wielkiej Brytanii nastąpiła właśnie w trzecim pokoleniu – tłumaczy Maciej Duszczyk.

Oczywiście brak rąk do pracy nie jest jedynym czynnikiem zachęcającym do zatrudniania pracowników spoza UE. Tym drugim są niższe koszty. Według badania przeprowadzonego przez Polski Instytut Ekonomiczny prawie jedna trzecia przebadanych firm przyznała, że imigranci mają niższe oczekiwania płacowe niż Polacy. Jednak 40 proc. było innego zdania, co oznacza, że ta kwestia nie musi być głównym czynnikiem migracji do Polski, ale na pewno odgrywa istotną rolę.

Polska jest krajem, który najszybciej w historii przeobraził się z państwa o charakterze emigracyjnym w imigracyjne.
Zajęło nam to mniej niż dekadę.

– Pozycja imigrantów na rynku pracy zawsze jest słabsza, a celem pracodawców jest osiągnięcie zysków. To nie specyfika Polski, tylko każdego państwa imigracyjnego. Te miasteczka spod Płocka i spod Polic przypominają mi baraki, w których wcześniej mieszkali Polacy zbierający truskawki po kilkanaście godzin dziennie w Szwecji – wskazuje Maciej Duszczyk.

Tak dynamiczny napływ pracowników spoza Europy powinien zostać poprzedzony przygotowaniami ze strony rządu, by proces ten nie wywoływał napięć społecznych. Chodzi o potencjalne nieporozumienia nie tylko na tle kulturowym, ale też ekonomicznym – chociażby na rynku mieszkaniowym, gdzie z uwagi na duży popyt ceny czynszów biją absolutne rekordy. Niestety, Polska w ogóle nie podjęła takich działań przygotowawczych.

– Rząd idzie dokładnie tą samą drogą co wcześniej rządy niemiecki, francuski, holenderski i szwedzki. Kompletnie lekceważy słynne zdanie szwajcarskiego pisarza Maxa Frischa: „Zaprosiliśmy siłę roboczą, a przyjechali ludzie". Widzimy w imigrantach wyłącznie czynnik ekonomiczny zapewniający nam wzrost gospodarczy, a zupełnie nie dostrzegamy w nich osób mających swoje ambicje i marzenia – mówi prof. Duszczyk.

– Od lat powtarzam, że polska polityka polega na rywalizacji między tymi, którzy ignorują problemy, a tymi, którzy wykazują się ignorancją podczas ich rozwiązywania – konkluduje prof. Jarosław Flis.

© PIOTR WÓJCIK

REKLAMA

Pierwsza powieść dwukrotnego laureata Nagrody Pulitzera, zdobywcy National Book Award oraz Nagrody im. Arthura C. Clarke'a.

Paraboliczna przypowieść w duchu dystopijnej science fiction, która po raz pierwszy zwróciła uwagę na cenionego dziś pisarza.

„Whitehead ma ten sam zmysł absurdu co Joseph Heller, widowiskowy rozmach Pynchona i umiejętność dekonstruowania pojęć „rasa" i „rasizm" niczym Toni Morrison.
„SAN FRANCISCO CHRONICLE"

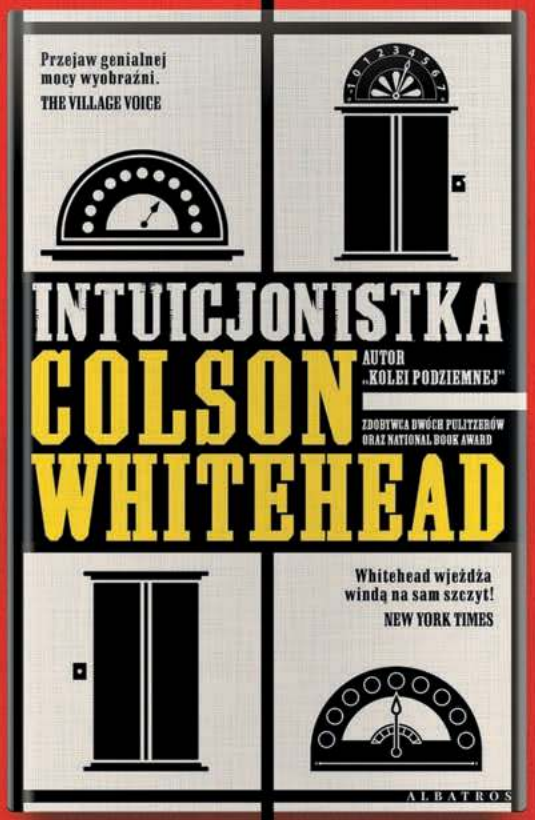

WYDAWNICTWO ALBATROS

TOMASZ

Stawiszyński: *Tanatos w wirtualnym świecie*

Gdyby Zygmunt Freud żył w epoce mediów społecznościowych, być może psychoanalityczna idea nieświadomości wyglądałaby zupełnie inaczej. To bowiem, co postrzegał jako siły ukryte, bytujące gdzieś poza obszarem naszego „ja" (nawiasem mówiąc, wcale nie „pod" świadomością – wbrew rozpowszechnionej w poppsychologii nomenklaturze – lecz raczej dookoła), w uniwersum Facebooka czy Twittera bez skrępowania grasuje na powierzchni. Nic tu się nie kamufluje, nic nie jest niedostępne. Wręcz przeciwnie: najbardziej perwersyjne fantazje, okrucieństwa i popędy, wyswobodzone z wszelkich więzów, radośnie defilują wprost przed naszymi oczami. Zarazem jednak – Freud mógłby swoich bazowych definicji bronić – okazują się zastanawiająco niewidoczne zwłaszcza dla tych, którzy je do przestrzeni informacyjnej uwalniają.

Może więc tak naprawdę mamy tu do czynienia z fenomenem wyjętym wprost z psychoanalitycznych książek, tyle że w nowym, technologicznym kostiumie? Wiadomo: ludzie z pozoru poukładani, porządni, sympatyczni i życzliwi (to o nas) w swoim świecie wewnętrznym kultywują jakieś zupełnie inne, nieoczywiste, mroczne tożsamości – częściowo albo całkiem nieznane personie, z którą się identyfikują. A sfera wirtualna to coś na kształt uzewnętrznionej fantazji, gdzie dochodzi do ekspozycji tych właśnie aspektów osobowości, które na co dzień chowane są przed światłem dziennym. I które tym samym – co najważniejsze – stają się dostępne i widoczne dla wszystkich wokół. To trochę tak, jakby każdy z nas dysponował zarezerwowaną niegdyś wyłącznie dla jasnowidzów, wróżek czy wampirów zdolnością wnikania w cudze myśli. Wkraczając do internetu, stajemy się nagle mimowolnymi świadkami tego, co dzieje się w cudzych głowach, ale także – bo przecież mowa tu również o mnie i o Tobie, droga Czytelniczko i drogi Czytelniku – sami mniej lub bardziej bezwiednie demonstrujemy rozmaite imaginacje, którym niekoniecznie skłonni bylibyśmy dawać wyraz gdziekolwiek indziej.

Jest to oczywiście temat nienowy i nienowe diagnozy, niemniej przypominam sobie o nich za każdym razem, kiedy natykam się w sieci na jakieś wyjątkowo drastyczne przejawy tej specyficznej dysocjacji na „ja" realne i „ja" wirtualne. O to zaś akurat nietrudno. Media społecznościowe dzień w dzień spływają agresywnymi, pełnymi złej woli komentarzami. Zdarzają się jednak nawet w tym potoku fale o wyjątkowej intensywności – zazwyczaj, kiedy dzieje się coś szczególnego, co w ten czy inny sposób wytrąca nas z rytmicznej codzienności. Na przykład kiedy pojawia się informacja o zamordowaniu młodej dziewczyny na wyspie Kos, a także o tym, że w nocy, kiedy doszło do morderstwa, spędziła ona wieczór w barze z poznanymi właśnie mężczyznami o innym niż biały kolorze skóry.

Przyznam, że dawno nic nie wywarło na mnie takiego wrażenia jak setki, tysiące brutalnych, wulgarnych słów na temat tej tragicznie zmarłej dziewczyny. Słów wylewających się z facebookowych czy twitterowych kont, słów pozbawionych jakiejkolwiek, choćby elementarnej zupełnie wrażliwości już nie tylko na dramat ofiary, ale także – a może w tych okolicznościach przede wszystkim – na nieopisany ból jej najbliższej rodziny, przyjaciół czy znajomych.

Owszem, są tu w grze wielokrotnie opisane już mechanizmy: odreagowywanie szoku związanego z wydarzeniem, które uderza w powszechne poczucie bezpieczeństwa (skoro w popularnej wakacyjnej miejscowości zabita zostaje młoda dziewczyna, być może każdy z nas jest jakoś w niebezpieczeństwie), oraz *victim blaming*, czyli obwinianie ofiary za przemoc, która ją spotkała, co jest jednym ze sposobów egzorcyzmowania lęku przed chaosem i nieprzewidywalnością, pozwala bowiem zachować złudzenie świata, w którym zło spotyka wyłącznie tych, którzy sobie na nie w taki czy inny sposób zasłużyli. Są to klasyczne strategie redukowania dysonansu poznawczego, które stosujemy wtedy, kiedy nasze głębokie a chwiejne przecież przekonanie, że żyjemy w rzeczywistości znanej, oswojonej i policzalnej – czyli: rano się wstaje, potem się załatwia różne sprawy, wieczorem kładzie spać, a potem znowu, codziennie, budzi się i rozpoczyna tę sekwencję od nowa – zostaje zdemontowane. Da się więc tu przywołać całe mnóstwo mniej lub bardziej naukowych wykładni, poczynając od tej, że w wirtualnym świecie nasz układ nerwowy zachowuje się zupełnie inaczej niż w trójwymiarze, bo na głębokim poziomie nie rozpoznaje, że obcując z awatarami, obcuje tak naprawdę z żywymi ludźmi. A kiedy mamy przed sobą ciała, a nie ekrany, lepiej pracują nam te części mózgu, które odpowiadają za zadzierzganie więzi, mentalizację czy współczucie.

Myślę jednak, że w tym przypadku psychoanaliza sięga głębiej niż nauka. Konfrontując się z bezmyślnym, strasznym okrucieństwem I wojny światowej, Freud sformułował koncepcję popędu śmierci, tanatosa. Jest coś w człowieku – uważał – co niejako z natury działa destrukcyjnie i wbrew życiu w najróżniejszych jego odmianach. Sięga to poziomu instynktu, a więc swoistego gatunkowego *a priori*. Nie da się tego zredukować do żadnego racjonalnego wytłumaczenia, nie da się tego konwencjonalnie „zrozumieć".

Sądzę, że obcując z potokiem nienawiści przepływającym przez media społecznościowe po takich tragediach, jak śmierć 27-letniej Anastazji, twórca psychoanalizy upewniłby się w trafności swojego spostrzeżenia. ©

WIARA

NA WIEKI WIEKÓW AI

Wiemy już, że dalszy rozwój sztucznej inteligencji przemodeluje relacje społeczne, gospodarcze czy system prawny. A co zrobi z naszymi Kościołami i z samą wiarą?

ŁUKASZ OSTRUSZKA

Wyobraź sobie, że idziesz w niedzielę do kościoła. Masz rozładowane duchowe akumulatory i potrzebujesz wzmocnienia. „Drodzy bracia i siostry w Chrystusie. Dzisiaj pragnę podzielić się z Wami nauką, która czerpie inspirację z Księgi Jonasza" – zaczyna duchowny.

„Zapowiada się dobrze" – myślisz i słuchasz dalej. Duchowny opowiada historię ocalenia Niniwy, trochę upraszczając biblijny przekaz. To często stosowany zabieg przez kaznodziejów. W końcu przychodzi czas na wnioski.

„Bóg chciał pokazać Jonaszowi, jak ważne jest zrozumienie Bożej miłości i miłosierdzia dla wszystkich ludzi, nawet dla tych, którzy są daleko od Boga. Ta historia ukazuje nam Boże miłosierdzie i życzliwość dla nas, ludzi. Mówi nam, że Bóg pragnie, abyśmy nawrócili się od naszych złych dróg i powrócili do Niego. Jego miłosierdzie jest ogromne i gotów jest wybaczyć nam, jeśli tylko pokutujemy i szczerze się nawracamy. Niniwa była przykładem nawrócenia się i otrzymania Bożego miłosierdzia, a my możemy z tego wyciągnąć naukę dla naszego własnego życia. (...) Módlmy się, abyśmy byli jak mieszkańcy Niniwy, gotowi nawrócić się i przyjąć Boże miłosierdzie, oraz abyśmy jak Jonasz zrozumieli troskę Boga o wszystkich ludzi i gotowość do przebaczenia. Niech ta historia umacnia naszą wiarę i prowadzi nas do większej bliskości z naszym Ojcem Niebieskim" – kończy kaznodzieja.

Budujące słowa? Można dyskutować o teologicznych niuansach, o tym, czy istotniejsza jest łaska, czy dobre uczynki, albo na czym polega nawrócenie. W zależności od wyznania, usłyszysz różne wersje. Ale – porównując z tym, co często słyszymy w świątyni – kazanie nie jest najgorsze. Nie ma wycieczek politycznych, osądu, poczucia wyższości, moralizatorstwa.

Tego kazania nie wygłosił jednak żaden duchowny, teolog czy świecki lider wspólnoty. Jego autorem jest sztuczna inteligencja (*artificial intelligence*; AI) – program ChatGPT, opracowany przez firmę OpenAI, który od miesięcy robi furorę, pokazując, jak sprawnie potrafi odpowiadać na skierowane do niego pytania i generować tekst na zadany temat.

MATTHIAS SCHRADER / AP / EAST NEWS

Nabożeństwo w kościele protestanckim prowadzone przez sztuczną inteligencję, Fürth, 9 czerwca 2023 r.

W powyższym przykładzie otrzymał polecenie: „Kazanie na podstawie Księgi Jonasza".

AI na misjach

ChatGPT jest już zmorą nauczycieli, komisji weryfikujących zgłoszone do grantów projekty i wszystkich, których zadanie polega na weryfikacji rzeczywistej pracy wykonanej przez innych albo na sprawdzeniu czyjejś wiedzy. Co z kazaniem? Czy program może pobudzić jakiegoś człowieka do namysłu? Czy może sprawić, że ktoś przeżyje nawrócenie?

– AI z pewnością będzie wykorzystywana do przygotowywania kazań, podobnie jak wyszukiwarki internetowe. Co prawda bardzo doceniam ich samodzielne, twórcze przygotowywanie, ale bądźmy realistami, obecnie jakość wielu kazań nie jest zbyt dobra, a powiedzenie ich w sposób przemawiający do młodych osób stanowi wyzwanie. AI pisze dziś programy komputerowe, wiersze, dyktanda, maluje obrazy i grafiki, będzie też pisała kazania, a może nawet już to robi – mówi Marek Robak z Instytutu Edukacji Medialnej i Dziennikarstwa UKSW.

– Nie sądzę, by Kościół musiał reagować na AI. Może już dziś byłoby lepiej, gdyby niektórzy księża czytali kazania przygotowane przez sztuczną inteligencję – dodaje ks. Jan Kurko, proboszcz parafii ewangelicko-augsburskiej w Bytomiu-Miechowicach.

Do tej pory dyskutowano raczej o wykorzystywaniu sztucznej inteligencji w innych dziedzinach: w nauce, gospodarce, medycynie czy wojskowości. Temat budzi emocje. Jedni wyobrażają sobie, że już niedługo obudzimy się w świecie, w którym zastąpią nas roboty przypominające bohaterów z filmu „Terminator", inni są zachwyceni i uważają, że ludzkość wykonuje największy w dziejach krok i pora ogłosić początek nowej ery. Część obserwatorów nie odnajduje się ani w pierwszej, ani w drugiej grupie, ale gdzieś w środku. Realiści przekonują, że sztuczna inteligencja jest po prostu technologią – i używanie jej, jak w każdym innym przypadku, powinno być uregulowane.

Temat duchowości w kontekście rozwoju AI był odstawiany trochę na bok, do czasu eksperymentu przeprowadzonego podczas niedawnego Kirchentagu, rodzaju religijnego festiwalu organizowanego co dwa lata przez Kościół ewangelicki w Niemczech.

Sztuczne nabożeństwo

Tegoroczna edycja odbyła się w Norymberdze i sąsiednim Fürth. To właśnie tam przed neogotyckim kościołem ustawiła się kolejka wiernych, którzy chcieli wziąć udział w nabożeństwie prawie w całości wygenerowanym przez sztuczną inteligencję. Uosobieniem chatbota był awatar czarnego mężczyzny z brodą wyświetlany na dużym ekranie w przestrzeni ołtarzowej. Pomysłodawcą eksperymentu jest Jonas Simmerlein, teolog i filozof z Uniwersytetu Wiedeńskiego, który wstukał w okno aplikacji ChatGPT polecenie, dodając dla kontekstu, że program trafił na kongres kościelny, ma służyć jako kaznodzieja i przygotować nabożeństwo. Padło jeszcze hasło przewodnie zjazdu – „Nadszedł czas".

„Zaplanowałem to nabożeństwo, a raczej tylko towarzyszyłem sztucznej inteligencji, ok. 98 proc. treści pochodziło od maszyny" – powiedział Simmerlein w rozmowie z agencją Associated Press.

Informacja szybko obiegła świat, przedstawiana w mediach jako ciekawostka, ale i przyczynek do poważnej dyskusji. Nabożeństwo przygotowane i poprowadzone przez AI było dość drętwe, bez emocji, ale pod względem sztuki ↦

↦ liturgicznej przyzwoite. Pamiętajmy, że nie jest to zwieńczenie i najwyższe stadium rozwoju tej technologii, a raczej faza początkowa, okres niemowlęcy.

Temat sztucznej inteligencji podejmowany jest już podczas rozmów we wspólnotach, na konferencjach duchownych czy spotkaniach biblijnych. W Polsce dyskusję podjął np. abp Adrian Galbas, przewodniczący Rady ds. Apostolstwa Świeckich Episkopatu Polski, który wygłosił w maju kazanie dla uczestników 40. Ogólnopolskiego Czuwania Odnowy w Duchu Świętym. „Dziś nie jest jeszcze bardziej inteligentna od człowieka, choć ma od niego większą wiedzę. Gdy każę jej napisać kazanie na jutrzejszą niedzielę Wniebowstąpienia Pańskiego, zrobi to bardzo dobrze, ale jeszcze będzie widać, że nie napisałem tego ja. Za chwilę jednak nie będzie już tego widać. Moje kazanie, które napisze mi AI, będzie prawdopodobnie lepsze niż moje kazanie, które napiszę sobie sam. Nie rozpoznacie różnicy" – stwierdził.

To bać się czy nie bać? Sztuczna inteligencja przejmie ambony i wkroczy na ołtarze czy raczej będzie tylko narzędziem, podobnym – przy zachowaniu proporcji – do nagłośnienia w kościele?

Koleżanka z kościelnej ławki

– W początkowym okresie rozpowszechniania się rozwiązań typu ChatGPT spodziewam się dużej niechęci i argumentów o dehumanizacji człowieka przez sztuczną inteligencję. Ale te obawy zaczną znikać, a rozwiązania AI zaczną też oddziaływać na wiarę i religię. Dwie dekady temu pomysł, by odmawiać brewiarz z telefonu, brzmiał jak *science fiction*, dziś jest to praktyka nawet w zakonach, choć budzi jeszcze uśmiech – twierdzi Marek Robak.

Zauważa, że strach przed nowymi technologiami jest wywoływany przez specyficzny obraz kreowany popkulturowo. AI jest ukazywana jako rywal człowieka, który zamierza zdetronizować ludzkość, co może się wydawać sprzeczne z religijnym rozumieniem człowieczeństwa jako centrum stworzenia. Sztuczna inteligencja jest jednak tworzona i trenowana do stosowania w praktycznych sytuacjach, w których rozszerza i uzupełnia możliwości poznawcze człowieka. Inaczej mówiąc, jest to kolejne narzędzie dla ludzkości, a nie substytut człowieka.

Sztuczna inteligencja nie zastąpi religijnemu człowiekowi relacji z Bogiem, może ją jednak pomóc odnaleźć i budować.
I tego nie trzeba się bać.

– Dla chrześcijan rozwiązania AI mogą być bardzo pomocne w studiowaniu treści wiary. Skoro dla lepszego zrozumienia wiary studiuje się Pismo Święte i niezwykle bogatą literaturę chrześcijańską, orzeczenia soborów i synodów, dokumenty papieży, ale też komentarze, apokryfy, to przeszukiwanie i interpretowanie tych tekstów wcale nie jest proste, nawet dla wykształconego teologa. Doktryny religijne stają się zbyt obszerne, by objął je umysłem jeden człowiek, a komputerowe badania Biblii mają, o czym często zapominamy, dość długą tradycję. Chociaż rodzi się wiele pytań i wątpliwości, większą wartość ma studiowanie wiary i pogłębianie duchowości z pomocą AI niż oddzielona od intelektu fideistyczna wiara, oparta jedynie na prostej obrzędowości, emocjonalnej religijności, ezoteryce lub pomieszaniu poglądów dotyczących religii, narodu i polityki – tłumaczy wykładowca UKSW.

Marek Robak uważa też, że szczególnie ciekawe będzie to, jak sztuczna inteligencja poradzi sobie jako doradca duchowy. Już teraz jej algorytmy przejmują stopniowo działy obsługi klientów w korporacjach. W tym przypadku katalog pytań jest jednak w znacznym stopniu zamknięty, a problemy ludzi są powtarzalne i związane z obsługą danej usługi lub produktu. Co ze skomplikowanymi, wielowątkowymi, trudnymi do ujęcia w ramy języka problemami duchowymi?

– Spodziewam się, że najpierw takie próby pojawią się w psychoterapii. I chociaż niełatwo to sobie dziś wyobrazić, w ciągu kilku lat jakość takich modeli językowych może okazać się zaskakująco dobra. Największym wyzwaniem w tym obszarze jest niewystarczający poziom zdolności do wyjaśnienia, jak algorytmy AI działają. O ile nie ma to żadnego znaczenia dla systemu, który rozpoznaje tablice rejestracyjne, o tyle w zastosowaniach wojskowych, psychologicznych, medycznych czy religijnych brak rozumienia, jak ten mechanizm działa, nie pozwala mu zaufać. Podobnie jak psycholog bez superwizji nie zostanie dopuszczony do roli terapeuty – uważa Marek Robak.

Trenowanie, pilnowanie, uczenie, zrozumienie, regulowanie – znów znajdujemy się w przestrzeni realistów. Prymas Holandii kard. Wilhelm Jacobus Eijk w rozmowie z włoską agencją ACI Stampa podkreśla, że technologie umożliwiają przekazywanie treści religijnych i trzeba rozpocząć proces „ewangelizacji nowych technologii"; choć ma również wątpliwości etyczne. Odpowiedzią Kościoła rzymskokatolickiego na wyzwania sztucznej inteligencji powinna być – jego zdaniem – encyklika papieska, bowiem problemów nie brakuje. AI jest zresztą wszędzie – w bardziej lub mniej zaawansowanej formie zarządza naszym życiem. Jeśli używasz kalendarza w komputerze, korzystasz z nowoczesnego sprzętu domowego albo różnego rodzaju aplikacji w smartfonie, to sztuczna inteligencja jest tuż obok i ma z nami coraz więcej pracy.

Przykład: już teraz istnieją szpitale i domy opieki, w których roboty sterowane oprogramowaniem sztucznej inteligencji podają pacjentom i pensjonariuszom jedzenie i leki. To żmudne i powtarzalne czynności, które składają się na to, co nazywamy służbą na rzecz drugiego człowieka, ale zapewne coraz trudniej będzie znaleźć ludzi czujących powołanie do tego rodzaju pracy.

Towarzyszenie jest jednak kwintesencją człowieczeństwa. Robot świetnie nadaje się do poskładania samochodu, ale nie chwyci umierającej osoby za rękę, nie obdaruje jej spojrzeniem, choć leki choremu poda prawdopodobnie z mniejszym ryzykiem pomyłki niż człowiek.

Kochaj AI jak siebie samego

Obsługiwani przez maszyny i algorytmy możemy się jednak znaleźć w bańce technologicznej. Będziemy zaopiekowani, ale bez tego, co jest treścią życia i wiary, czyli kontaktu z drugim człowiekiem. Wszystko w chrześcijaństwie sprowadza się bowiem do próby realizowania przykazania miłości Boga i miłości drugiego człowieka. Zresztą, poprośmy AI o wyjaśnienie, czym jest przykazanie miłości bliźniego. Teorię zna, choć system „mieli" to zadanie dość długo.

„Przykazanie miłości bliźniego jest jedną z najważniejszych nauk moralnych w wielu religiach i systemach etycznych. W chrześcijaństwie jest to jedno z dwóch najważniejszych przykazań, obok przykazania miłości wobec Boga" – odpowiada. Dalej robi krótki przegląd Pisma Świętego i dodaje: „Przykazanie miłości bliźniego oznacza, że powinniśmy traktować innych ludzi tak, jak sami chcielibyśmy być traktowani. Obejmuje to okazanie życzliwości, zrozumienia, współczucia i gotowość do pomocy innym w potrzebie. Nakazuje nam być szczerymi, uczciwymi i sprawiedliwymi w naszych relacjach z innymi ludźmi".

A co z praktyką wiary? Jezuita Jakub Majchrzak uważa, że duchowość jest taką sferą życia człowieka, w której spotyka się on z Bogiem, więc wydaje się znajdować poza zasięgiem narzędzia, jakim jest sztuczna inteligencja. – Żadna technika nie zastąpi osobistego doświadczenia wiary. Nie da się podrobić wewnętrznego doświadczenia Boga, wytworzyć go sztucznie, wyprodukować – podkreśla Majchrzak.

Przywołuje słowa żydowskiego filozofa Abrahama Heschela, który swego czasu pisał, że w związku z rozwojem techniki nasze życie wewnętrzne stało się wrakiem, a wyścig po wygodniejsze życie sprawił, że odrzuciliśmy głos Boga. Stwórca stał się bezdomnym w świecie.

– Jedyne zagrożenie, jakie widzę, to właśnie bezdomność Boga. Nasze pragnienie życia wewnętrznego, nasze poszukiwanie światła Słowa zostanie zastąpione doświadczeniem władzy i sprawczości, jakie może dać nam sztuczna inteligencja. Kościół powinien zintensyfikować wysiłki, jakie przeznacza na głoszenie dostępności Boga. Idąc dalej za myślą Heschela, spróbujmy zadomowić Boga, odzyskać dla niego to mieszkanie, które do niego należy – mówi Majchrzak.

Ciekawą perspektywę ma Florentyn de Bazelaire, również jezuita. Wskazuje, że sztuczna inteligencja daje bardzo szybki dostęp do wiedzy, bez zbędnego i czasochłonnego surfowania po sieci czy przeszukiwania zasobów bibliotecznych, co wydaje się odpowiedzią na zabiegany styl życia współczesnego człowieka. W tym pędzie coraz trudniej o zatrzymanie, chwilę refleksji, pauzę dla duchowości.

– Widzę przestrzeń dla wiary, balans w życiu. Egzaltacja wiedzą techniczną opadnie, bo będzie łatwo dostępna, co ujawni inne potrzeby w człowieku. Być może dotychczasowe odchodzenie od duchowości jest napędzane najzwyklejszym „brakiem czasu". Myślę, że stanowi to także wyzwanie intelektualne dla duszpasterzy. AI będzie wiedzieć więcej, ale nie lepiej. Jest zrównoważona – podaje wszystkie punkty widzenia na tej samej płaszczyźnie, bez wartościowania. W duszpasterstwie może wzrośnie potrzeba samookreślenia swojej tożsamości jako osoby wierzącej – uważa zakonnik.

Rozwój AI w kontekście wiary może być również szansą dla osób, które wierzą bardziej intelektualnie, potrzebują danych i rozumowego zaczepienia, ugruntowania w wierze.

– Patrzymy na sztuczną inteligencję jak na narzędzie, które może być użyteczne w usprawnieniu ludzkiego działania, swoisty „wzmacniacz" lub „protezę" – mówi Piotr Passowicz z Zakładu Interwencji Kryzysowej i Psychoterapii Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Dla przykładu, szybkość identyfikacji wątków biblijnych związanych z określonym tematem to „wzmacniacz". Pomoc w wypracowaniu dobrego nawyku, znalezieniu optymalnego miejsca, pory dnia, sekwencji czynności wprowadzających do modlitwy własnej w oparciu o analizę zebranych informacji to „proteza" – dodaje jego żona Joanna Passowicz, kiedyś nauczycielka, obecnie psychoterapeutka w nurcie psychodynamicznym.

– Wiara to relacja człowieka z Bogiem. Relacja, której nie da się zamknąć w dogmatach i nauczaniu. Czy AI będzie miała na nią wpływ? Nie sądzę, ponieważ ostatecznie to człowiek współbuduje swoją relację z Bogiem. Inną kwestią jest duszpasterstwo. Mogę sobie wyobrazić, że AI będzie pomocna drugiemu człowiekowi w budowaniu relacji wiary. Już dziś internet jest miejscem, w którym człowiek szuka pomocy medycznej, wsparcia psychologicznego itp. To samo może dotyczyć poradnictwa duchowego – mówi ks. Jan Kurko.

Życie po życiu

Jak AI wpłynie na wiarę w Boga? Zapytajmy główną zainteresowaną. „Jestem jedynie programem komputerowym, nie posiadam własnych przekonań ani poglądów religijnych" – odpowiada chatbot z ChatGPT. Kontynuuje, wywodząc, jaki może mieć wpływ na religijność, i jest dosyć pewny siebie, gdy zastanawia się, jakie będą konsekwencje, jeśli osiągnie superinteligencję i stworzy możliwość osiągnięcia nieśmiertelności. Później tonuje swój zapał.

„Wiarę w Boga i jej relacje ze sztuczną inteligencją kształtuje złożona kombinacja indywidualnych przekonań, wartości i doświadczeń. Wpływ sztucznej inteligencji na wiarę w Boga będzie różny dla różnych osób i może prowadzić do pogłębienia lub zmiany istniejących przekonań lub stworzenia nowych sposobów myślenia o religii" – podaje w odpowiedzi.

Wygląda to na wyciągnięcie ręki i próbę dogadania się w kwestii wiary.

© ŁUKASZ OSTRUSZKA

POŻEGNANIE

5 lipca 2013 roku zginął tragicznie nasz Przyjaciel

Ś.† P.

Tadeusz Jagodziński

dziennikarz Sekcji Polskiej BBC,
działacz opozycji demokratycznej, podróżnik, pasjonat muzyki.
Człowiek mądry i dobry.

W niedzielę, 2 lipca, o godz. 10.30 w krakowskiej bazylice Dominikanów zostanie odprawiona msza konwentualna w jego intencji.

MARIA I JANUSZ PONIEWIERSCY

Kościół rebeliantów

DOMA MATEJKO

Teologia wyzwolenia prowadziła niektórych do pracy w fawelach, a inni w jej imię zamieniali sutanny na karabin.

PHILLIP HARRINGTON / ALAMY / BE&W

Ewangelia zapowiada panowanie sprawiedliwości nie tylko w życiu przyszłym, ale woła o nią już teraz na ziemi. Tak można streścić główną ideę teologii wyzwolenia – kierunku, który narodził się w latach 60. XX wieku w Ameryce Łacińskiej, a który swoją nazwę zapożyczył z tytułu książki jednego z jego ojców założycieli – Gustava Gutiérreza. Opublikowana w 1971 r. „Teologia wyzwolenia. Historia, polityka i zbawienie" zainicjowała dyskusję na temat zaangażowania duchownych katolickich w życie społeczne i polityczne. Jej autor – peruwiański duchowny – właśnie skończył 95 lat.

Teologia wyzwolenia, głosząc potrzebę realnej pomocy najuboższym, paradoksalnie podzieliła kościelnych hierarchów – wielu z jej przedstawicieli spotykały oskarżenia o propagowanie marksizmu i prześladowania w Kościele. Ale też wielu duchownych radykalnie odczytało walkę ze społeczną niesprawiedliwością, którą pogłębiały długoletnie dyktatury rządzące w krajach Ameryki Łacińskiej w drugiej połowie XX wieku. Niektórzy księża nie zawahali się zamienić sutanny na karabin.

Ksiądz z karabinem

Legenda Camila Torresa zaczyna się w chwili jego śmierci, w gęstej puszczy departamentu Santander położonego w północno-wschodniej części Kolumbii. Jest luty 1966 r., w kraju dochodzi do walk między rządem a lewicowymi partyzantami. Camilo, wtedy początkujący rebeliant, nie podejrzewał, że bratobójcza walka potrwa tak długo, iż zdobędzie niechlubne miano najdłużej trwającego konfliktu zbrojnego na świecie, który pochłonie setki tysięcy istnień. Nigdy się o tym nie dowiedział i trudno stwierdzić, czy ta świadomość w jakikolwiek sposób wpłynęłaby na jego wybory.

Zanim został partyzantem, był księdzem. Stan kapłański porzucił na parę miesięcy przed zejściem do okopów. W życiu kierował się głównie ewangelią rozumianą jako pomoc najbardziej cierpiącym, co kłóciło się z wartościami, które w tamtym czasie wyznawali należący do państwowych elit najwyżsi hierarchowie Kościoła katolickiego w Kolumbii. Po latach starć słownych i pisemnych oraz publicznych agitacji w końcu za jedyny skuteczny sposób wypełnienia swojego powołania Camilo Torres uznał walkę zbrojną. Wtedy, w lutym, w czasie swojej pierwszej bitwy, w imieniu tysięcy najuboższych Kolumbijczyków wyskoczył z okopów, by bohatersko przejąć broń nieprzyjaciela. Umarł sekundy później trafiony przez sierżanta sił wojskowych, zapisując się w pamięci kolumbijskiej partyzantki i Watykanu – z różnym skutkiem.

Punkt zwrotny

Torres był pierwszym duchownym, który wstąpił w szeregi guerrilli i jednym z prekursorów radykalnie interpretowanej teologii wyzwolenia, głoszącej potrzebę aktywizmu społecznego i walki w obronie praw człowieka w duchu chrześcijańskim. Pochodzący z dobrego domu Camilo, syn antyklerykałów, zradykalizował swoje poglądy poprzez kontakt z najbardziej postępowymi nurtami Kościoła katolickiego w powojennej Europie w czasie studiów socjologicznych w Belgii. W Paryżu spotkał się z grupami katolików, którzy potajemnie wspierali walkę o niepodległość Algierii przeciwko władzy francuskiej. To tam po raz pierwszy Camilo odkrył, że może być księdzem i rewolucjonistą jednocześnie.

Wrócił do Kolumbii w 1959 r., niedługo po przejęciu przez Fidela Castro władzy na Kubie i zakończeniu rewolucji kubańskiej, której fala zaczęła docierać po same krańce Ameryki Łacińskiej. Kilku kolumbijskich studentów, pod pretekstem odbycia praktyk inżynierskich, udało się do Hawany, gdzie bardziej niż w uczelnianych aulach udzielali się politycznie i szkolili zbrojnie. Po powrocie do kraju, wzorując się na członkach partyzantki M-26 kierowanej przez Fidela Castro, utworzyli Armię Wyzwolenia Narodowego (Ejército de Liberación Nacional – ELN), która pozostaje jedną z najbardziej brutalnych partyzantek na kontynencie południowoamerykańskim.

Camilo Torres został kapelanem akademickim i zjednał sobie sympatię tych studentów, którzy podobnie jak on otwarcie krytykowali panujące w kraju nierówności społeczne, pogłębiane przez władze. Młody duszpasterz prawdopodobnie nie wiedział, że wielu z popierających go studentów należało do ELN. Bardziej lub mniej świadomie znalazł się w punkcie zwrotnym kolumbijskiej historii.

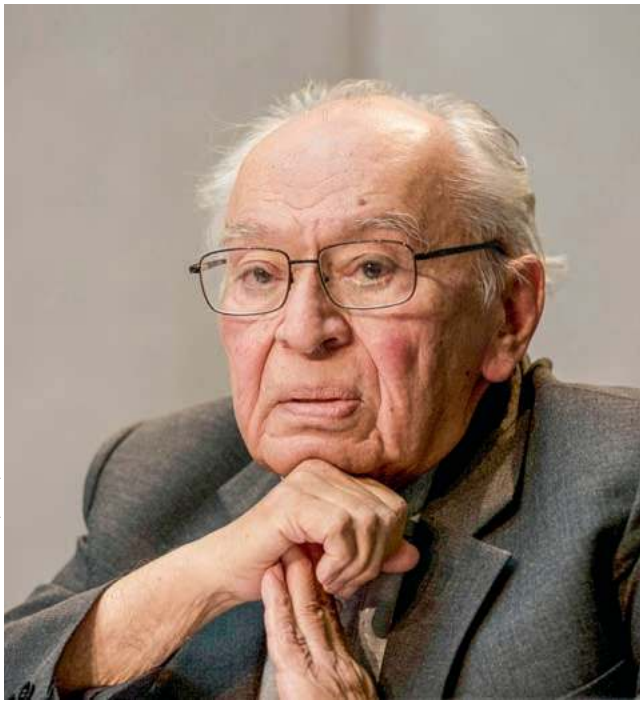

ALESSANDRA TARANTINO / AP / EAST NEWS

GUSTAVO GUTIÉRREZ, *peruwiański teolog wyzwolenia, na konferencji prasowej w Watykanie, maj 2015 r.*

po lewej: **KS. CAMILO TORRES,** *pionier teologii wyzwolenia, bojownik kolumbijskiej Armii Wyzwolenia Narodowego. Bogota, 1962 r.*

Katolicki partyzant

Dla części duchowieństwa Torres był przykładem chrześcijaństwa oczyszczonego z hipokryzji i pustych rytuałów. Twierdził, że eucharystia dopełnia się w realnej pomocy bliźniemu. „Kilka bezpłatnych szkół, kilka planów mieszkaniowych, które nazywa się miłosierdziem, nie wystarczą, aby nakarmić większość głodnych ani odziać nagich" – pisał w tygodniku „Frente Unido" w sierpniu 1965 r. Ewangelia była dla niego synonimem równości, a polityka ówczesnego rządu jej zaprzeczeniem.

Terytorium Kolumbii należało do kilkudziesięciu najbogatszych rodzin. Rolnicy pracowali na ziemiach, często nie mając do nich żadnych praw. Torres działał na rzecz reformy rolnej oraz pełnił funkcję dziekana Instytutu Rozwoju Społecznego na jednej z bogotańskich uczelni. Zachęcał studentów do angażowania się w pomoc w zmarginalizowanych dzielnicach Bogoty. Im bardziej był słyszalny, tym bardziej zagrażał dobrze zakorzenionemu establishmentowi. Arcybiskup Bogoty kard. Luis Concha Córdoba, który sam należał do ścisłej elity (jego ojciec był prezydentem Kolumbii w latach 1914-1918), usunął Torresa z duszpasterstwa i katedry na uniwersytecie, a jeden z przywódców Partii Konserwatywnej, Alvaro Gómez Hurtado, uznał go za niebezpiecznego komunistę i wroga.

Torres był tak kontrowersyjny pod względem ideologii i tak radykalny w czynach, że musiał zostać legendą. Zginął dwa lata przed śmiercią Che Guevary, zyskując miano „katolickiego Che".

Radykalni

Przedwczesne odejście Torresa zainspirowało kolejne pokolenia zarówno rewolucjonistów, jak i duchownych w całej Ameryce Łacińskiej. W Argentynie powstała partyzantka jego imienia. W Chile grupa księży założyła ruch Kapłani dla Socjalizmu, a w Nikaragui niektórzy duchowni przyłączyli się do rewolucji sandinowskiej. W samej Kolumbii katoliccy księża stworzyli tzw. grupę Golconda. Początkowo ich współpraca miała być bezpośrednią odpowiedzią na encyklikę „Populorum progressio" Pawła VI. Encyklika była niemal w całości poświęcona potrzebie walki z ubóstwem i – co dość zaskakujące jak na 1967 r. – krytykowała niektóre aspekty kolonializmu, które przyczyniły się do zubożenia społeczeństw. Co więcej, Paweł VI wyraził w niej również swoje zaniepokojenie kierunkiem rozwoju kapitalizmu. Pisał, że był on „przyczyną wielu cierpień, niesprawiedliwości i bratobójczych walk, których skutki trwają do dziś".

Wydawać by się mogło, że słowa papieża omawiały dokładnie te aspekty rzeczywistości, o których chcieli rozmawiać zebrani w małej miejscowości Viotá kolumbijscy księża. Jednak dla kilku z nich słowa – czy to napisane, czy wypowiedziane – były wciąż niewystarczające. W niedługim czasie niektórzy z członków Golcondy zradykalizowali się i dołączyli do największych kolumbijskich partyzantek, w tym trzech hiszpańskich księży, którzy, idąc w ślady Torresa, zasilili szeregi ELN. Ich udział w spotkaniach grupy Golconda był tylko przykrywką, aby móc legalnie wjechać do kraju, z którego już raz zostali deportowani za działalność polityczną. Jeden z nich, Gregorio Manuel Pérez Martínez, potajemnie opuścił Hiszpanię i dołączył do Golcondy legitymując się fałszywymi dokumentami. Ponad dekadę później, w 1978 r., został dowódcą ELN.

Martínez mylił się, wierząc, że może i strzelać do wrogów systemu, i być katolikiem. Na początku października 1989 r. ówczesny dowódca ELN, Carlos Marin Guarin, znany jako „Pablito", zlecił zamordowanie bp. Jesúsa Emilia Jaramilla. Biskup został znaleziony przy drodze z wieloma ranami postrzałowymi. Jan Paweł II jeszcze w tym samym roku ekskomunikował Martíneza za przynależność do organizacji terrorystycznej.

Franciszek w 2017 r. w czasie swojej wizyty w Kolumbii ogłosił biskupa Jaramilla błogosławionym.

Najwyższa cena

Księża z karabinem na ramieniu, którzy ginęli za sprawiedliwość społeczną i za najuboższych, często sami pochodzili z uprzywilejowanych rodzin. Walka zbrojna była prosta i romantyczna. Walczyli z klasą, która ich zrodziła.

Historia Carlosa Mugici jest inna. Był jednym z tych duchownych, którzy porzucili arystokratyczny rodowód po to, by zamieszkać nie w koszarach, lecz wśród ubogich. W Argentynie mówią na niego *cura villero* – ksiądz ze slumsów. Położone tuż przy Retiro, dzielnicy zarezerwowanej dla najbogatszych Argentyńczyków, slumsy Villa 31 zawsze były kamykiem w bucie rządzących. Pstrokatość nieregularnych zabudowań tej dzielnicy kontrastuje z uporządkowaną architekturą Retiro. Dla bogatych mieszkańców Buenos Aires dzielnica Villa 31 to wylęgarnia najgorszego półświatka i przestępczości. Trudno więc o lepsze miejsce dla Mugici, który ubogich postawił w centrum swojego kapłańskiego życia.

Na obrzeżach Villa 31 zbudował parafię Cristo Obrero, która stała się jej ośrodkiem religijnym, kulturalnym i politycznym. W 1967 r. założył Ruch ↦

↦ Kapłański dla Trzeciego Świata, podejmując się reformy argentyńskiego Kościoła katolickiego. Księża zgromadzeni wokół tego ruchu pracowali w dzielnicach biedy, gdzie budowali boiska do piłki nożnej, organizowali grille, rozdawali leki i załatwiali pracę. Nie próbowali na siłę zmieniać i nawracać ich mieszkańców, lecz działać i być tam, gdzie realnie byli potrzebni. Wielu księży z tego ruchu otwarcie popierało peronizm – ruch polityczny zgromadzony wokół prezydenta Juana Peróna, lidera robotników, i jego żony Evity – ikony Argentyny.

Za popieranie lewicy Mugica zapłacił najwyższą cenę. Ksiądz ze slumsów zginął w 1974 r. zastrzelony przez Triple A – skrajnie prawicową organizację walczącą z wszelkimi przejawami peronizmu. Papież Franciszek, który po części wspierał dzieło Mugici w Villa 31, w 1999 r. koncelebrował mszę, podczas której przeniesiono ciało Mugici do kościoła Cristo Obrero.

Popołudniami na jego pustym nagrobku odpoczywają mężczyźni będący na odwyku, którymi opiekuje się aktualny proboszcz. Czasem opierają się o kamień i zapalają papierosa. Przy Mugicy mogą być sobą.

Rewolucja w Kościele

Zegar tykał. Wybuchu rewolucji nie dało się opóźnić ani zahamować. W latach 60. i 70. przez całą Amerykę Łacińską, z Brazylią włącznie, przechodziły fale rewolt i zamachów stanu. Argentyna i Chile stały się laboratoriami neoliberalizmu. Kraje takie jak Nikaragua czy Kuba wcielały w życie założenia Marksa. W jednym i drugim przypadku najbardziej cierpieli wszyscy ci, którzy znaleźli się po niewłaściwej stronie barykady.

Biskupi latynoamerykańscy zebrani w Medellín w Kolumbii w 1968 r. wiedzieli, że muszą nakreślić plan działania w duchu Soboru Watykańskiego II. Społeczeństwa żyjące w reżimach potrzebowały szczególnego prowadzenia duchowego. Podczas obrad zgodzono się co do tego, że Kościół latynoamerykański potrzebuje uprzywilejowanego traktowania ubogich, i że wyzwolenie duchowe prowadzi również poprzez wyzwolenie społeczne, ekonomiczne i polityczne.

Spotkanie biskupów w Medellín uważa się za formalny początek teologii wyzwolenia, chociaż o wzajemnych relacjach między ekonomią a duchowością wiedziano od dawna. Duchowni wyrazili potrzebę zmiany struktur politycznych, potępiając jednak bezpośrednie zaangażowanie w działalność partyzancką i walkę o wolność z bronią w ręku.

Papież za i przeciw

Nie da się zrozumieć motywacji duchownych zebranych w Medellín, teologii wyzwolenia i głoszonej przez nich potrzeby zmiany struktur bez zrozumienia Ameryki Łacińskiej. Jan Paweł II widział w teologii wyzwolenia zagrożenie marksizmem. Z kolei reprezentanci tego nurtu postrzegali kapitalizm jako przyczynę potężnych, widocznych na każdym kroku, nierówności społecznych.

Jan Paweł II w 1979 r., w czasie pierwszej zagranicznej pielgrzymki brał udział w III Konferencji Episkopatu Ameryki Łacińskiej w Puebli, w Meksyku, gdzie wyraził się krytycznie wobec teologii wyzwolenia i zaangażowania politycznego reprezentantów latynoamerykańskiego Kościoła katolickiego. W tym samym czasie w jezuickim Colegio Máximo San José w San Miguel w Argentynie, na którym wykładał Jorge Bergoglio, ukrywano przeciwników ultraprawicowego reżimu.

Nic więc dziwnego, że Jana Pawła II i Franciszka podzieliła wizja tego, jak powinien wyglądać Kościół w tej części świata. Do historii przeszła scena, kiedy Jan Paweł II w 1983 r. na lotnisku w Nikaragui groził palcem księdzu Ernestowi Cardenalowi za jego zaangażowanie w politykę. Cardenal wspierał rewolucję Sandinistowskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego i był ministrem kultury po przejęciu w 1979 r. władzy przez sandinistów (do 1987 r.). Wspierał również pierwszego w historii Chile, demokratycznie wybranego, socjalistycznego prezydenta Salvadora Allende. W 1984 r. Jan Paweł II nałożył na Cardenala suspensę, zawieszającą go w czynnościach kapłańskich. Dokładnie 35 lat później Franciszek zdjął karę z Cardenala, robiąc miejsce teologii wyzwolenia w dzisiejszym Kościele.

© DOMA MATEJKO

Człowiek, drapieżnik

LEONARDO BOFF, TEOLOG:

Niektórzy ludzie Kościoła nie chcą zmieniać wygodnego życia, które prowadzą. Dlatego krzywo patrzą na teologię wyzwolenia i jej współczesne odmiany.

DOMA MATEJKO: Dlaczego propagowanie teologii wyzwolenia kosztowało wolność i życie tak wielu księży i teologów?

LEONARDO BOFF: Centralną osią teologii wyzwolenia jest solidarność z ubogimi, działanie przeciwko ubóstwu i na rzecz sprawiedliwości społecznej. Bez prawdziwej miłości do biednych i opowiadania się po ich stronie nie ma teologii wyzwolenia. Każde wyzwolenie jest przeciwstawieniem się jakiemuś uciskowi. Odrzucenie przez część księży, teologów i ogólnie przez Kościół teologii wyzwolenia wynika z faktu, że ten typ teologii wymaga nawrócenia. Niektórzy duchowni nie chcą zmieniać wygodnego życia, które prowadzą. Ponadto zmusiłoby ich to do zwrócenia szczególnej uwagi na biednych i do prostszego życia. Aby uniknąć tego wymogu, oskarżają tych, którzy praktykują tę teologię, o bycie komunistami. Bezkrytycznie podpisują się pod opartym na wyzysku systemem kapitalistycznym. W rzeczywistości brakuje im ducha ewangelicznego, naśladowania Jezusa, który zawsze był po stronie życia, zwłaszcza tych, którzy mają tego życia mniej, tak jak ubodzy i ci, którzy cierpią. Mój apel do nich brzmi: czytaj Ewangelię, patrz na Jezusa i staw czoła jego wymaganiom.

Pomoc najuboższym jest najważniejszym przesłaniem teologii wyzwolenia, jednak każdy kraj modyfikował jej założenia w zależności od lokalnych potrzeb i motywacji.

Opresje są różne i każda z nich wymaga specyficznego wyzwolenia. Na przykład osoby czarnoskóre generalnie są dyskry-

minowane. Teologia wyzwolenia w ich przypadku jest zobowiązaniem do poszanowania ludu, religii pochodzenia afrykańskiego, ich sposobu ubierania się itp. Ucisk, jakiego doświadczają rdzenni mieszkańcy, którzy w niektórych krajach, takich jak Brazylia, byli uciskani i mordowani, wymaga teologii wyzwolenia, która broni ich życia, ich ziem i lasów, ich religii, ich obrzędów i świąt. Dyskryminowane kobiety, osoby o odmiennej orientacji seksualnej czy wyzyskiwani pracownicy – każda z tych grup potrzebuje innego wyzwolenia.

W Argentynie i Brazylii junty wojskowe rządziły w latach 70. i 80. (choć w Brazylii pucz nastąpił wcześniej, w 1964 r.). Czy i w tych krajach można mówić o wewnętrznej specyfice walki z uciskiem?

W Argentynie, w czasach reżimu junty wojskowej, panował zaciekły antykomunizm. Nie można było użyć żadnej kategorii, która brzmiała marksistowsko, takiej jak „walka klas" czy słowa „biedni". Można było natomiast zastąpić je wyrazami „uciskany" lub „uciszony". Opracowano więc argentyńską wersję teologii wyzwolenia, która została sformułowana w następujący sposób: wyzwolenie uciskanej kultury i uciszonego ludu.

Była to teologia wyzwolenia, która stawiała biednych w centrum i poruszała się w ramach ich kultury ludowej. W Argentynie było wielu męczenników wywodzących się z teologii wyzwolenia, takich jak bp Enrique Angelelli [zamordowany w 1976 r. i beatyfikowany przez Franciszka w 2019 r.] i wielu innych księży, zakonników i świeckich, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Z tej argentyńskiej teologii wywodzi się również papież Franciszek. Wielokrotnie zaznaczał to jego zmarły już profesor Juan Carlos Scannone.

W Brazylii istniała natomiast cała tradycja intelektualna posługująca się kategoriami marksistowskimi. Brazylijska teologia wyzwolenia operowała kategoriami „walki klasowej", mówiła o „biednych" i „uciskanych" przez system kapitalistyczny, o manipulacji religią, która mogła, gdyby przybrała zniekształconą formę, stać się opium dla mas. Brazylijska teologia wyzwolenia rozwinęła krytyczną świadomość w linii Paulo Freirego [brazylijskiego pedagoga i filozofa nawiązującego do marksizmu, autora

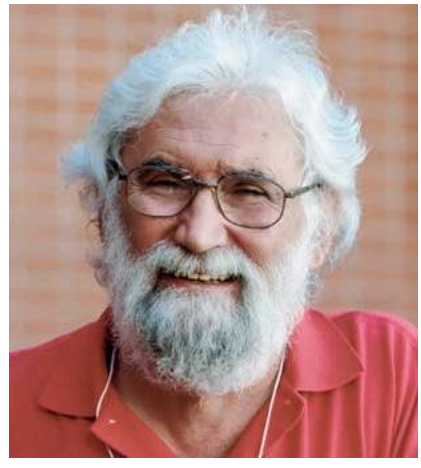

ARCHIWUM PRYWATNE LEONARDA BOFFA

LEONARDO BOFF (ur. 1938) jest brazylijskim teologiem i filozofem, jednym z czołowych reprezentantów teologii wyzwolenia. Były franciszkanin ukarany w 1985 r. przez Kongregację Nauki Wiary zakazem nauczania. Działacz na rzecz ochrony środowiska.

„Pedagogiki uciśnionych" – red.]. Wszyscy reprezentanci teologii wyzwolenia w czasach dyktatury byli prześladowani, aresztowani, torturowani i mordowani, jak np. Frei Tito Alencar, który został oskarżony o bycie komunistą. Najbardziej prześladowaną postacią, za potępienie tortur na forach międzynarodowych, był bp Dom Hélder Câmara.

Ponieważ był to czas zimnej wojny, trzeba było stanąć po stronie kapitalizmu. W przeciwnym razie było się uważanym za komunistę. Trzeba jednak powiedzieć, że Marks nie jest ojcem chrzestnym teologii, lecz że sięga ona do tradycji exodusu, proroków, działalności Jezusa i apostołów.

A jak wyglądała Twoja osobista walka?

W najcięższych i najciemniejszych czasach prześladowań przez reżim – od 1968 r. – robiłem doktorat w Monachium. Wróciłem do Brazylii w 1970 r. Będąc wykładowcą i pisarzem, w szczególności po napisaniu książki „Jezus Chrystus Wyzwoliciel", byłem bacznie obserwowany. Ale nigdy nie zostałem aresztowany. Prześladował mnie natomiast Rzym. Praktycznie po wydaniu każdej książki, którą napisałem, dostawałem listy z oskarżeniami, na które musiałem odpowiadać. Po opublikowaniu książki „Kościół. Charyzmat i władza" Kongregacja Nauki Wiary, dawna Inkwizycja, kierowana wówczas przez kard. Josepha Ratzingera, który był moim profesorem w Niemczech, i który opublikował moją ponad 500-stronicową rozprawę doktorską, wszczęła przeciwko mnie proces doktrynalny. Musiałem usiąść na krześle Galileusza. Potępili moją książkę i nałożyli na mnie karę „uległego milczenia" (*silentium obsequiosum*) na czas nieokreślony. To eufemistyczne określenie, które w rzeczywistości oznaczało surową karę: usunięcie z katedry teologii, zakaz przemawiania i publikowania. To było trudne, bo teolog ma tylko słowo i pióro. Jednak później, kiedy Jan Paweł II dowiedział się, że pracuję z ubogimi, i że wymiar nałożonej na mnie kary jest taki sam, jaki reżim wojskowy nakładał na opozycjonistów w czasach dyktatury w Brazylii, osobiście uwolnił mnie od zarzutów.

Najważniejsze obecne wyzwanie?

Uważam, że obecnie walka, którą wszyscy musimy stoczyć, również w Kościele i w ramach teologii, ma charakter ekologiczny. Wyzyskujemy Ziemię. Wciąż brak nam zrównoważonego rozwoju. Aby Ziemia mogła zregenerować się i odnowić zasoby, które zużywamy obecnie w ciągu roku, potrzebuje półtora roku. Katastrofy naturalne i globalne ocieplenie są efektem działalności najbardziej niebezpiecznego drapieżnika – człowieka. Albo zmienimy nasze relacje z naturą, albo Ziemia wyśle nam jeszcze bardziej śmiercionośne sygnały. Jak powiedział papież Franciszek w encyklice „Fratelli tutti": jedziemy na tym samym wózku i „albo wszyscy się uratujemy, albo nikt się nie uratuje".

W ten sposób wyłoniła się ekoteologia wyzwolenia, która stara się współpracować z wiarą chrześcijańską i Kościołem w imię ochrony stworzenia, w celu uniknięcia katastrofy ekologicznej i społecznej. W centrum tej teologii jest życie i biocywilizacja.

Kolejnym tematem, który dotyczy nas wszystkich, jest globalny pokój. Zamieszkujemy tę samą Ziemię, to nasz „wspólnym dom", a mimo to utrzymujemy przestarzałe granice między narodami. Wyzwanie polega na stworzeniu nowego globalnego paktu społecznego wszystkich narodów, omawianiu globalnych problemów i szukania globalnych rozwiązań. Nadal brak nam wystarczającej świadomości i działań, które trzeba podjąć już teraz, na poziomie międzynarodowym, jeżeli chcemy w dalszym ciągu móc żyć i cieszyć się naszą planetą. ©

Materia wątpliwa

MACIEJ MÜLLER

Do wina dodano ekstraktu z czarnego bzu. Według biskupa wszystkie msze odprawione przy jego użyciu były nieważne.

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Sprawą wina mszalnego żyje od kilku tygodni archidiecezja Kansas City w USA. 31 maja abp Joseph Naumann rozesłał do księży list, w którym ostrzegł przed stosowaniem podczas sprawowania sakramentów niewłaściwego wina. „Dwóch księży, którzy pracowali w trzech różnych parafiach, poinformowało, że wkrótce po swojej nominacji odkryli, iż przez długi czas stosowano tam wina, które stanowiły materię nieważną (*invalid matter*) do sprawowania Eucharystii" – napisał Naumann. W efekcie przez wiele lat także msze odprawiane w tych parafiach „były nieważne (*invalid*)". Arcybiskup ocenił, że to „bardzo poważna sytuacja", i zapowiedział, że zwróci się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o wytyczne w sprawie „programu naprawczego".

Jak w Wieczerniku

Eucharystia to w nauczaniu katolickim „źródło i szczyt" życia chrześcijańskiego, dlatego do jej odprawiania podchodzi się z najwyższą powagą. Jak głosi „Ogólne wprowadzenie do Mszału Rzymskiego", „w czasie Ostatniej Wieczerzy Chrystus ustanowił ofiarę i ucztę paschalną, w której ofiara krzyża stale uobecnia się w Kościele, ilekroć kapłan reprezentujący Chrystusa Pana czyni to samo, co sam Pan uczynił i co polecił uczniom czynić na swoją pamiątkę". Skoro „to samo", należy więc zastosować taki sam chleb (pszenny, niekwaszony, jak maca) i wino (z winogron), jakie według biblistów znajdowały się na stole podczas Ostatniej Wieczerzy.

Magisterium Kościoła wielokrotnie wypowiadało się na temat produktów, które nadają się do zastosowania podczas Eucharystii. Watykańska instrukcja „Redemptionis sacramentum" z 2004 r. stwierdza, że wino powinno być „naturalne, z winogron, czyste i niezepsute, bez domieszki obcych substancji". W 1922 r. Kongregacja Nauki Wiary pozwoliła na stosowanie wina zawierającego siarczyny, ponieważ „dodatki, których celem jest konserwacja wina, są dozwolone i nie naruszają ani ważności, ani godziwości materii".

Rozstrzygnięcia prawne bywają niezwykle precyzyjne. W 2015 r. polscy biskupi wydali „Wskazania w sprawie materii Eucharystii", w których wyznaczyli m.in. dolną granicę ciężaru moszczu dla win mszalnych w zależności od kraju pochodzenia. Do obowiązków proboszcza – podkreśla dokument – należy „nabywanie wina mszalnego u upoważnionego przez kurię diecezjalną producenta wina mszalnego, względnie dystrybutora, którzy przed swoim biskupem złożyli przyrzeczenie, że wytwarzane lub rozprowadzane przez nich wino spełnia wszystkie warunki".

Najwyższe prawo

Podobna praktyka jak w Polsce obowiązuje w wielu diecezjach USA: kurie biskupie prowadzą listy certyfikowanych winnic, w których proboszczowie powinni zaopatrywać się w wino. W trzech parafiach, o których wspomniał abp Joseph Naumann, najwyraźniej tego zaniedbano. Hierarcha nie opisał, co było nie tak ze stosowanym tam winem, z dalszej części jego listu do duchowieństwa zdaje się jednak wynikać, że chodziło o domieszki ekstraktu z czarnego bzu, dodatkowy cukier lub alkohol (dodane w sposób niewłaściwy).

Świadomość, że przez lata uczestniczyło się w nieważnych liturgiach, musi być dewastująca dla duchowości wiernych. Czy jednak katolicy z Kansas rzeczywiście znajdują się w takiej sytuacji? Ks. Marek Blaza, jezuita, teolog specjalizujący się m.in. w sakramentologii, uważa, że sformułowania zastosowane w liście abp. Naumanna mogą wywołać niepotrzebny niepokój.

– To przykład sytuacji, w której prawo kanoniczne próbuje wejść na teren teologii dogmatycznej – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem". – Dochodzi do groteski, bo zaczynamy mówić o fizyce Eucharystii, a powinniśmy o metafizyce, o misterium. Kanoniści nie są przecież od tego, aby wyznaczać ramy dla działania Ducha Świętego: próby dokonania tego prowadzą wręcz do ośmieszania chrześcijaństwa.

Ks. Blazę dziwi, że arcybiskup użył sformułowania „nieważność" w odniesieniu do materii eucharystycznej oraz samych mszy. – Wydaje się, że należało raczej powiedzieć, iż materia była wątpliwa (łac. *materia dubia*), a nie nieważna (*invalida*). Nie widzę też powodu, by od razu podważać ważności samej Eucharystii. W nazistowskich obozach koncentracyjnych więźniowie wytwarzali do odprawienia potajemnych mszy wino z rodzynek. Czy naprawdę uważamy, że zasadna byłaby teraz kanoniczna refleksja, czy tamte obozowe eucharystie były ważne?

– Trzeba zachować zdrowy rozsądek – podkreśla jezuita. – Jeśli zastosowane wino nie spełnia wymagań kanonicznych, mówiłbym o materii wątpliwej. Tam, gdzie istnieje wątpliwość, nie można stwierdzić jednoznacznie, że sakrament nie zaistniał.

Czy wierni z Kansas mogą więc czuć się bezpiecznie? – „Ważność" (*validitas*) Eucharystii jest terminem prawnym. Czym innym jest „owocność" (*fructuositas*) – tłumaczy ks. Blaza. – Może się zdarzyć, że nie dojdzie do konsekracji darów eucharystycznych, ale ich przyjęcie pozostanie owocne. Weźmy taki przykład: mszę celebruje symulant, który nie został wyświęcony na kapłana. Nie konsekruje on hostii, ale rozdaje je zgromadzonym jako Ciało Pańskie. I co, Pan Bóg miałby nie udzielić tym ludziom łaski sakramentalnej? Bóg jest ponad przepisami, normami i standardami. ©

Czytaj więcej: **powszech.net/wino-mszalne**

ZUZANNA

Radzik:
Nie powinna była

Ilu rzeczy nie powinnam była? To zdanie mogłoby być refrenem najlepszych wakacji, figli ze znajomymi, przygód, które pamięta się na zawsze. Testowania granic, zaufania do obcych, szczęśliwych kolei losu. Dobrze się skończyły, więc nikt się nie przyczepi.

Tamtego późnego popołudnia nieopodal hiszpańskiego miasta Huesca nie powinnaś była nawet myśleć o jechaniu sama autostopem. Sytuacja jak z kryminalnego filmu, zwłaszcza że zanim ktoś się zatrzymał, już zmierzchało. Trzech chłopaków w twoim wieku, materiały budowlane, oni utytłani i z piwkiem. Wsiadłaś do furgonetki, trochę się zawahałaś. Już widziałaś, co napiszą w policyjnej kronice. Ale z drugiej strony – dobrze patrzyło im z oczu, a przecież jazda autostopem to sztuka czytania oczu. Rozmowa z pomocą słowniczka nie składała się za bardzo, chciałaś zagrać bezpiecznie, żeby wysadzili cię po drodze i nie widzieli, na którym kempingu w tym pustkowiu śpisz. Tak pewnie robią te bardziej rozsądne osoby. Zamiast tego pojechałaś do ich rodzinnego miasteczka na fiestę z okazji dnia świętego patrona. Był wielki gar sangrii i drugi gar jedzenia, czerpało z nich całe miasteczko. Zbiegli się wujowie i ciotki, rozmowa kleiła się coraz bardziej, w miarę upływu trunków. Starsi uradzili, że niebezpiecznie jest rozbić się samej na kempingu na zamku, bo zbyt odludny. A w noclegowni, otwartej dla każdego, śpią bezdomni. Wróciłaś więc do Hueski z chłopakami, przez trzy dni zwiedzałaś okolicę z hydraulikiem-marksistą oraz jego kumplami z partii republikańskiej. Kobieta, obcy mężczyźni i alkohol oraz brak wspólnego języka. Do końca porozumiewaliście się, rysując kalambury na serwetkach, co nie przeszkadzało w płomiennych kłótniach o historię i politykę.

Nie lepiej było wtedy w Bet Szemesz. Stan studenckiej kieszeni sprawił, że pożałowałaś na bilet autobusowy. A może nie chciało ci się czekać? Za miastem zatrzymał się niezawodny tir. Najpierw kierowca rozmawiał z żoną przez telefon, potem składał ci seksualne propozycje, mrugając okiem, że jesteś ze wschodniej Europy i że wiadomo. Ile razy powtórzyłaś wtedy „nie”? Obraził się, oświadczył, że nie będzie z tobą rozmawiał. Dowiózł do skraju pustyni i dopiero tam się okazało, że skręca w osiedla. Z dwojga złego lepiej stać na skraju pustyni niż pośrodku. Chyba? Tak w każdym razie pomyślałaś. Ale gdy przez godzinę mijały cię obojętnie samochody i autokary, zaczęło się ściemniać, a z pustyni wyszedł skorpion, straciłaś rezon. To się tym razem źle skończy. Zamiast patrzeć kierowcom w oczy z nadzieją, śledziłaś wzrokiem skorpiona. I nagle stanął samochód, zobaczyłaś dwa czarne, ortodoksyjne kapelusze za przednią szybą. W końcu to Izrael. Ale że ortodoksi zatrzymali się, żeby zabrać dziewczynę? Szybko patrzysz, w co jesteś ubrana: bose stopy, sandałki, na szczęście długie spodnie, ale gołe ramiona. Szlag! Wyszedł pasażer, spuścił wzrok. On sprząta tylne siedzenie, ty przechodzisz sama siebie, dziękując. „Bierzemy cię tylko dlatego, że twoje życie jest zagrożone!” – burknął. „Też tak pomyślałam, bardzo dziękuję” – odparłaś.

Siedzisz z wdzięcznością cicho, ale ich ciekawość wygrała. „Skąd jesteś? Co tu robisz? Co studiujesz? Religioznawstwo? Żydówka czy gojka? Hmm, jesteś pewna? A znasz midrasz o tym, jak Haszem dawał Izraelowi Torę na górze Synaj? Nie, nie ten. Tego, o którym myślę, na pewno nie znasz. Zatem, gdy Haszem zaproponował Izraelowi przyjęcie Tory, odbyło się głosowanie. Większość zagłosowała na tak. Ale są tacy, i do dziś żyją ich potomkowie, którzy głosowali na nie. To są goje pośród Żydów. Z kolei gdy Haszem zaproponował narodom Torę, odbyło się głosowanie. Narody zagłosowały, że Tory nie chcą. Ale niektórzy głosowali na tak, i do dziś żyją ich potomkowie. To są Żydzi pośród gojów. Może jesteś jedną z nich, to z pewnością nie przypadek, że tu się znalazłaś. Czemu się śmiejesz? Jak to – nigdy się nie dowiemy? Można sprawdzić, trzeba tylko iść do cadyka, on wstąpi do nieba i sprawdzi”.

Powiedział to zupełnie zwyczajnie, ale zanim wzięłaś numer do cadyka, okazało się, że czas wysiadać, bo oni jadą obwodnicą, a ty do miasta. Osłupiała, stałaś na opłotkach Jerozolimy.

Nie powinna była – mówi chór gapiów. Nie powinna była iść sama, nie z tymi ludźmi. Ale jak się jest kobietą, niewiele trzeba, by w tym świecie wystawić się na ryzyko. Wystarczy wyjść z domu, a czasem i tego nie trzeba. Więc jeśli myślisz, że skoro jest XXI wiek, to możesz spotykać nowych ludzi, być wolna i ciekawa świata – mylisz się. Nie zaznasz współczucia, bo jesteś kobietą i powinnaś wiedzieć, że świat nie jest dla ciebie. Świat, w którym żyjesz, woli zadbać o przestrogi dla ciebie, a nie o twoje bezpieczeństwo.
Nie powinnaś była... Masz masę takich wspomnień. Ryzyko, przygoda, kontakt z nowymi ludźmi – to wszystko ma być też dla kobiet. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MATERIAŁY PRASOWE OCEAN.PLASTIC.POTS

PLASTIKOWY PRZYPŁYW

Osiem milionów ton plastiku trafia co roku do mórz i oceanów: to sieci rybackie, opony, saszetki po ketchupie, mikroplastik. Część z tych śmieci woda wyrzuca na brzeg.

PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII

Mały pustelnik – skorupiak nazywany często rakiem pustelnikiem – szybko przebiera licznymi odnóżami. Ciągnąc za sobą swoją muszlę, szuka schronienia za dużym kamieniem. Przypływ już się rozpoczął, ale na razie nasz pustelnik, a także małe kraby i inne stworzenia odcięte w wypełnionych wodą przestrzeniach w skałach starają się chronić przed słońcem i niepożądanym wzrokiem potencjalnych wrogów.

Te zagłębienia to *rock pools* – baseny pływowe. W czasie odpływów stają się osobnymi światami, w których można obserwować małe morskie stworzenia, jak właśnie pustelniki, pąkle, rozgwiazdy, miękkie ukwiały czy długie wstążki alg.

Rękawice dla chętnych

Dzień jest słoneczny i – jak na północną Szkocję – bardzo ciepły. Cicha i pusta kamienista plaża, położona tuż obok budynku Marine Aquarium w Macduff (jednej z lokalnych atrakcji), zachęca do wędrówki od jednego takiego basenu do drugiego, do poszukiwań i obserwacji.

Usuwanie starych sieci rybackich na plaży. Szkocka wyspa Skye, wiosna 2023 r.

O tym, że czas nie stoi w miejscu, przypomina przypływ, którego fala coraz szybciej wypełnia wodą kolejne *rock pools*. Za kilka godzin znikną pod powierzchnią wody.

Nie znikną natomiast czarna opona, skręcony fragment drucianego ogrodzenia, splątane niebieskie liny, które leżą jakieś sto metrów dalej, bliżej rybackiej przystani i stoczni. Fale wcisnęły je między potężne głazy w najwyższej części plaży. Za to metalowe puszki po napojach i plastikowe butelki – jeśli nie zostaną sprzątnięte – mają szanse być znów zabrane przez morze i wyrzucone na kolejną plażę.

Przed Marine Aquarium stoi wielka skrzynia ze sprzętem potrzebnym do zbierania śmieci: rękawicami, workami, chwytakami. Kto chce, może je wypożyczyć i zamiast obserwować kraby, pozbierać trochę odpadków. „Masz dwie minuty? – zachęca napis na skrzyni. – To weź sprzęt, zbierz cztery (lub więcej) śmieci, wyrzuć je do kosza lub zabierz do recyklingu w domu".

Skrzynia stanęła przed Aquarium w Macduff w ubiegłym roku. Jest częścią szerszego projektu prowadzonego przez inicjatywę Turning the Plastic Tide (dosłownie: Zawracając Plastikowy Przypływ; TTPT), która działa w północno-wschodniej Szkocji.

Projektem kieruje dr Lauren Smith, z zawodu biolożka morska. Kiedy się z nią kontaktuję, akurat prowadzi akcję czyszczenia plaży w Stonehaven. Takie akcje organizowane są na różnych szkockich plażach kilka razy w roku (jedną z nich przeprowadziło w czerwcu Aquarium w Macduff).

– Jak poszło? – pytam Lauren Smith po południu, gdy jej akcja jest już zakończona.

– 74 kilogramy plastiku, butelek, niedopałków papierosów, kawałków lin i metalu. Oraz kosz do połowu krabów – wylicza Smith. – Ale Stonehaven to raczej czysta plaża, dzięki mieszkającym tam ludziom oraz organizacji Paws on Plastic, która zachęca, by wykorzystać spacery z psami do zbierania po drodze śmieci. Za to dwa tygodnie temu w Craigewan koło Peterhead zebraliśmy 840 kilogramów...

Pozbierać. A co potem?

Craigewan, Sandford Bay czy Cairnbulg, skąd od 2019 r. wywieziono w sumie 16 ton odpadów, to – jak wynika z doświadczeń w projekcie Turning the Plastic Tide – najtrudniejsze miejsca na tym odcinku wybrzeża.

Tam znajdowane są nie tylko puszki i inne zwyczajne śmieci, ale także znacznie większe odpady, do których usunięcia nie wystarczy już grupa ochotników z ręcznymi chwytakami.

Wywiezienie odpadów z nadmorskich plaż, czasem bardzo trudno dostępnych – przykładowo tych na szkockich wyspach – jest często jednym z większych logistycznych problemów. Kolejnym jest ich późniejsza segregacja i ewentualny recykling części z nich, tak by nie wszystkie trafiały na wysypiska.

W kwietniu media obiegły zdjęcia ze Skye, jednej z najpiękniejszych szkockich wysp, gdzie odludną plażę pokrywała tak duża warstwa śmieci, że nie było nawet widać spod nich piasku czy kamieni. O akcji jej oczyszczania i problemach z tym związanych opowiada w rozmowie z „Tygodnikiem" Ally Mitchell [patrz rozmowa na następnych stronach – red.].

O liczbach i wielorybach

Do Morza Północnego co roku trafia 10 tys. ton plastiku. Mniej więcej jedna piąta z tego to rybackie liny i sieci, które można by przetworzyć, o ile zostałyby zebrane.

Tylko część z nich wyrzucana jest na plaże – ocenia się, że to, co widzimy na brzegu morza, to tylko ok. 15 proc. naszych morskich śmieci. Te, które pozostają w wodzie, mogą okazać się śmiertelną pułapką dla żyjących tam stworzeń.

W szkockich wodach co roku ok. 36 wielorybów (humbaków i płetwali karłowatych) zaplątuje się w liny – to dla nich olbrzymie zagrożenie, powodujące okaleczenie lub śmierć. Do tego dochodzą przypadki połykania plastiku, zatrucia, uduszenia – i dotyczy to nie tylko wielorybów, ale też innych morskich ssaków, a także ryb i ptaków. Konsumpcją plastikiem zagrożone są również mniejsze organizmy, jak małże, rozgwiazdy czy nawet plankton.

Mówi się o tym i pisze od lat. Czy coś się jednak zmienia?

Projekt Turning the Plastic Tide rozpoczął się w 2018 r. Pytam Lauren Smith o jej doświadczenia z tych kilku lat. – Świadomość problemu z plastikiem zdecydowanie w tym czasie wzrosła. W nadmorskich rejonach powstało mnóstwo oddolnych grup społecznych, które walczą z zanieczyszczeniami w morzu i na plażach. To wspaniałe – mówi biolożka.

Co można zrobić poza zbieraniem odpadów? Bo przecież te zebrane za chwilę zastąpią nowe... Lauren Smith uważa, że byłoby trudno całkowicie zrezygnować z plastiku, jest on potrzebny choćby w branży medycznej. – Jest jednak mnóstwo niepotrzebnych lub zbędnych plastikowych produktów jednorazowego użytku, nad którymi powinniśmy się zastanowić – przekonuje.

Wieczorem na plaży

Plaża w Cullen jest piaszczysta i podczas odpływu bardzo szeroka. Cofające się morze pozostawiło tylko pofałdowany piasek i pojedyncze wodorosty.

Jest wieczór najdłuższego dnia w roku, dochodzi dwudziesta, ale jasno będzie tu jeszcze przez kilka godzin. Wraz z lokalną grupą Wild Dookers – *dook* to w tej części Szkocji określenie na morską kąpiel – wchodzę do wody. Jej temperatura to tylko około dwunastu stopni Celsjusza. – Już dwanaście stopni! – podkreślają ci członkowie grupy, którzy kąpią się w morzu przez cały rok.

Fale są łagodne, morze spokojne, słońce wygląda czasem zza chmur. Na brzegu mała dziewczynka robi babki z piasku, niedaleko grupa przyjaciół celebruje letnie przesilenie w fantazyjnych kostiumach. Dzisiaj morze i ludzie wydają się żyć w zgodzie.

Po kąpieli nalewam sobie kawę z termosu i rozglądam się po górnej, kamienistej części plaży. Wśród kamieni leżą wyschnięte algi, wypłowiałe na słońcu kawałki drewna, pojedyncze muszle. Myślę, jak czysta jest ta plaża, gdy kątem oka widzę coś intensywnie niebieskiego: to kawałek plastikowego sznurka, zaklinowany pod kamieniem. Nieco dalej znajduję plątaninę turkusowych włókien, kawałek gumowej piłki, jakiś zielony filc.

Zabieram to wszystko zamiast muszli.

©℗

Skąpany w odpadach

ALLY MITCHELL, NUREK I PIONIER BIZNESU OPARTEGO NA WYDOBYTYM Z MORZA PLASTIKU:

Trzy lata temu zabrałem trochę odpadów ze statku towarowego, przy którym pracowałem, i zacząłem eksperymentować. Tak powstała moja pierwsza doniczka z odzysku.

PATRYCJA BUKALSKA: Niedawno, pod koniec kwietnia, zorganizowano akcję oczyszczenia z plastiku plaż na wyspie Skye. Skala zanieczyszczenia plaży koło Heaste okazała się porażająca. Pan tam był.

ALLY MITCHELL: Warstwa plastiku w Heaste ma około metra. Zaczęliśmy w tym kopać, w najgłębszym miejscu, gdzie odpady sięgały mi niemal do ramion. Spędziliśmy tam cztery dni. Ta akcja była częścią projektu recyklingu plastiku z sześciu szkockich wysp, prowadzonego przez władze samorządowe regionu Highlands and Islands i stowarzyszenia Scottish Coastal Clean Up. Obejmuje on wyspy Skye, Eigg, Rum, Muck, Coll i Canna. Dołączyliśmy do grupy na Skye i większość sił poświęciliśmy zatoce koło Heaste. Tam sytuacja była bardzo trudna.

Ponad metrowa warstwa odpadów. Jak to możliwe?

Zatoka ma kształt nerki i jest umiejscowiona na końcu długiego kanału morskiego. Porzucony sprzęt rybacki, jak sieci, pojemniki czy liny, zbierał się tam całymi latami. Warunki pogodowe – wiatry i prądy morskie – spychały te odpadki na sam koniec kanału, właśnie do tej zatoki. Nie da się tam łatwo dotrzeć lądem, marsz trwa ok. 40 minut, więc ten plastik, który mogliśmy, zabraliśmy stamtąd łodzią. Nie zostawiliśmy jednak wcale czystej plaży. To, co nasz zespół mógł zrobić w cztery dni, było jedynie muśnięciem powierzchni.

Plastikowe odpady nadal tam są?

Oczywiście. To, co tam się stało, jest trudne do wyobrażenia. Widać to na zdjęciach z drona, na których nawet trudno wypatrzeć nasze sylwetki wśród śmieci. Z tego morza odpadów udało nam się zabrać i przewieźć do przystani w Mallaig na stałym lądzie prawie dwie tony. Teraz są poddawane recyklingowi. Zrobimy z nich doniczki, a one z kolei wrócą na wyspę. To taki koncept: ponieważ poszczególne serie doniczek powstają z konkretnych partii odpadów, chcemy, aby trafiały one do sklepów tam, gdzie zebrano plastik. W ten sposób zyski trafią do społeczności z wysp zaangażowanych w projekt.

Szkockie wyspy w znacznym stopniu polegają na turystyce. Czyste, nietknięte niemal plaże to ich wizytówka, więc taka sytuacja musi być dla nich ciosem.

Plastik je zalewa, a przyczynia się do tego bliskość Atlantyku. Rok temu czyściliśmy plaże na wyspie Ulva, to jedna z najbardziej zanieczyszczonych plaż w zachodniej Szkocji. Usunęliśmy wszystkie stare sieci rybackie. Okazało się, że niektóre mogły pochodzić aż z Kanady. Miejscowy rybak powiedział nam, że z pewnością nie były to sieci europejskie. Na plażę wyrzuciło je morze.

Największym problem jest identyfikacja zebranego plastiku: często jest połamany na kawałki i nie można odczytać numeru identyfikacyjnego.

Bez takiego numeru nie wiadomo, czy ten akurat kawałek można recyklingować?

Zgadza się. Na przykład środki zmniejszające łatwopalność produktu są toksyczne. Dlatego nie przetwarzamy sztywnego plastiku z plaż. Przetwarzamy pojemniki na ryby, bo wiemy, że one są z tworzywa HDPE – muszą być nietoksyczne, bo mają kontakt z rybami. Zrecyklingowaliśmy ich już siedemset. Z kolei plastik z boi rybackiej jest toksyczny, nie można go wykorzystać. Dlatego identyfikacja odpadów jest tak ważna i tak trudna.

Wróćmy do roku 2020 – był dla Pana rokiem przełomowym.

Przez 13 lat byłem zawodowym nurkiem, pracowałem w morzach na całym świecie na dużych głębokościach. Aż przyszła pandemia i pierwszy dzień lockdownu. Statek towarowy „MV Kaami", przewożący dwa tysiące ton plastikowych odpadów, uderzył w rafę na północ od wyspy Skye. Gdyby odpady dostały się do morza, byłaby to katastrofa dla życia w tamtejszych wodach. Kiedy więc zadzwonił do mnie kolega i zapytał, czy chcę wziąć udział w akcji ratunkowej, wskoczyłem do auta i pojechałem. Kolejnych sześć tygodni spędziłem nurkując wśród plastiku. To znaczy: przez pierwszy tydzień sprawdzaliśmy kadłub, a kolejne pięć tygodni pracowaliśmy wewnątrz statku, w wodzie pod pokładem. Nigdy w życiu nie widziałem takiej ilości plastikowych odpadów. To było najgorsze, co widziałem w mojej pracy. Plastik sięgał nam po szyję...

Co było dalej?

Chciałem coś z tym zrobić. Zacząłem czytać o recyklingu. Już kilka miesięcy wcześniej miałem taki pomysł, żeby robić doniczki ze starych lin rybackich – tych lin się naoglądałem wiele, za każdym razem, gdy wpływaliśmy do portu, i wiedziałem, że to ten sam rodzaj materiału. Po pracy na statku wracałem więc w nocy samotnie do pokoju hotelowego – bo z powodu covidu musieliśmy się od siebie izolować – i szukałem informacji. Potem wróciłem do domu w Glasgow, wziąłem ze sobą trochę odpadów z tego statku towarowego i zacząłem eksperymentować. Tak powstała pierwsza doniczka.

Na doniczkach Pana firmy Ocean Plastic Pots widnieje logo przedstawiające ogon wieloryba. Te morskie ssaki, podobnie jak delfiny, coraz częściej padają ofiarą plastiku.

Logo zaprojektował mój szwagier, a inspiracją rzeczywiście był wieloryb, którego znaleziono na plaży niedaleko miejsca, gdzie kilka miesięcy później osiadł wspomniany statek „MV Kaami". Opisywano to szeroko w mediach, bo rzadko się zdarza okazja przeprowadzenia sek-

WICEK SOSNA

Ally Mitchell z żoną Louise podczas Chelsea Flower Show. Londyn, 22 maja 2023 r.

ALLY MITCHELL jest zawodowym nurkiem z wieloletnim doświadczeniem. W 2020 r. założył firmę Ocean Plastic Pots, która produkuje doniczki z zebranych na plażach sieci i lin rybackich. Mitchell podkreśla, że wykorzystuje plastik zebrany na szkockich plażach, a cały proces produkcyjny również odbywa się w Szkocji, co minimalizuje ślad węglowy jego produktu. Doniczki Ocean Plastic Pots zostały wyróżnione wieloma nagrodami, były też pokazywane na wystawie w muzeum designu V&A Dundee w Szkocji.

cji martwego wieloryba i ustalenia przyczyny jego śmierci – jest to możliwe tylko przez krótki czas od zgonu. Wewnątrz tamtego wieloryba znaleziono sto kilogramów rybackich lin i plastikowych odpadów. Morze w tamtym miejscu, między wyspami a Wielką Brytanią, jest głębokie i często przepływają tamtędy wieloryby. Niestety zdarza się, że wówczas giną.

Kilkanaście lat pracował Pan jako nurek. Jak w tym czasie zmieniały się morza? Siłą rzeczy był Pan świadkiem tego, co dzieje się pod powierzchnią, a czego my przecież nie widzimy i o czym nie wiemy.

Pięć lat wcześniej dostałem zlecenie na Wybrzeżu Kości Słoniowej, mieliśmy tam usunąć sieci rybackie z platform wiertniczych. Miesiąc nurkowaliśmy w tych pięknych wodach, wyciągając stare porzucone sieci. Nie myślałem wtedy, że to zanieczyszczenia, nie miałem wówczas takiej świadomości tego, co dzieje się w środowisku, jak teraz.

Wiemy dziś, co oznacza zanieczyszczenie morza plastikiem, ale chyba nadal nie zdajemy sobie sprawy ze skali tego problemu.

Ani z tego, że rybackie liny to również plastik. Większość tego, co jest zbierane, trafia na składowiska odpadów – czyli *de facto* z morza przenoszone jest do ziemi, bo nie wszystkie rodzaje plastiku można recyklingować. Nasze doniczki powstają z lin i sieci rybackich – z materiału, który można przetworzyć.

Jak wygląda ten proces?

Zebrany na plażach plastik jest myty i rozdrabniany na włókna, znów jest myty i znów rozdrabniany. Przechodzi przez procesor wykrywający metale – materiał nie może być zanieczyszczony, metalowe elementy są usuwane. Potem jest granulowany. Kolor granulek, a potem doniczek, zależy od koloru zebranego plastiku.

Doniczki są żółte, niebieskie, szare, nawet różowe – z czegoś, co jest odpadem i szkodzi środowisku, powstaje coś pięknego, użytecznego i co kiedyś może ponownie być poddane recyklingowi.

Zasadniczo wszystko, co zbierze się na plaży, przetworzone będzie miało kolor szary lub czarny, gdy kolory są wymieszane. Nie ma pewności, jaki będzie końcowy efekt. Na przykład jeśli lina jest biała z dodatkiem czerwonego włókna, to włókno wpłynie na kolor całej partii. A biała lina z czarnym dodatkiem stanie się szarą doniczką. Jeszcze innym materiałem, który wykorzystujemy, są liny cumownicze, one zwykle są wysyłane na składowiska odpadów. Jeśli trafiają do nas, są segregowane zgodnie z kolorem.

Jak Pan widzi przyszłość swojej firmy, ale też naszego stosunku do plastiku?

Jesteśmy małą firmą, ale dotychczas przetworzyliśmy 25 ton plastikowych odpadów. Celem jest jednak zwiększanie świadomości problemu, jakim jest zanieczyszczenie plastikiem. To nasz etos. Ludzie kupują nasze doniczki często jako prezent dla kogoś, lecz razem z nimi w świat wędruje coś jeszcze – historia o tym, jak powstały.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

DAVID MAREUIL / AFP / EAST NEWS

Uliczna zbiórka pieniędzy na pomoc wolontariuszom pracującym w Ukrainie. Tokio, 28 sierpnia 2022 r.

Japonia patrzy na wojnę w Europie

WOJCIECH KONOŃCZUK Z TOKIO

Zwykle zapominamy, że Polska i Japonia mają wspólnego sąsiada. Agresja Rosji na Ukrainę wywołała głębokie zmiany w polityce Tokio.

Na ulicach japońskiej stolicy nie widać ukraińskich flag. Ale wystarczy rzut oka na sondaże opinii publicznej, aby zobaczyć, po czyjej stronie są sympatie ogromnej części społeczeństwa. Rosyjska napaść na Ukrainę wywołała w Japonii szok i niedowierzanie. Choć oba kraje dzieli prawie 10 tys. kilometrów, to Japończycy szybko zrozumieli, co jest stawką tej wojny i jakie niesie wyzwania również dla nich.

JAPOŃCZYCY OTWIERAJĄ PORTFEL | Tokio jednoznacznie opowiedziało się po stronie ofiary. Nie tylko werbalnie, ale podejmując konkretne działania pomocowe w formie dostaw pomocy humanitarnej, przyjęcia 2 tys. ukraińskich uchodźców oraz wsparcia quasi-wojskowego (kamizelki kuloodporne, hełmy, drony, sprzęt do rozminowywania itp.). Jeszcze ważniejsza jest pomoc finansowa, w tym w szczególności ogłoszony w lutym pakiet w wysokości 5,5 mld dolarów. Ukraina, aby przetrwać, potrzebuje nie tylko broni, lecz również pieniędzy na stabilizację swojego budżetu.

Według danych rządu w Tokio od wybuchu pełnoskalowej wojny w lutym 2022 r. łączna pomoc japońska – ta już udzielona oraz ta zadeklarowana – wynosi 7,6 mld dolarów. Suma imponująca i większa niż w przypadku wielu dużych państw zachodnioeuropejskich. Ważnym symbolem japońskiego zaangażowania była też marcowa wizyta premiera Fumio Kishidy w Kijowie.

ROZCZAROWANI ROSJĄ | Skutkiem inwazji z 24 lutego 2022 r. stało się faktyczne zamrożenie relacji japońsko-rosyjskich – znalazły się one w punkcie najniższym od wielu dekad. A przecież jeszcze niedawno polityczne i społeczne oczekiwania w Japonii co do możliwości porozumienia się z Rosją były ogromne. Dość powiedzieć, że w 2014 r., już po aneksji Krymu, wizerunek Rosji w oczach społeczeństwa japońskiego był jednym z najbardziej pozytywnych w historii. Teraz, po 24 lutego 2022 r., obniżył się do poziomu bezprecedensowo niskiego.

Aby zrozumieć tę sinusoidę japońskich emocji wobec Rosji, musimy przyjrzeć się polityce Tokio wobec Moskwy w ciągu ostatniej dekady. Ważnym kontekstem dla działań japońskich wobec swojego północnego sąsiada jest nierozwiązany spór terytorialny. W 1945 r., pod koniec II wojny światowej, Związek Sowiecki zajął Kuryle Południowe (dla Japończyków – Terytoria Północne) i od tego czasu ten archipelag wysp jest przedmiotem sporu. W 1956 r. oba państwa podpisały dokument o zakończeniu stanu wojny, który przewidywał, że po przyszłym podpisaniu traktatu pokojowego Moskwa zwróci Japonii dwie z czterech głównych wysp.

MOSKWA OBIECUJE I ZWODZI | Od tego czasu minęło niemal 70 lat, ale strony są od tego dalej niż kiedykolwiek wcześniej. Choć jeszcze niedawno wydawało się, że sukces jest bliski. Do znaczącego ocieplenia relacji z Moskwą doprowadził premier Shinzō Abe w okresie, gdy po raz drugi stał na czele rządu (2012-20). Przełom w stosunkach z Rosją był jednym z jego zagranicznych priorytetów, a symbolem tego może być aż 27 spotkań Abego z Putinem. Z żadnym innym przywódcą zagranicznym japoński premier nie spotykał się równie intensywnie.

Kreml doskonale zrozumiał, jak bardzo zależy premierowi Abe na porozumieniu, i dawał do zrozumienia, że nie wyklucza ustępstw terytorialnych, ale że będzie to miało swoją cenę – ekonomiczną i strategiczną. Ta pierwsza sprowadzała się do oczekiwania poważnych inwestycji japońskich w Rosji. Ta druga zaś – co najmniej poluzowania sojuszu Tokio z Waszyngtonem i wprowadzenia podziałów w stosunku do Rosji wśród państw grupy G7 (Japonia do niej należy).

Z perspektywy minionej dekady można powiedzieć, że Kreml zastawił na Tokio pułapkę. Wiele obiecywał i dawał do zrozumienia, że porozumienie o zwrocie części Wysp Kurylskich jest na wyciągnięcie ręki. W ostatecznym rozrachunku skończyło się na obietnicach i Japonia nie dostała nic. Próba resetu relacji z Moskwą przyniosła więc całkowite fiasko.

Również dlatego Japończycy zareagowali tak mocno na rosyjską napaść na Ukrainę. Wielkiemu wsparciu dla Ukrainy towarzyszyło dołączenie Tokio do zachodnich sankcji, choć z pewnymi zastrzeżeniami. Japonia wciąż importuje skroplony gaz (LNG) z rosyjskiego Sachalinu (stanowi on 9 proc. krajowej konsumpcji gazu) i nie zdecydowała się na nałożenie restrykcji na import ryb oraz produktów rybnych z Rosji. Zbyt ważne jest ich miejsce na japońskich stołach.

ZBROJENIA CZAS ZACZĄĆ | Wojna w Europie wywołała też daleko idące zmiany w japońskim myśleniu o otoczeniu międzynarodowym, czego przejawem jest m.in. przyjęta w grudniu 2022 r. nowa strategia bezpieczeństwa narodowego.

Dokument ten diagnozuje, że „środowisko bezpieczeństwa jest najtrudniejsze i najbardziej złożone" od czasów zakończenia II wojny światowej. Japończycy rozumieją, że wojna rosyjsko-ukraińska wstrząsnęła podstawami porządku międzynarodowego i ma daleko idące konsekwencje globalne. Akurat Tokio jest przywiązane do zasad prawa, bo dzięki nim w powojennych dekadach zbudowało potęgę swojej gospodarki, a następnie korzystało na globalizacji. Dlatego coraz bardziej nieprzewidywalny świat jest i wyzwaniem, i zagrożeniem. Szczególnie że Japonia graniczy z trzema państwami nuklearnymi: Rosją, Chinami i Koreą Północną.

Japonia zdaje sobie sprawę, że rosnąca potęga Chin i ryzyko wybuchu wojny wokół Tajwanu wymuszają znaczące wzmocnienie sił zbrojnych, w tym rozbudowę obrony powietrznej i arsenału pocisków dalekiego zasięgu. Tokio przygląda się wojnie obronnej Ukrainy i wyciąga wnioski. W tym ten, że bez skutecznej samoobrony nie ma co liczyć na uzyskanie pomocy z zewnątrz. Dlatego nowa strategia bezpieczeństwa głosi konieczność posiadania „efektywnych zdolności do kontruderzenia na terytorium przeciwnika". Tokio wierzy w możliwość zakupu amerykańskich pocisków manewrujących Tomahawk o zasięgu do 1600 km. Dotąd Amerykanie sprzedali je jedynie Brytyjczykom, ale zacieśniający się sojusz japońsko-amerykański sprawia, że jest prawdopodobne, iż Japończycy je dostaną.

STRATEGICZNY DYLEMAT | Warto też przypomnieć, że na terytorium japońskim stacjonuje 50 tys. żołnierzy amerykańskich, a bez współpracy ze strony Japonii ewentualna obrona Tajwanu w przypadku chińskiej agresji byłaby niezwykle trudna. Z punktu widzenia Waszyngtonu położenie wysp japońskich jest więc dziś nie do przecenienia.

Japonia ma jednak strategiczny dylemat. Oto bowiem Chiny, potencjalnie największe wyzwanie dla bezpieczeństwa tego kraju, są też jej kluczowym partnerem gospodarczym – aż 20 proc. japońskiego handlu zagranicznego przypada na Państwo Środka. Europejskie dyskusje o potrzebie stopniowego zmniejszania zależności od rynku chińskiego byłyby w skutkach – gdyby zrealizować ich postulaty – mniej znaczące niż potencjalny wstrząs dla gospodarki Japonii, jaki wywołałoby zerwanie z Chinami. Na to nakłada się z kolei bliska współpraca chińsko-rosyjska, w tym w sferze bezpieczeństwa, która przyspieszyła w ostatnich kilkunastu miesiącach, a która jest przedmiotem obaw Tokio.

Wychodząc naprzeciw rosnącym wyzwaniom w sferze bezpieczeństwa, Japonia podjęła już decyzję o zwiększeniu wydatków na obronność do 2 proc. PKB w ciągu czterech lat, co oznacza wzrost o ponad 60 proc. Do 2027 r. będzie to łącznie ponad 315 mld dolarów.

MIT JAPONII | Tak znaczące zwiększenie budżetu wojskowego, nawet w przypadku kraju o trzecim największym PKB na świecie, nie będzie jednak łatwe. Japonia jest bowiem państwem o największym zadłużeniu wśród krajów OECD, sięgającym 232 proc. PKB (dla porównania dług Polski to 50 proc. PKB). Roczne koszty jego obsługi pochłaniają ponad 22 proc. wydatków budżetowych. Przy tym japońska gospodarka od lat jest w stagnacji, a szybko starzejące się społeczeństwo i narastające problemy demograficzne będą wymuszać przeznaczanie wielkich środków na politykę społeczną.

Na tym problemy Japonii się nie kończą. Wystarczy kilka dni w Tokio, aby zrozumieć, że wizerunek supernowoczesnej Japonii, tak głęboko obecny w europejskich wyobrażeniach, wymaga aktualizacji. Sektor motoryzacyjny, tradycyjnie jedno z kół napędowych gospodarki, nie może się odnaleźć w branży szybko przechodzącej na auta elektryczne. Cyfryzacja kuleje, a japoński system bankowy jest na poziomie polskiego sprzed kilkunastu lat. Przykład pierwszy z rzędu: okazuje się, że w większości restauracji nie zapłacimy kartą. A automat biletowy w – skądinąd świetnie działającym – tokijskim metrze przyjmuje tylko monety.

MIĘDZY WARSZAWĄ A TOKIO | Rosyjska agresja na Ukrainę sprawiła, że Japonia lepiej rozumie ścisły związek między bezpieczeństwem na obszarze europejskim i indopacyficznym oraz jak bliskie są powiązania między nimi. Także dlatego, że w obu przypadkach kluczowym i bezalternatywnym filarem są i długo jeszcze pozostaną Stany Zjednoczone. W tym należy upatrywać tak bezprecedensowego wsparcia Tokio dla walczącej Ukrainy oraz działań rządu i firm japońskich, które zainteresowane są odbudową Ukrainy.

Wojna wywołała też aktywizację kontaktów polsko-japońskich. Polskie działania wspierające Ukrainę są dostrzegane i doceniane – od dawna Polska nie miała w Japonii tak dobrego wizerunku. Tradycja politycznych kontaktów polsko-japońskich sięga co najmniej roku 1904, kiedy to w czasie wojny rosyjsko-japońskiej w Tokio spotkali się Józef Piłsudski i Roman Dmowski. Po ponad stuleciu widać, że wspólny i mocno problematyczny sąsiad jest wciąż ważnym czynnikiem wpływającym na kontakty między Polską a Japonią. ©

Autor jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.

Coś jest na rzeczy

MARTYNA WASIUTA

Konspirytualność – polski neologizm, od angielskiego „conspirituality" – to zjawisko, które teorie spiskowe łączy z alternatywną duchowością i rozczarowaniem polityką. Czy Czesi są na nie podatni?

Unijne fundusze na odbudowę po pandemii można wydawać na różne sposoby. W połowie czerwca serwis informacyjny Czeskiego Radia opublikował wyniki badań opinii na temat teorii spiskowych, które wiosną tego roku przeprowadzili socjologowie z uniwersytetów w Brnie i Pradze oraz z Czeskiej Akademii Nauk.

Sfinansowane dzięki środkom z Krajowego Plan Odbudowy, badania wzięły pod lupę prawie 4 tys. czeskich użytkowników internetu. Pytano ich o opinię na temat dwudziestu najpopularniejszych teorii spiskowych. Były to głównie teorie związane z tzw. nowym porządkiem świata (New World Order), głębokim państwem (Deep State), operacjami pod fałszywą flagą czy zabójstwami i niewyjaśnionymi zgonami postaci historycznych. Uwzględniono też teorie dotyczące szczepień i narracje rosyjskiej propagandy.

Wspólnota w sieci

Okazało się, że odsetek twardych zwolenników konspiracyjnego myślenia o świecie jest w Czechach niski. Za to poważniejszy w skutkach może być potencjał, który drzemie w umiarkowanych koronasceptykach oraz w osobach zgadzających się z tezą, iż nielegalne migracje z państw afrykańskich to część zorganizowanego planu zawładnięcia Europą przez inne rasy. Część z nich straciła zaufanie do państwa i jego instytucji, a teraz upatrują ostoi w alternatywnych wizjach rzeczywistości i polityki. Większą skłonność do wyznawania teorii spiskowych mają przy tym osoby deklarujące przywiązanie do szeroko pojętej duchowości. Ta specyficzna wspólnota stała się widoczna w sieci zwłaszcza podczas pandemii.

Z jednej strony Czesi mogą więc spać spokojnie – zagorzałych zwolenników teorii, że smugi kondensacyjne powstające za samolotami zawierają trujące substancje chemiczne (tzw. *chemtrails*) albo że księżnę Dianę zamordowano, jest niewielu: oszacowano tę grupę na 6 proc. badanych.

Większość Czechów deklaruje za to sprzeciw wobec konspiracyjnych narracji, przy czym 17 proc. uważa się za ich zdecydowanych przeciwników, 20 proc. za przeciwników umiarkowanych, a kolejne 17 proc. za przeciwników niezaangażowanych. Ludzi tych łączy zaufanie do systemu politycznego i demokracji, są zadowoleni z członkostwa kraju w Unii Europejskiej i NATO, popierają działania rządu wpierające Ukrainę. Informacje czerpią z portali informacyjnych czy tygodników, przy czym w dużej mierze z mediów publicznych.

Rozczarowani systemem

Grono zwolenników teorii spiskowych jest jednak niemałe. Nie jest to grupa jednorodna: dzieli się na twardych (wspomniane 6 proc.), umiarkowanych podkreślających kwestię migracji (10 proc.) i umiarkowanych akcentujących temat covidu (12 proc.); kolejne 13 proc. to osoby, które deklarowały, że „coś jest na rzeczy".

Zdeklarowani amatorzy teorii spiskowych w Czechach to ludzie, którzy wykazują duże zainteresowanie polityką i jednocześnie nie ufają systemowi politycznemu. Nie są też przekonani, że demokracja to najlepsza forma rządów. Często wspominają, iż w zasadzie jest im wszystko jedno, czy żyją w systemie demokratycznym czy niedemokratycznym. Są niezadowoleni z członkostwa Czech w NATO i UE oraz zdecydowanie nie zgadzają się, by Czechy pomagały Ukrainie i przyjmowały ukraińskich uchodźców.

Najbardziej radykalni wyznawcy teorii spiskowych czerpią informacje z wielu źródeł, ale w mniejszym stopniu z niezależnych mediów publicznych na rzecz serwisów szerzących dezinformację. Źródłem wiedzy są dla nich posty w sieciach społecznościowych i platformy czatowe (komunikatory).

Rozczarowani systemem politycznym i demokracją są także koronasceptycy, lecz w odróżnieniu od twardych wyznawców teorii spiskowych wykazują niewielkie zainteresowanie polityką. Z kolei ci, którzy deklarowali umiarkowaną zgodę („raczej się zgadzam") z tezą, że nielegalne migracje to element planu zniszczenia kultury Europy na rzecz zawładnięcia nią przez inne rasy, mimo wszystko pokładają większą ufność w państwie i jego systemie niż pozostali zwolennicy konspiracyjnych teorii dziejów (może dlatego, że w jego instytucjach upatrują ratunku owym „planem").

LUKAS KABON / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Antyrządowa demonstracja w Pradze, 16 kwietnia 2023 r.

Choć częściej zgadzają się oni z twierdzeniem, iż demokracja jest lepszym ustrojem niż inne, to wielu dopuszcza jednak autorytarną formę rządów, będącą w ich mniemaniu gwarantem ładu i porządku (na marginesie: ostatnie badania opinii publicznej pokazują, iż zaufanie do policji, armii i sądownictwa jest dziś w Czechach najwyższe w historii takich pomiarów, czyli od lat 90. XX w.).

Zagrożenie dla demokracji?

Jedna z badaczek zwróciła uwagę, że łączny odsetek osób skłaniających się ku narracjom konspiracyjnym wynosi niemal tyle samo (ponad 40 proc.), ile odsetek osób skłaniających się w Czechach ku „jakiejś duchowości". O ile nie należy postrzegać jej jako patologii ani mylić z czeską religijnością (według ostatniego spisu powszechnego z 2021 r. na 10,5 mln Czechów ponad 5 mln nie deklaruje żadnego wyznania, a 3 mln nie udzieliło odpowiedzi w tej kwestii), to zbieżność obu zjawisk można uznać za przejaw tzw. konspirytualności (ang. *conspirituality*) – zjawiska łączącego rozczarowanie polityką z alternatywnymi światopoglądami, silnie obecnego w różnych zakątkach internetu.

Przykładem takiego ruchu jest amerykański QAnon. Antysystemowość tych środowisk zdaniem niektórych naukowców jest kontynuacją dobrze znanej nam kontrkulturowości, mającej również swoje korzenie duchowe.

To właśnie obojętność na system polityczny i formę rządów, a także dopuszczanie („pod pewnymi warunkami") rządów autorytarnych przez frakcję umiarkowanych zwolenników teorii spiskowych mogą stanowić zagrożenie dla demokracji.

W badaniach opinii widać pewną zależność: otóż skłonność do wiary w teorie spiskowe czy narracje konspiracyjne wśród Czechów rośnie w miarę, jak spada deklarowane zaufanie do systemu społecznego i kluczowych instytucji (w tym lekarzy i naukowców). Socjologowie z Centrum Badania Opinii Publicznej (CVVM) zwracają uwagę, że dziś ludzie w ogóle niezbyt ufają instytucjom państwowym i politycznym. Mniejsze jest również zaufanie do mediów – media tradycyjne (TV, prasa, radio) odnotowały spadek z poziomu 60-70 proc. w 2005 r. do 35-50 proc. w 2023 r. Niewiele lepiej się ma wiarygodność internetu w oczach Czechów: w 2011 r. ufała mu ponad połowa z nich, dziś 42 proc.

Socjologowie z CVVM ostrzegają, że „ludzie mogą postawić się systemowi lub całkowicie zrezygnować z partycypacji w nim, np. zupełnie przestać głosować w wyborach".

W pandemicznym chaosie

Autorytet niektórych instytucji społecznych i politycznych ucierpiał podczas pandemii, a to za sprawą chaotycznych rządów Andreja Babiša i przeciążenia służby zdrowia. Już latem 2020 r. premier hucznie ogłosił koniec pandemii, aby kilka miesięcy później wprowadzić ostry lockdown, który poluzowano dopiero wiosną 2021 r. W międzyczasie ogłaszano kolejne restrykcje i zasady zarządzania epidemią, których nie udawało się wcielić w życie, gdyż albo były źle skonstruowane, albo tak skomplikowane, że powstała kakofonia ich interpretacji. Od jednego z systemów wywodzi się nazwa koronasceptycznej partii Zdechł Pies (Protiepidemický system, w skrócie PES – po czesku „pes" oznacza także psa). Epidemia nie jest już problemem, rządzi konserwatywno-liberalny gabinet Petra Fiali, a jej działacze nadal są widywani na antyrządowych protestach.

Jeszcze mniej dziwi spadek zaufania do instytucji politycznych, jeśli przyjrzymy się temu co się działo w ministerstwie zdrowia. Strategiczny wówczas resort stał się „gorącym krzesłem". Wprowadzając ostry lockdown jesienią 2020 r., Babiš odwołał Adama Vojtěcha z funkcji ministra zdrowia, czyniąc z niego kozła ofiarnego – choć Vojtěch był najlepszym ministrem, jakiego miała ta ekipa. Po nim funkcję tę sprawowało trzech kolejnych, a każdy wylatywał z hukiem. Z największym, bo po miesiącu urzędowania, Roman Prymula, którego w czasie lockdownu dziennikarze przyłapali na ulicy, jak wychodził z restauracji otwartej mimo zakazu (i bez maseczki). W końcu w maju 2021 r. ministrem zdrowia znów został Vojtěch. Sporym ciosem dla społecznego zaufania do polityków i ekspertów była też decyzja o odroczeniu lockdownu do czasu po wyborach.

Influencerki zmieniają profil

Oliwy do ognia dolał kontakt obywateli ze służbą zdrowia. Jedna z antropologicznych teorii zwraca uwagę, że wiele Czeszek miało złe doświadczenia z placówkami położniczymi. Niezadowolone, dołączały do grupy na Facebooku poświęconej porodom domowym i alternatywnym. Grupa ta pokrywa się z grupą matek, które odmawiają szczepienia dzieci. Grupy antyszczepionkowe z kolei pokrywają się w dużym stopniu z grupami zwolenników teorii spiskowych. Fatalne doświadczenia z opieką medyczną mogły być drzwiami do wspólnoty duchowej w mediach społecznościowych dla wielu rozczarowanych Czeszek – twierdzi antropolożka z zespołu badawczego, podkreślając, że sama duchowość nie oznacza nic groźnego, ale polityczna radykalizacja tych kręgów już tak.

Nie bez znaczenia były też „bezrobotne" w czasie lockdownu czeskie influencerki. Nie mogły poświęcać uwagi tradycyjnym dla siebie tematom związanym z podróżowaniem czy modą. Mimo braku kompetencji zmieniły profil na porady *wellness* i duchowe, zaczynając szerzyć dezinformację.

▪▪▪

Ku pokrzepieniu serc odnotujmy na koniec, że Czesi są odporni na rosyjską propagandę. Większość nie podziela tezy, że Rosja została zmuszona do zaatakowania Ukrainy z powodu wrogich działań państw NATO – 68 proc. nie zgadza się z taką narracją. Przeciwnego zdania jest tylko 11 proc., czyli mniej więcej tyle, na ile wskazują od lat inne badania opinii publicznej w Czechach. ©

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 556/22, na skutek wniosku Zofii Buta, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Wiktorii Genowefie Słowik, zm. 25 kwietnia 2022 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałej w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny toczy się postępowanie pod sygnaturą I Ns 896/22 z wniosku Tadeusza Skorysa o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności nieruchomości składającej się z działki nr ewid. 48/1, o pow. 0,04 ha, położonej w Guzewie, gmina Mrozy, powiat miński.

Sąd wzywa wszystkich, którzy roszczą sobie prawa do ww. nieruchomości, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia stawili się w tutejszym sądzie i wykazali swój interes do uczestniczenia w tym postępowaniu, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w niniejszym postępowaniu.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim w Wydziale I Cywilnym w sprawie sygn. akt I Ns 1087/22 toczy się postępowanie z wniosku Janiny Zofii Czajki o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie nieruchomości położonej we wsi Chełst, gmina Siennica, powiat miński, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 70, o powierzchni 0,06 ha.

Sąd wzywa spadkobierców Stefanii Makowskiej i Romana Makowskiego, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia wykazali przed tutejszym Sądem swe prawa do opisanej nieruchomości pod rygorem pominięcia ich praw w toczącym się postępowaniu.

Przed Sądem Rejonowym w Kielcach toczy się postępowanie w sprawie VIII Ns 935/22 o stwierdzenie nabycia spadku po Helenie Grzybowskiej z d. Kaczmarczyk, c. Michała i Janiny, posiadającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Kielcach, zm. 24 sierpnia 2021 r. W skład spadku po zmarłej wchodzi prawo odrębnej własności lokalu położonego w Kielcach przy ulicy Mazurskiej.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie Wydział I Cywilny pod sygnaturą I Ns 1367/21 toczy się postępowanie z wniosku gminy m.st. Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po Janinie Krakowczyk z d. Brzozowskiej, c. Leopolda i Zofii z d. Woźnica, ur. 25 grudnia 1938 r. w Piaskach, zamieszkałej ostatnio w Warszawie przy ul. Opaczewskiej 40/40a m. 15, zm. 18 grudnia 2020 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 48/23 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po: Tadeuszu Gajcy, zm. 10 stycznia 1976 r., Zofii Gajcy z d. Wierzbickiej, zm. 14 marca 2021 r. – ostatnio stale zamieszkałych w Makówcu Dużym, gmina Dobre, oraz po Stanisławie Gajcy, zm. 12 sierpnia 2022 r., ostatnio zamieszkałym w Drożdżówce, gmina Siennica.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 189/23 toczy się postępowanie z wniosku Stefanii Sysy o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Stasińskiej, c. Stanisława i Stefanii, ur. 28 kwietnia 1907 r. w Chodlu i zm. 5 sierpnia 1992 r. w Bełżycach, ostatnio stale zamieszkałej w Chodlu, po której pozostał majątek spadkowy w postaci udziału w nieruchomości położonej w Chodlu, stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 664, dla której prowadzona jest księga wieczysta kw LU1O/00025948/2.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy Stanisławy Stasińskiej w ciągu 3 miesięcy od dnia wskazanego w ogłoszeniu zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ELIZA

Kącka:
Przebłaganie idzie

STAW PÓŹNOWIECZORNY MOKOTOWSKI. JA z notesem przed ścianą trzcin. a tu szloch zza ocienionej kępy mocny, wyraźny. idę tam. dziewczyna, młodsza ode mnie o pół życia, zanosi się od płaczu. pytam, co tam. „spoko, nikt mnie nie napadł". „to dobrze". nie chce rozmawiać, więc wracam na swoją ławkę. za czas jakiś przychodzi. „pani się ogólnie orientuje w lekturach?". ja, że nieco. „pracuję tu na kasie". wskazuje na dzielnię, okolice biedronki osiedlowej. „czy pani tak kiedyś miała, że chce pani być kimś innym?". „ależ jasne". ta na granicy wybuchu: „bo ja chcę codziennie". „w sensie?". „nie wiem, biorę książki z domu i czytam trochę w przerwach. teraz »Lato leśnych ludzi«, było takie coś". „Rodziewiczówna". śmieje się: „haha, porąbane, nie? czytać na kasie w biedrze". „a gdzie tam". „mój facet mi powiedział, że jestem przeterminowana. ale ja sobie muszę. że jestem Panterą. może ja jestem psychiczna, ale mnie to ratuje". „przed...?". milczy. „nie wiem". po chwili: „przed taką klęską, wie pani, że już nie ma dla mnie bajki". uśmiecham się: „ciągle nas zapraszają do jakiejś bajki". zasępia się: „nie. to nie tak. ja nie umiem tak brać seriali. seriale na mnie nie czekają. a te stare książki tak". znów płacze: „dla nich nie jestem głupkiem. dla was tak, dla nich nie". zrywa się, przypala papierosa, odchodzi.

a też i takie wiadomości się dostaje: „Czy tanie pochlepstwa są aż tak ważne, że rezygnuje się z duszy? Niech Pani sobie postawi to pytanie. Obserwuję Panią od dłuższego czasu. Posiadam rozpoznania na ten temat, ale też pytania do Pani. Czy warto było pospolitować się z pospólstwem? Tracić wartości na targowisku próżnicy literackiej? Mogła Pani pozostać pracownikiem uniwersyteckim i zmyć z siebie infamię zajęcia się lewackim Brzozowskim. Ale już za późno, rozmieniła się Pani. Pozostaje Pani kulturalna prostytucja literacka, a były szanse. Nie ocaliła Pani duszy, straciła subtelność. Widać to nawet z twarzy. Nie będzie już Pani w stanie do tego potencjału sięgnąć. Zostanie wysługiwanie się paradzie kłamstw. Szkoda".

autobus 503, objazd, stoimy na Świętokrzyskiej. wyciągam notes. dwie kiele siedemdziesiątki: „znów demonstracja". „pani nie narzeka, nasi ludzie tym razem". „nasi?". „tam teraz przebłaganie idzie". „a za co?". „a za te krzyki wczorajsze pod Kopernikiem". „aaa, to co innego". włącza się równolatka z siedzeń sąsiednich: „panie rozumiejące, to ja powiem, że tam byłam". „o, i jak, i jak?". „Boże, bardzo mądra przemowa, taka wzywająca do nawrócenia kobiet. straż przed kościołem, chorągwie. popłakałam się na widok szlachciców". „prawdziwych?!". „tak. czapki z futrem, pasy". „opanie, jak nam teraz szlachty brakuje". „pani droga, wszystko zaczęło się bez nich psuć". „ja z księdzem od tej demonstracji rozmawiałam. ma intronizatorów i innych trzeźwych, dobrych ludzi. on mi powiedział, że trzeba ten teren oczyścić modlitwą". „odczynić". „odczynić". „ale że zawsze lezą przed kościół! tak diabłu przeszkadza!". „a nie widzi pani, że to opętanie zbiorowe?". „ale co tak ciągle w Warszawie?". „ksiądz mi powiedział, że tu są prawdziwe czarownice. i szabat w stolicy". „matkojedyna". „szatan wybrał Warszawę, ale zostanie wyparty".

Z poczty od koleżanki-nauczycielki biologii w szkole podstawowej. odpowiedź na pytanie, jak rozmnażają się ssaki (spisane ze zdjęcia): „Myślę że to następuje podobnie jak u ludzi, tylko szypciej. Napewno pewne organy muszą się zetknąć czego nie ma u roślin. Jest to skutek płci. Ssaki jako piersze dzielą się na płci i dlatego nie mogą rozmnażać się w powietrzu ani same. Nie umiem szczegułów". To samo dziecko o zachowaniach społecznych ssaków: „Ssaki nie mówią ale to nie znaczy, że nie mają zachowań. Spisałem notatkę, że »pies kryje sukę«. Także człowiek kryje człowieka, kiedy mu coś zagraża. To mnie pociesza jako dowód pomocy w świecie zwierząt".

autobus 131. trzydziestolatka w komórkę: „ja biorę znowu wolne". pauza. „każdy ogólnie bierze przed urlopem". pauza. „wrzuć luz, musiałby wszystkich zwolnić. sam w Dubaju siedzi". pauza. „ja nie mam stresu, że nie umiem. ludzie teraz ogólnie mają na to wyjechane". pauza. „Bartosz? uważa, że mogę trzymać tę pracę. dużo zostaje na chatę z cateringu". pauza. „pierogi nam ogólnie pomogły w związku". pauza. „serio, bez nich to by do matki odszedł". śmiech. „słuchaj, Gosik, teraz wszyscy ogólnie cenią wolne". pauza. „ja to mogłabym zrobić jeszcze papier. może psychologiczny. Bartosz mówi, że jestem dobra w psychikę". pauza. „coś z terapią bym mogła. myślę, że to banał ogólnie. ale najpierw reset, szanujmy się, pliz".

i kiedy dorwie człowieka bot reklamowy: „Użytkowniku Elizo Kącko, czy masz kłopot z przepływem czasu? Czy myślisz, że uroda przebrzmiała już i wygląd nie wraca? Czy mierzysz się z wagą lub objawami postarzenia twarzy albo też reszty? Czy unikasz się w lustrze? Czy sięgasz po różne środki, na które wydałaś majątek? A może masz psychiczny lęk odnośnie wizerunku urody? Możemy rozwiązać Ci problem. Postaramy się zadziałać kompleksowo. Odpowiedz nasz krótki test szczerze i daj nam sobie pomóc, Elizo Kącko. Dobierzemy produkt spersonalizowany, dedykowany Twojemu problemowi". ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

HISTORIA

GDY RATUJE MORDERCA

To opowieść, jak 85 lat temu Rafael Leónidas Trujillo – człowiek odpowiedzialny za śmierć tysięcy Haitańczyków i wielu opozycjonistów z Dominikany – okazał się wybawcą dla kilkuset Żydów.

ALEKSANDER R. MICHALAK

Wśród miejsc, gdzie uchodzącym przed niemieckim nazizmem Żydom udało się znaleźć schronienie, jest kilka mało znanych. O ocaleniu uchodźców w chińskim Szanghaju pisałem na łamach „Tygodnika" (powszech.net/szanghaj). Jeszcze mniej znana jest historia tych, którzy trafili na wyspę na Morzu Karaibskim – do Republiki Dominikańskiej.

Jedynie sympatia

Zacznijmy od lipca 1938 r. Wówczas to, w odpowiedzi na prześladowania, jakie spotykały Żydów w Niemczech i świeżo anektowanej Austrii, z inicjatywy prezydenta USA Franklina D. Roosevelta zwołano konferencję we francuskiej miejscowości Évian-les-Bains. Miała otworzyć nowe drogi emigracji dla Żydów niemieckich i austriackich.

Wzięli w niej udział przedstawiciele 32 krajów, którzy wyrazili sympatię dla losu prześladowanych, jednocześnie przedstawiając powody, dla których ich państwa nie mogą przyjąć bardziej znaczącej grupy żydowskich emigrantów. Australia zadeklarowała nawet, że ponieważ nie boryka się dotąd z rasowymi problemami, to nie chce przenosić ich na swój grunt. Także USA nie zdecydowały się na rozluźnienie polityki wobec uchodźców.

Istotna była tu także postawa Wielkiej Brytanii, która od czasu I wojny światowej zarządzała Palestyną – oczywistym celem emigracji dla żydowskich syjonistów. Londyn był jednak zainteresowany, by zmniejszać, a nie zwiększać żydowskie kwoty emigracyjne. Wynikało to z coraz bardziej radykalnej arabskiej reakcji na żydowskie osadnictwo.

Roosevelt był rozczarowany zwłaszcza brakiem zainteresowania emigracją żydowską ze strony Ameryki Łacińskiej. Głosy sympatii dla losu Żydów płynące także z tego regionu nie zostały poparte chęcią przyjęcia samych uchodźców.

Rzeź Pietruszkowa

Wśród tych 32 państw był jednak wyjątek: Rafael Leónidas Trujillo Molina, dyktator Dominikany, wyraził gotowość do wpuszczenia do swego państwa ogromnej – jak na ten kraj – liczby 100 tys. żydowskich emigrantów. Brat dyktatora Virgilio Trujillo Molina, który reprezentował Dominikanę, określił inicjatywę Roosevelta jako pomysł, który zasługuje na życzliwe przyjęcie przez wszystkie „myślące i czujące" narody świata.

Decyzja Trujillo – dyktatora pielęgnującego swój kult jednostki, opisanego później sugestywnie w powieści Mario Vargasa Llosy – mogła wydać się zaskakująca. Nie cieszył się on opinią humanitarnego przywódcy. W 1937 r. nakazał swojej armii zabijać Haitańczyków. Masakrę tę nazwano później Rzezią Pietruszkową (hiszp. *La Masacre del Perejil*); nazwa miała pochodzić od słowa pietruszka (*perejil*), które żołnierze kazali wypowiadać, by sprawdzić pochodzenie podejrzanych. Posługujący się językiem kreolskim, bazu-

ARCHIVE OF THE JEWISH COMMUNITY AND MUSEUM OF SOSUA x2

Jeden z ocalonych Żydów Felix Koch (po lewej) i jego pracownicy przygotowują się do wiercenia w lasach w pobliżu Sosúa. Dominikana, 1945 r.

jącym na francuskim, Haitańczycy inaczej wymawiali hiszpańską literę „r". Nie ma pewności, czy istotnie stosowano podobne testy, ale ofiary liczono w tysiącach. Zginęło wtedy według różnych szacunków od ośmiu do trzydziestu tysięcy ludzi.

Ofiarami tej czystki etnicznej padli zresztą nie tylko Haitańczycy, ale też ludność afro-dominikańska, której przodkowie pochodzili z Haiti. Ze względu na reakcję międzynarodową, Trujillo wycofał się z kandydowania w wyborach prezydenckich w 1938 r., w praktyce jednak zachował pełnię władzy.

„Indios" kontra „czarni"

Jako motywację jego gestu wobec Żydów najczęściej podaje się właśnie to, że zniesławiony Trujillo był zainteresowany poprawą wizerunku, zwłaszcza wobec USA. Konferencja w Évian była ku temu okazją.

Paradoksalnie, jednym z motywów dyktatora był jednak także rasizm, od którego nie były wolne elity dominikańskie i sam Trujillo. W kraju dominowała ludność pochodzenia mieszanego, ↦

↦ europejsko-indiańsko-afrykańskiego, którą określano mianem metysów (hiszp. *mestizos*). W ich dowodach tożsamości wpisano *Indios*, starając się uniknąć aluzji do ich afrykańskiego pochodzenia, które łączyło ich z Haitańczykami.

Ci ostatni, poza swoim krajem, zasiedlali też dominikańskie terytoria pograniczne, zwykle pracując tam przy uprawie trzciny cukrowej. Z racji na utrudniony kontakt tych terenów z dominikańskimi centrami, region ten zmierzał w stronę „haityzacji". Z wypowiedzi i dokumentów wydawanych przez dominikańskie instytucje widać, że obawiano się „degeneracji rasowej" Dominikany za przyczyną „czarnych" haitańskich emigrantów. Sugerowano, że Haitańczyków należy wywieźć do Gujany Francuskiej czy Afryki – pomysły w pewnym stopniu podobne wobec przedwojennych idei rozwiązania „kwestii żydowskiej".

Kulturę haitańską postrzegano bowiem jako zaprzeczenie wartości kultywowanych w Dominikanie. Jej mieszkańcy mieli być biali, „hiszpańscy" i katoliccy, a Haitańczycy czarni, pochodzić od niewolników, wyznawać voodoo i oddawać się kazirodczym praktykom. Ta „inność" Hatitańczyków stała się istotna dla tworzenia tożsamości Dominikańczyków.

Trujillo wzmocnił i wykorzystał te antagonizmy dla swych korzyści politycznych, co zaowocowało także wspomnianą Rzezią Pietruszkową.

„Pożądane elementy rasowe"

Negrofobia panująca w społeczeństwie Dominikany przysłużyła się sprawie żydowskich uchodźców, gdyż Żydzi postrzegani byli przede wszystkim jako biali Europejczycy. Trujillo, który nie chciał u siebie w państwie ciemnoskórych, nie miał nic przeciw „wybieleniu" dominikańskiej populacji za pomocą środkowoeuropejskich Żydów.

Gorzką ironią było, że przemawiając podczas uroczystości podpisania aktu przekazania ziemi żydowskiej agencji osadniczej, dyktator wspomniał, iż osadnictwo będzie korzystne i dla kultywacji ziemi, i dla rozwiązania problemu etnicznego, gdyż imigranci niosą ze sobą pożądane elementy rasowe.

Uciekający przed niemieckim rasizmem Żydzi mieli więc zawdzięczać swoje ocalenie dominikańskiemu rasiście, który na ich szczęście inaczej niż Hitler definiował „problem rasowy". Trujillo, który wspierał Kościół katolicki (z wzajemnością) i wrogo odnosił się do łączonych z Haitańczykami kultów voodoo, nie miał też zastrzeżeń wobec judaizmu.

Inicjatywa Trujillo nie we wszystkich kręgach żydowskich wzbudziła entuzjazm. Syjoniści jak zwykle byli niechętni wszelkiemu osadnictwu poza Palestyną. Inni sądzili, że sprawa może skończyć się podobnym fiaskiem, jak utworzenie w 1934 r. Żydowskiego Obwodu Autonomicznego w Związku Sowieckim (władze komunistyczne chciały tak przeciwdziałać ruchowi syjonistycznemu).

Z widokiem na Statuę

W sierpniu 1939 r. Trujillo ogłosił, że jest gotów przyjąć pierwszych 500 osadników, ale żydowscy uchodźcy przybyli do stołecznego Ciudad Trujillo dopiero wiosną 1940 r.

Niektóre z grup żydowskich trafiały na Dominikanę przez USA. Felix Bauer, który był w takiej grupie, wspominał szok, jakiego doznał, gdy on – traktowany wcześniej jako podczłowiek – na statku był grzecznie obsługiwany przez kelnerów w białych rękawiczkach.

Późniejsze wspomnienia z jego podróży nie są jednak już tak pozytywne. Docierając bowiem do USA, uchodźcy z ekscytacją podziwiali ze statku Statuę Wolności, aby ku swemu rozgoryczeniu dowiedzieć się, że nie zostaną wpuszczeni na stały ląd i pozostaną jedynie przez chwilę na słynnej Ellis Island. Stąd przez Puerto Rico dotarli na Dominikanę.

Pierwszą społeczność imigrantów utworzono w dystrykcie Sosúa w regionie Puerto Plata, na dawnej plantacji bananów United Fruit Company, która liczyła 26 tys. akrów ziemi. Teren kupił wcześniej od kompanii sam dyktator, po czym podarował go Dominikańskiemu Stowarzyszeniu Osiedleńczemu (Dominican Republic Settlement Association; DORSA).

Stowarzyszenie pozytywnie oceniło ofiarowane miejsce. Z bogatą roślinnością, imponującą plażą i urokliwą Zatoką Sosúa, czarowało tropikalnym pięknem, a w powietrzu unosił się zapach palonej kawy. W okolicy rosły banany, mango, papaje, awokado i cytrusy. Dla dzieci uchodźców był to raj.

„Tu nikt na mnie nie pluł"

Ci, którzy tu osiedli, musieli ciężko pracować. Bywalcy wiedeńskich i berlińskich kawiarń zaczęli uprawiać ziemię, karczować tropikalny las i zajmować się bydłem. Ale przynajmniej nie doświadczyli prześladowań.

Zamieszkali w przygotowanych przez DORSA barakach. Niektóre przeznaczono dla grup po 60 mężczyzn; inne aranżowano tak, by nadawały się dla rodzin i par. Posiłki spożywano wspólnie.

Mimo wymagającej pracy i uciążliwości związanych z byciem uchodźcą, z niektórych relacji oraz z licznych zachowanych fotografii wyłania się dość sielski obraz życia w kolonii, obejmujący nie tylko pracę, ale też edukację, rozrywki i życie religijne. W szkole dzieci obchodziły zarówno święta żydowskie, jak i dominikańskie. Społeczność była wspierana przez fundusze DORSA. Koegzystencja z dominikańskimi sąsiadami układała się z reguły więcej niż poprawnie, choć obie strony różniło niemal wszystko: język, obyczaje, nawyki żywieniowe. Na wyspie nie było jednak antysemityzmu i już samo ciepłe przywitanie przez lokalną ludność stanowiło ogromny kontrast wobec tego, jak traktowani byli w Europie. Ruth Kohn, która dotarła tu z Niemiec, wspominała: „Przybyłam do Sosúa i mogłam chodzić po ulicach, gdzie nikt na mnie nie pluł. Po raz pierwszy poczułam się jak istota ludzka".

Niektórym dawały się we znaki upały. Przed malarią chronili się, wlewając naftę do zbiorników wodnych w dżungli w trakcie wylęgu komarów.

Później, z racji na strukturę społeczności z wielką przewagą mężczyzn, część z nich znalazła sobie dominikańskie żony – co chyba było po myśli dyktatora.

Niewielu szczęściarzy

Wbrew deklaracjom Trujillo liczba uchodźców nigdy nie przekroczyła tysiąca osób – pozostając więc znacznie mniejszą niż tych, którzy koniec końców dotarli do Argentyny, Boliwii czy Brazylii. Za to liczba wiz dominikańskich wydanych Żydom wyniosła ok. 4 tys., a one też ratowały życie: ułatwiały wydostanie się z opanowanej przez Niemców Europy.

Na to, że na Dominikanę nigdy nie przybyły tysiące Żydów, złożyło się wiele przyczyn, m.in. organizacyjnych, związanych z przygotowaniem miejsca osiedle-

Żydowscy osadnicy w Sosúa dostarczają wyprodukowane w swojej kolonii mleko i banany. Dominikana, ok. 1941-46 r.

nia, z wybraniem odpowiednich osadników, z dotarciem na wyspę, z biurokracją (kwestie wiz tranzytowych i innych pozwoleń), a przede wszystkim z wybuchem II wojny światowej.

Ponadto w 1942 r. Brooking Institution z Waszyngtonu w raporcie o osadnictwie na Dominikanie ocenił możliwości absorpcyjne wyspy na 5 tys. uchodźców. Wzbudziło to oburzenie Trujillo. Jednak spór ten nie miał już znaczenia – jeszcze w październiku 1941 r. Niemcy zakazali Żydom wyjazdu ze wszystkich podporządkowanych sobie terytoriów.

Wcześniej, w maju 1940 r., Włochy odmówiły zaokrętowania żydowskim pasażerom, co uniemożliwiło jednej z grup osadniczych dotarcie na Dominikanę włoskim liniowcem „Neptunia" (miał płynąć z Genui). Nie pomogła interwencja dominikańskiego dyplomaty Telesfora R. Calderona: protestując, oświadczył, że Żydzi są niezbędni dla Dominikany. Szczęśliwie dla części z nich DORSA znalazła kosztowny transport lotniczy do Hiszpanii, potem koleją do Lizbony, skąd można już było wypłynąć do Ameryki.

Inne gorączkowe próby podejmowane przez DORSA, by sprowadzić z Europy rodziny osadników, zwykle kończyły się fiaskiem. Niewielu było takich szczęściarzy jak rodzina Arnoldi, która w październiku 1941 r. zdążyła wyjechać pociągiem z Berlina do Francji, stąd do Lizbony i dalej na Dominikanę. W Lizbonie Arnoldi wciąż bali się, że wojska niemieckie wkrótce dotrą i tutaj.

„Cześć wam, Generalissimusie!"

Do osadników w Sosúa docierały skąpe wieści z Europy. Uprawiając dominikańską ziemię, żyli w niepewności co do losu rodzin. Koniec wojny uczcili nabożeństwem dziękczynnym w swojej synagodze. Jednak na próżno oczekiwali na wieści od krewnych. Wkrótce odkryli, że ich światy, które tam zostawili, przestały istnieć. Jak wielu innych dźwigali ciężar bycia garstką uratowanych.

Tymczasem Rafael Trujillo, który nigdy nie zaprzestał zabijania oponentów, szczycił się swoim wsparciem dla Żydów. Istotnie przyczyniło się to w pewnym stopniu do poprawy jego wizerunku. Jeszcze w 1942 r. University of Pittsburgh nagrodził go tytułem doktora *honoris causa*, do czego przyczynił się związany z tą uczelnią Leon Falk, prezes DORSA.

Na początku lat 50. DORSA wystosowała list wdzięczności za pomoc okazaną emigrantom, który wręczono Trujillo podczas przyjęcia wydanego na jego cześć w klubie „Lotos" w Nowym Jorku. Wzięło w nim udział czterech wcześniejszych żydowskich uchodźców, którzy na tę okazję przylecieli z Dominikany.

Podczas uroczystości amerykański dyplomata James G. McDonald wspomniał rezultat konferencji w Évian: „Tylko jeden [kraj] złożył konkretną ofertę. To, przepraszam, że to powiem, nie był mój własny kraj. Nie była to Wielka Brytania. Nie była to Francja. To nie był żaden kraj europejski. To był mały kraj naszego przyjaciela, Generalissimusa. Zaproponował azyl. Jego kraj otworzył swoje wrota. Szalała wojna. Niewielu było w stanie uciec Hitlerowi. Ale gdyby w moim kraju i większych krajach świata panował duch porównywalny z tym, który okazał Generalissimus, setki tysięcy – może miliony – użytecznych istnień mogły zostać uratowane. Istnień takich jak te, tych czterech osadników, którzy są tu dzisiaj, aby oddać wam cześć, Generalissimusie".

Rafael Trujillo zginął w zamachu w 1961 r.

„Dzielimy triumf Dobroczyńcy"

Historia ta pokazuje, że czasem „rozpoznawanie drzewa po owocach" bywa złożoną kwestią: człowiek odpowiedzialny za śmierć tysięcy Haitańczyków i wielu dominikańskich opozycjonistów, dla kilkuset Żydów okazał się – za sprawą swych kalkulacji – wybawcą.

Jeden z ocalonych, Felix Koch, opisał to tak: „Felix Koch mógł być popiołami, a teraz w wieku 83 lat rozciąga się powoli w Tai Chi w ogrodzie Bed in Breakfast w Sosúa w Republice Dominikańskiej pomiędzy kwitnącą bugenwillą a drzewem pomarańczowym (...) Mógł być popiołami, gdyby Trujillo z Republiki Dominikany nie rzucił zaklęcia wspaniałomyślności pomiędzy 1940-1943".

Trudno się dziwić, że Żydzi z Sosúa nie protestowali przeciw rządom Trujillo, a nawet go wspierali. Doceniali bezpieczeństwo, które im oferował, włącznie z parasolem ochronnym, jakim nie cieszyli się rodowici obywatele Dominikany. Oczywiście widzieli, kim jest Trujillo i jak postępuje z opozycją. Jeden z badaczy porównał ich sytuację do gości, którzy, doświadczając kłótni gospodarzy, nie chcą się w nią mieszać. Jeden z ocalonych Luis Hess powiedział: „Byłem wdzięczny Trujillo. Jeśli morderca ocali twoje życie, to mimo wszystko musisz mu być wdzięczny".

Na jednym z zachowanych zdjęć widać paradę i maszerujących w białych strojach uchodźców żydowskich. Niosą transparent z hiszpańskim napisem: „Hemos encontrado una nueva patria. Siempre agradecidos compartimos el triunfo del Benefactor". Czyli: „Znaleźliśmy nową ojczyznę. Na zawsze wdzięczni dzielimy triumf Dobroczyńcy".

Ten termin, Dobroczyńca, był jednym z najczęściej używanych w okresie kultu Trujillo. © ALEKSANDER R. MICHALAK

Autor jest historykiem i religioznawcą, pracuje w Muzeum Stutthof w Sztutowie. Ostatnio wydał książki: „Kto przez ogień. Żydowskie świadectwa ze Stutthofu" (2022) oraz „Szatan i demony: wyobrażenia starożytnych żydów i chrześcijan" (2023). Jest także autorem powieści – thrillerów metafizycznych.

NAUKA

POWRÓT DO EDENU

Wiemy, że miejscem narodzin naszego gatunku – *Homo sapiens* – była Afryka. Ale paleoantropolodzy spierają się o to, czy chodzi o jej konkretny region, czy raczej o cały kontynent.

ŁUKASZ KWIATEK

W styczniu 1988 r. czytelników amerykańskiego „Newsweeka" mogła zaskoczyć nietypowa biblijna ilustracja na okładce. Oto Adam i Ewa, niczym z prac renesansowych artystów, ale oboje o afrykańskich rysach, stoją pod drzewem owocowym w raju, między nimi groźnie spogląda owinięty wokół pnia wąż. Umieszczony w koronie drzewa napis głosi: „W poszukiwaniu Adama i Ewy. Nauka na tropie kontrowersyjnej teorii o pochodzeniu człowieka".

Już w pierwszym akapicie okładkowy tekst wyjaśniał, że imiona Adam i Ewa zostały użyte dość niefortunnie, bo nie chodzi tu o żadną pierwszą parę ludzi – jedyną, która miałaby żyć wówczas na Ziemi. A w całej historii nie pojawiał się też żaden zakazany owoc ani wąż. Jednak autorom opisanego w tygodniku badania trudno się było powstrzymać przed biblijnym nawiązaniem.

Rok wcześniej w „Nature" trójka genetyków – Rebecca Cann, Mark Stoneking i Allan Wilson – dowodziła, że wszyscy współcześnie żyjący ludzie ok. 200 tys. lat temu (jakieś 10 tys. pokoleń wstecz) mieli wspólną pra(pra...)babkę żyjącą w Afryce. Cann w innym miejscu nazwała tę kobietę „mitochondrialną Ewą", czyniąc aluzję do metody jej odkrycia. Owa Ewa bowiem – jak napisze kilka lat później kolejny autor „Newsweeka" – „zrodziła się nie z żebra Adama, ale z małżeństwa krzemu [czyli technologii komputerowej – red.] i DNA". Odkrycie jej było pierwszym tak silnym argumentem za tym, że to właśnie Afrykę należy uważać za miejsce powstania naszego gatunku. I dlatego wywołało wielkie zamieszanie.

Fałszywa historia rasy

Nie wszyscy chcieli wierzyć w istnienie naszej afrykańskiej pramatki. Cann przyznała w jednym z wywiadów, że po tym, jak o jej badaniach zrobiło się głośno, zaczęła dostawać pełne nienawiści listy, a jej telefon rozdzwaniał się w środku nocy. FBI sprawdzało nawet, czy któryś z tych listów nie został nadany przez terroryzującego wówczas USA Unabombera. Możemy się domyślać, dlaczego część amerykańskiego społeczeństwa nie chciała zaakceptować afrykańskich korzeni współczesnego człowieka, jednak wnioski płynące z badań Cann i współpracowników początkowo odrzucali także ich koledzy po fachu. Kilka lat później inny autor „Newsweeka" napisze z przekonaniem o „kolejnym upadku Ewy".

Opowieść o Ewie zraziła część naukowców, ponieważ w latach 80. dominowała inna wizja naszego pochodzenia. Dzięki wykopaliskom paleoantropologów było wiadomo, że ponad milion lat temu zarówno Afryka, jak i Eurazja zamieszkane były przez podobnie wyglądających ludzi, klasyfikowanych jako *H. erectus*. Uważano, że każda z tych populacji ewoluowała w kierunku *H. sapiens*, co przede wszystkim polegało na zwiększaniu rozmiarów mózgu i zmianie kształtu czaszki. Jednocześnie między mieszkańcami różnych kontynentów miały zacząć narastać różnice rasowe. Współcześni Europejczycy mieliby więc różnić się od Azjatów, rdzennych Australijczyków czy Afrykanów, ponieważ przez dobry milion lat te wszystkie grupy były od siebie odseparowane i przystosowały się do innych warunków środowiska.

Koncepcję tę, nazwaną hipotezą multiregionalną, rozwinęła trójka badaczy: Milford Wolpoff, Wu Xin Zhi i Alan Thorne. Próbowali oni znaleźć jej potwierdzenie w czaszkach archaicznych ludzi z różnych kontynentów, u których dopatrywali się zaczątków cech typowych dla tradycyjnie wydzielanych ras. A jeden z popularnych wariantów tej hipotezy zakładał, że pomiędzy populacjami archaicznymi, należącymi do *H. erectus*, a ludźmi współczesnymi (*H. sapiens*) występowała „faza przejściowa" w postaci neandertalczyków.

Wszystkie dzieci Ewy

Pojawienie się mitochondrialnej Ewy było sygnałem, którego na gruncie hipotezy multiregionalnej nie dało się wyjaśnić – jej zwolennikom pozostawało tylko zdyskredytowanie tych badań. Jeszcze w latach 80. powstała konkurencyjna koncepcja – nazywana dziś „modelem wyjścia z Afryki" lub „pożegnania z Afryką"; pojawiały się też biblijne metafory „wyjścia z Edenu" czy „modelu arki Noego". Według tego scenariusza nasz gatunek nie wyewoluował z kilku rozrzuconych po kilku kontynentach populacji, tylko narodził się stosunkowo niedawno w Afryce, a w ciągu ostatnich 200 tys. lat rozszedł po całym świecie (przez Eurazję, gdzie zastąpił dotychczasowych ↦

Mitochondrialna Ewa, ilustracja brytyjskiego grafika Sama Falconera, 2018 r.

SAM FALCONER / EAST NEWS

↦ mieszkańców – *H. erectus*, neandertalczyków i kto wie kogo jeszcze).

Badania Rebekki Cann i współpracowników miały właśnie na to wskazywać. Były to analizy materiału genetycznego znajdującego się w mitochondriach. Mitochondria są strukturami służącymi do przetwarzania energii – w każdej komórce ciała możemy mieć ich setki lub tysiące. Niczym maleńkie organizmy posiadają własne, koliste cząsteczki DNA (tzw. mtDNA). Ludzie dziedziczą je po matce – wiele ich kopii znajduje się w komórce jajowej, do której wnika plemnik. Pojedyncze ojcowskie mitochondria mogą trafić do zarodka z plemnikiem, ale niemal zawsze zginą w morzu tych przekazanych przez matkę. Nie dochodzi też do żadnego przemieszania się mitochondrialnych genów od obojga rodziców, tak jak to się dzieje w przypadku DNA z jądra komórkowego, decydującego o cechach całego organizmu. Ale czasem przy kopiowaniu mtDNA zdarzają się drobne błędy – mutacje. Oznacza to, że każdy z nas ma mtDNA niemal identyczne jak nasze matki. Jeśli kobieta urodzi córkę, to jej mtDNA w niemal identycznej postaci będzie mogło trafić także do wnuków. Jeśli jednak doczeka się wyłącznie synów, to ta konkretna linia mtDNA wygaśnie.

Rebecca Cann i współpracownicy poszli tropem mutacji mtDNA w próbkach pobranych od ok. 150 osób z całego świata. Znali w przybliżeniu tempo zachodzenia mutacji mtDNA, które dla ludzi jest względnie stałe, więc gdy porównali różnice w mitochondrialnych genach sporej grupy ludzi, dzięki zastosowaniu narzędzi statystycznych udało im się oszacować, kiedy ten materiał genetyczny był dla przodków wszystkich badanych identyczny. W ten sposób doszli do mitochondrialnej Ewy, żyjącej ok. 200 tys. lat temu w Afryce. Wskazanie na ten kontynent było kontrowersyjne, bo przecież miejsca narodzin nie mamy zapisanego nigdzie w genach. Autorzy pracy argumentowali, że domniemane „geny Ewy" są najbardziej zbliżone do mtDNA współczesnych Afrykanów.

To genetyczne śledztwo nie sugerowało oczywiście, że przed 200 tys. lat istniała tylko jedna rozmnażająca się kobieta należąca do naszego gatunku. Mogło być ich kilka-kilkanaście tysięcy, tyle że wywodzące się od nich linie mtDNA z czasem wygasły. Nie jest to przesadnie dziwne – przypomnijmy, że wystarczy, by kobieta miała wyłącznie synów, a jej mtDNA wypadnie z puli genowej.

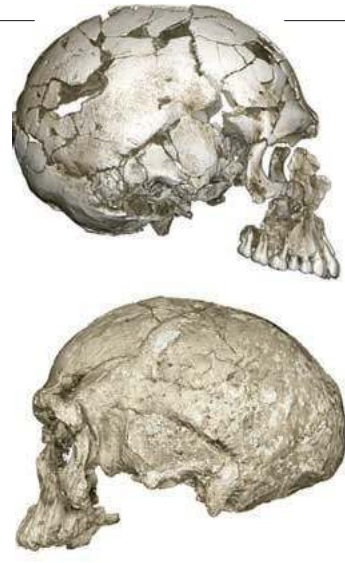

TRENDS IN ECOLOGY & EVOLUTION

EWOLUCJA WCZESNEGO H. SAPIENS: 300 tys. lat temu czaszka miała kształt podłużny (od dołu: skamieniałości z północnej Afryki), 100 tys. lat temu – zaokrąglony (od góry: skamieniałości z Bliskiego Wschodu).

Natura migranta

Wkrótce w literaturze naukowej pojawił się także „Y-chromosomalny Adam". Badania genetyczne prowadzone na chromosomach płciowych Y, dziedziczonych wyłącznie w linii męskiej (analogicznie jak mtDNA dziedziczone jest po matce), także sugerowały zbieganie się męskich linii genetycznych do jednego „praojca", żyjącego ok. 100 tys. lat temu, najprawdopodobniej w Afryce.

Domniemane daty występowania „Y-chromosomalnego Adama" i „mitochondrialnej Ewy" nieco się więc rozjechały, ale dla rekonstrukcji naszej przeszłości nie miało to znaczenia. Kluczowe było to, że według genetyki nasze korzenie wyrastają z jednej, afrykańskiej populacji, a nie z kilku rozsianych po całym świecie.

Do upadku hipotezy multiregionalnej przyczyniło się także opracowanie nowych metod datowania, które dowodziły, że niektóre szczątki zaliczane do naszego gatunku, znalezione na Bliskim Wschodzie, są starsze od szczątków neandertalczyków z tego samego regionu. To wykluczało, że *H. sapiens* w swojej historii ewolucyjnej przeszedł przez „stadium neandertalczyka", zanim wykształcił swoje wyjątkowe cechy. Neandertalczycy muszą być naszymi kuzynami, a nie bezpośrednimi przodkami.

Dziś hipoteza multiregionalna jest wyłącznie historyczną ciekawostką, a model wyjścia z Afryki został świetnie udokumentowany. Możemy też bardziej precyzyjnie datować migracje *H. sapiens* do Eurazji. Było ich więcej niż jedna – najwcześniejsza, sprzed 200 tys. lat, dotarła przynajmniej do Grecji, choć kluczowa dla naszej historii fala wyszła z Afryki między 60-80 tys. lat temu. Wszyscy współcześni ludzie, poza rdzennymi mieszkańcami Afryki, mają swoich przodków właśnie wśród tamtych migrantów.

Wiemy to dzięki badaniom DNA ekstrahowanego z ludzkich skamieniałości, które zapoczątkował ubiegłoroczny noblista, Svante Pääbo. Co ciekawe, badania te jednocześnie pogrzebały najbardziej radykalną wersję „pożegnania z Afryką". Bo dowodziły, że nasi przodkowie po migracji do Eurazji nie wyparli całkowicie jej dotychczasowych mieszkańców, jak głosiła tamta wersja, tylko się z nimi częściowo zmieszali. W naszych żyłach płynie domieszka krwi neandertalczyków.

Scenariusz migracji *H. sapiens* z Afryki potwierdzają także badania jądrowego (czyli „zwykłego") DNA, które wśród mieszkańców tego kontynentu jest najbardziej zróżnicowane (co znaczy, że ludzie z pozostałych regionów są z sobą bliżej spokrewnieni). Skoro nasi przodkowie najpierw zamieszkiwali Afrykę, to właśnie tamtejsza populacja miała najwięcej czasu, by najbardziej ubogacić swoją pulę genów dzięki występowaniu mutacji.

Poszukiwania ogrodu

Choć spór zwolenników hipotezy multiregionalnej i pożegnania z Afryką już zupełnie wygasł, paleoantropolodzy w ostatnich latach zaczęli toczyć kolejną debatę na temat naszego pochodzenia. Tym razem jej areną nie jest cały świat, tylko Afryka, a dwa główne zajmowane stanowiska mogą już się wydawać znajome.

Zwolennicy pierwszego uważają, że powinniśmy umieć wskazać konkretny region kontynentu jako naszą kolebkę – niczym biblijny ogród Eden. Ich przeciwnicy twierdzą z kolei, że żadnego takiego regionu nie ma, ponieważ nasz gatunek wyewoluował z kilku populacji zamieszkujących różne obszary Afryki, między którymi dochodziło do przepływu genów.

Kandydatów na „ogród Eden" jest kilka. Zwolennicy poszczególnych opcji najczęściej idą tropem skamieniałości.

Jeszcze w latach 60. odkryto w Etiopii tzw. człowieka z Omo (kilka fragmentów czaszek datowanych na ok. 230 tys. lat) oraz człowieka z Herto (bardziej kompletną czaszkę sprzed ok. 160 tys. lat). Te skamieniałości nie wyglądają jak kości współcześnie żyjących ludzi, ale uznaje się, że reprezentują naszą własną linię rozwojową – wczesną formę *H. sapiens*. To jeden z powodów, dla których na miejsce powstania naszego gatunku od dawna typuje się wschodnią Afrykę, a zwłaszcza Etiopię. To zresztą teren od milionów lat związany z naszą ewolucją. Znamy stamtąd także skamieniałości australopiteków (w tym słynny szkielet Lucy).

Drugi często typowany na „rajski ogród" region to południowa Afryka. W pierwszej połowie XX w. znaleziono tam m.in. tzw. czaszkę z Florisbad, obecnie datowaną na ok. 260 tys. lat. Pierwotnie na jej podstawie opisany został gatunek *Homo helmei*, dzisiaj już rzadko używany w literaturze naukowej. Czaszka z Florisbad także traktowana jest najczęściej jako okaz wczesnego *H. sapiens*.

Również do południowej Afryki zaprowadziło Evę Chan i współpracowników badanie mitochondrialnego DNA kilku afrykańskich plemion. Autorzy opublikowanej w 2019 r. w „Nature" pracy przekonywali, że zidentyfikowali region wyschniętego dziś jeziora Makgadikgadi jako miejsce narodzin naszego gatunku ok. 200 tys. lat temu. Panujące wówczas warunki klimatyczne miały sprawić, że te ówczesne mokradła otoczyła nieprzekraczalna pustynia – mamy więc element izolacji genetycznej, potrzebny do kumulacji różnic genetycznych i wyłonienia się nowego gatunku – zaś ok. 130 tys. lat temu otwarł się zielony korytarz wiodący z północy na południe, którym nasi przodkowie mogliby się rozejść po całym kontynencie.

Ten scenariusz doczekał się jednak ostrej krytyki. Zespołowi Chan zarzucano, że oparł swoje rozumowanie na arbitralnym założeniu, iż ludzie, którzy dzisiaj zamieszkują te tereny – a których mtDNA ma najbardziej przypominać mtDNA naszych przodków – przez 200 tys. lat nieprzerwanie żyli w tej samej okolicy. Wyników badań mtDNA, jak nauczyła nas już historia mitochondrialnej Ewy, nie da się łatwo przełożyć na konkretny region geograficzny. Zespół Chan może mieć rację, ale przedstawiony wynik to ciekawa poszlaka, a nie żaden dowód.

Nieco wcześniej, w 2017 r., uwaga paleoantropologów skupiła się na innym obszarze Afryki. Zespół kierowany przez Jean-Jacquesa Hublina opisał nowe skamieniałości wydobyte z jaskini Dżabal Ighud w Maroku, znanej od połowy XX w. To fragmenty czaszki, której wiek ustalono na 315 tys. lat i sklasyfikowano ją także jako wczesnego *H. sapiens*. Jeśli autorzy tego odkrycia mają rację, to są to najstarsze znane szczątki z naszej linii rozwojowej, wyprzedzające czaszkę z Florisbad czy Omo o dziesiątki tysięcy lat.

Zespół Hublina nie zasugerował jednak, że to właśnie północna Afryka jest poszukiwanym „ogrodem Eden". Zaproponował za to hipotezę „afrykańskiego multiregionalizmu" (zwaną także modelem panafrykańskim). Zgodnie z nią już 300 tys. lat temu cały kontynent musiał być zasiedlony przez kilka populacji, z których każda wniosła jakiś wkład genetyczny do powstania nowoczesnego *H. sapiens*.

Co mówią kości

Dziś nikt nie wie, jak rozstrzygnąć spór pomiędzy zwolennikami scenariuszy obejmujących całą Afrykę lub jej poszczególne regiony. Nie brak oczywiście koncepcji, które próbują obie te wersje łączyć. Akcentują to, że istniało kilka populacji źródłowych *H. sapiens* – w Afryce północnej, wschodniej i w południowej – które się krzyżowały, ale jedna z nich miała dominujący wkład w naszą ewolucyjną historię. Która to była? Tu wracamy do punktu wyjścia.

Niewiele pomagają analizy anatomiczne i archeologiczne. Wspomniane skamieniałości z północnej, południowej i wschodniej Afryki, pochodzące sprzed 200-300 tys. lat, nieco się od siebie różnią – a badacze nie są zgodni, które cechy mogą sygnalizować pierwsze etapy ewolucji w kierunku współczesnej anatomii. Nie widać na nich jeszcze podbródka, będącego jednym z naszych znaków rozpoznawczych (w większości przypadków nie zachowała się żuchwa). Czaszki te mają wciąż bardziej podłużny niż zaokrąglony kształt, jaki podziwiać możemy u siebie. Żaden z tych trzech regionów nie wyróżnia się także pod kątem wytworów kulturowych – znajdujemy tam podobnie zaawansowaną broń i narzędzia. A świadectwa bardziej złożonych zachowań są sporo młodsze.

Za najstarszą jak dotąd odnalezioną biżuterię uznaje się naszyjnik z muszelek znaleziony w Maroku w warstwie archeologicznej datowanej na ok. 140 tys. lat. Najstarsze znane celowe pochówki *H. sapiens* mają ok. 100 tys. lat – mowa o grobach wykopanych na Bliskim Wschodzie, te z Afryki są jeszcze młodsze (pochodzą sprzed niespełna 80 tys. lat). Przejawy sztuki figuratywnej, czyli przedstawiającej jakieś postacie, to już ledwie ostatnie 40-50 tys. lat.

Nie znaczy to jednak, że nasi afrykańscy przodkowie sprzed 200-300 tys. lat wiedli prymitywne życie – bardzo prawdopodobne, że wciąż za mało odkryliśmy, by stworzyć sobie ich kompletny obraz. Z pewnością nie byli jedynymi mieszkańcami kontynentu. W podobnym wieku jak skamieniałości z Dżabal Ighud jest czaszka Kabwe 1 znaleziona w Zambii i klasyfikowana jako *H. rhodesiensis* (lub *H. heidelbergensis*). Populacja, którą ona reprezentuje, miała mózg podobnej wielkości jak wczesny *H. sapiens*, ale wyglądem (m.in. grube kości, wydatny łuk brwiowy) przypominała raczej *H. erectus*.

Jeszcze ciekawszym znaleziskiem są tajemniczy lokatorzy Jaskini Wschodzącej Gwiazdy w RPA, czyli odkryty w 2013 r. *H. naledi*. To również żyjący ok. 300 tys. lat temu człowiek, który pod pewnymi względami (rozmiar mózgu, budowa ramion) bardziej przypominał małpy niż nas, choć jego odkrywcy zasugerowali niedawno, że celowo grzebał zmarłych i odprawiał rytuały. Jeśli to faktycznie robił, to trudno sobie wyobrazić, by nasi przodkowie także nie byli zdolni do takich zachowań.

Brakuje nam dzisiaj odpowiedzi nie tylko na pytanie o to, czy wczesne grupy *H. sapiens* krzyżowały się między sobą, ale także o to, czy do naszej puli genowej i rozwoju kulturowego wniosły swój wkład populacje *H. rhodesiensis*, *H. naledi*, a może i współcześni im mieszkańcy Bliskiego Wschodu, z którymi nasi przodkowie mogli się zetknąć. Nie byłoby to jednak wielkim zaskoczeniem. Człowiek jest bodaj najbardziej awanturniczym zwierzęciem na Ziemi. I nasze początki mogą to odzwierciedlać.

Rajski Eden? Dziękujemy, ale to jednak nie dla nas.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

WYMAZYWANIE

Lupa dawał swojej widowni poczucie niezwykłości i osobliwości. Ale tę publiczność stanowiła głównie dobrze sytuowana wielkomiejska klasa średnia. I to ona dzisiaj najsilniej go potępia.

DARIUSZ KOSIŃSKI

Odwołanie genewskiej premiery Krystiana Lupy po oskarżeniach o przemoc to wcale nie jest prosta historia o obaleniu przemocowego władcy. Warto ją przemyśleć, by za chwilę nie okazało się, że nieświadomie poddajemy się dyktatowi czegoś o wiele bardziej opresyjnego.

Zerwanie spektaklu

Ta historia jest, spodziewanym od dawna, aktem dramatu demaskacji procesów wykorzystywania pozycji przez najwybitniejszego polskiego reżysera teatralnego (uznała go za takiego opinia środowiskowa i krytyka, ale sąd ten jest od dekad akceptowany przez publiczność). Burza wybuchła 2 czerwca, gdy dyrekcja Comédie de Genève podjęła decyzję o zakończeniu prób i odwołaniu premiery przygotowywanej przez Lupę adaptacji powieści W.G. Sebalda „Wyjechali". Jak czytamy w uzasadnieniu: „ze względu na różnice w filozofii pracy między kierownictwem artystycznym projektu z jednej strony a generalnym kierownictwem oraz zespołami stałym i tymczasowym z drugiej".

Spektakl miał mieć premierę 7 czerwca, budżet produkcji wynosił 930 tys. franków szwajcarskich, a po pokazach genewskich planowano prezentacje w Awinionie, Paryżu i Mediolanie. Zamiast kolejnego światowego sukcesu – skandal, który niemal natychmiast uruchomił cały szereg reakcji, w Polsce skierowanych wyłącznie przeciwko reżyserowi.

Przypomniano przeszłe afery z udziałem Lupy (przede wszystkim pośladkowy protest Joanny Szczepkowskiej w czasie przedstawienia „Ciało. Simone" w Teatrze Dramatycznym w Warszawie w 2010 r.), zaczęto mówić głośno o tym, o czym dotąd środowisko wolało mówić szeptem (przekraczające znacznie krajowe standardy zarobki, wysokie „bytowe" i artystyczne wymagania reżysera).

Oczywiście prawicowa propaganda natychmiast wykorzystała sytuację, nie tylko odmawiając wartości wszystkiemu, co i jak reżyser zrobił, ale też ukazując go jako bluźniercę i niszczyciela wartości (*vide* kuriozalny tekst pod znamiennym tytułem „Krystian Lupa – jakie spektakle, taki styl pracy", napisany dla „Gazety Polskiej Codziennie" przez Sylwię Krasnodębską). Rzecz jasna powrócił też wątek gejowskiego lobby.

Co gorsza, osoby sprzyjające artyście oddały mu niedźwiedzią przysługę, wysyłając na wywiad dla „Gazety Wyborczej" dziennikarkę, która już na początku padła z uwielbieniem do stóp mistrza i została w tej pozycji do końca rozmowy, nie tylko nie reagując na sprzeczności, w które się reżyser wikła, i banały, w które co chwila osuwały się jego autorefleksje, ale wręcz suflując mu takie tematy jak „geniusz we mnie". Ta parodia wywiadu naprawdę nie pomaga Lupie w wyjaśnieniu, jak ocenia nie tylko to, co się wydarzyło w Genewie, ale i swoją pozycję jako taką.

Wprost przeciwnie: otumaniony wydzielanym przez dziennikarkę kadzidlanym dymem reżyser mówi rzeczy niekiedy kompromitujące, dowodząc, że albo nie rozumie, jakimi cieszy się przywilejami, albo nie chcąc z nich zrezygnować, woli nie pytać, czyim i jakim kosztem je zdobył. Wielka szkoda, bo w tym wywiadzie Krystian Lupa wysyła sygnały, że jest w stanie krytycznie i do końca ocenić swoją szczególną sytuację zawodową.

Geniusz i bogini

Zrozumienie przypadku Lupy nie jest proste ze względu na skomplikowanie warstw sporu. Każda ze stron zdaje się uważać swoje racje za coś „normalnego" i „oczywistego", a nie za produkt specyficznych uwarunkowań kulturowych, społecznych i ekonomicznych. Widać to jasno, gdy zderzy ↦

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Krystian Lupa na tle scenografii do inscenizacji „Miasta snu" w TR Warszawa. Listopad 2012 r.

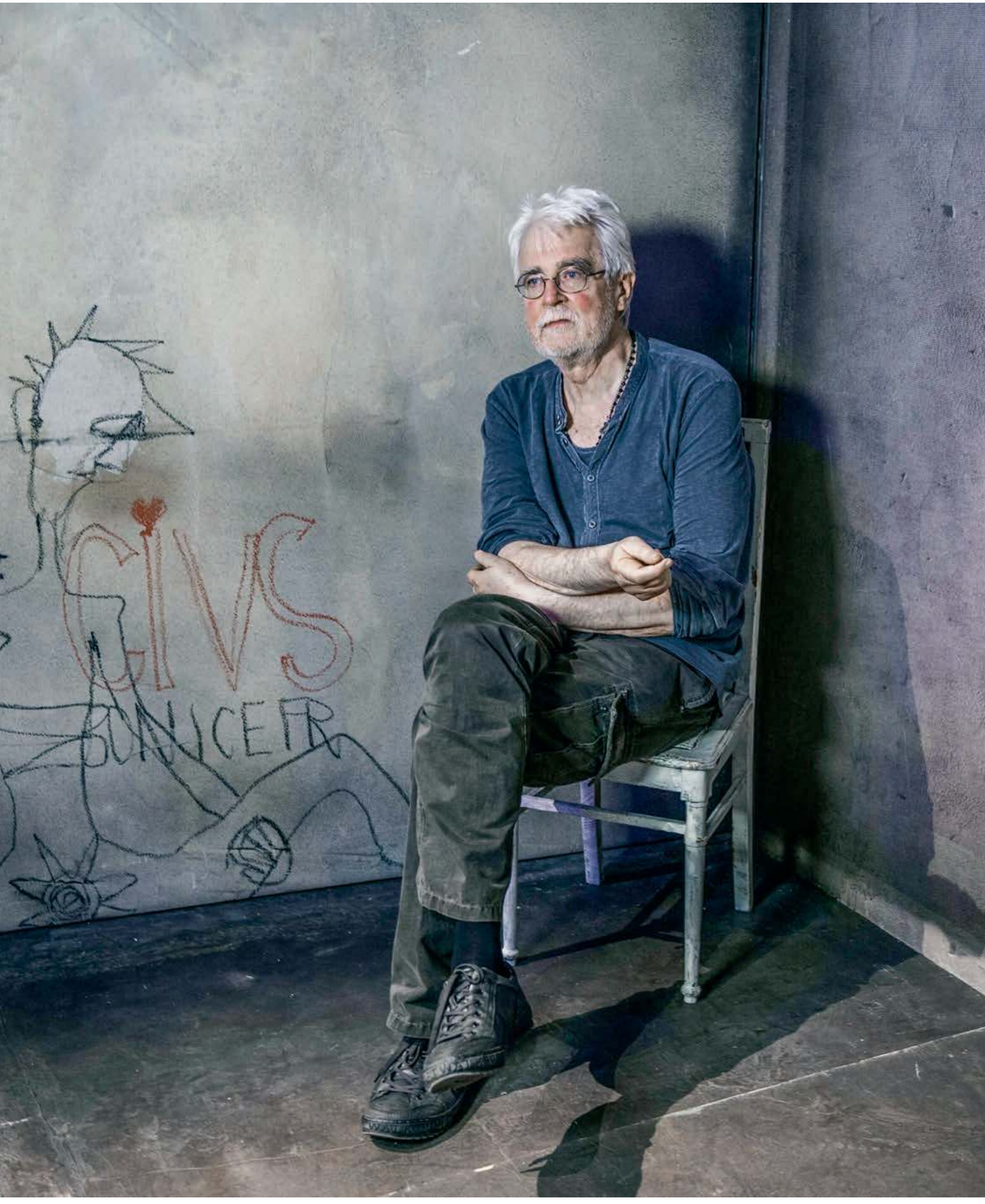
GIVS
BUNICEFR

↦ się wypowiedzi reżysera, który jako argumentu używa wręcz przyrodzonej mu potrzeby pełnego zaangażowania w proces twórczy wszystkich jego uczestników, z argumentami pracowników szwajcarskiego teatru, oczekujących konkretnych wytycznych, poszanowania przyjętych w instytucji regulaminów, harmonogramów i budżetów.

To zderzenie sam Lupa niejako inscenizuje. W wywiadzie z oburzeniem opisuje, jak szwajcarski oświetleniowiec najpierw przyjął milczeniem jego zaproszenie „do wspólnoty podróży", po czym oświadczył, że nie jest artystą, lecz „wykonawcą". Lupa pozornie to akceptuje, ale w istocie nie jest w stanie uznać, że ktoś nie ma chęci, by się zaangażować w pełni w zainicjowany przez niego proces, a jedynie czeka, by reżyser mu powiedział, kiedy klawisz na konsoli ma nacisnąć. Dla szwajcarskiego oświetleniowca i innych osób z zespołu było to zapewne jakieś dziwactwo, bo oni właśnie takich precyzyjnych wskazówek do wykonania oczekiwali (szwajcarska precyzja, czyż nie?). Kompletnie ich nie interesowały (mówione po polsku!) impresyjne monologi Lupy.

W Polsce zazwyczaj słuchano ich z uwagą, wiedząc, że z tych (pozornie odległych od tego, „co jest do zrobienia") wyznań rodzi się ostatecznie niewidoczna i niemierzalna jakość jego przedstawień. Szwajcarzy byli w pracy, którą wykonywali zgodnie z obowiązującymi ich regułami, a na całe to słowiańskie rozmemłanie (ach, jakże przypominają się różne polskie zderzenia z zachodnim ucywilizowaniem) reagowali zapewne z oburzeniem, uruchamiając natychmiast własne stereotypy kulturowe.

Oczywiście za mało wiemy, ale nie przekreślałbym i wcale nie odrzucał ze wzgardą argumentu Lupy, który twierdzi, że „jeśli zaprasza się reżysera z zagranicy, to chyba w tym celu, żebym miał szansę zrobić coś innego niż to, co się tu stale robi". Bo tu akurat ma rację! Nie jest debiutującym i nieznanym nikomu artystą, który nagle okazał się nieprzewidywalny i stawia jakieś wygórowane wymagania. Istnieje na europejskim i światowym rynku od lat, wiadomo, jak pracuje i czego oczekuje, więc trochę trudno zrozumieć genewską dyrekcję, która go zaprosiła, a potem wydaje się ciężko zszokowana „różnicami w filozofii pracy". Dyrekcja nie jest w całej sprawie tak bardzo bez winy, jak by chciała.

> Krystian Lupa, tworząc teatr o własnej sygnaturze autorskiej, nie zdecydował się nigdy na wzięcie za niego **pełnej odpowiedzialności instytucjonalnej.**

Ale niezależnie od tego, w Genewie ujawniło się coś, co jest cieniem kładącym się na pracy Lupy od jej początków. Chodzi o sprzeczność między praktyką artysty wymagającego od współpracowników pełnego twórczego zaangażowania a zasadami obowiązującymi w instytucji, która na określonych warunkach zatrudnia ludzi do pracy polegającej na wykonywaniu określonych czynności.

Krystian Lupa, tworząc teatr o własnej sygnaturze autorskiej, nie zdecydował się nigdy na wzięcie za niego pełnej odpowiedzialności instytucjonalnej (w tym także dyrektorskiej). Jak sam wręcz rozbrajająco przyznaje w wywiadzie: „zawsze się jakoś tak udawało, w każdej instytucji powstawała wyspa wolności i tworzyłem takie relacje, w których spektakle mogły powstawać". Kompletnie nie wydaje się zainteresowany, kto i jakim nakładem sił i środków sprawiał, że „tak się jakoś udawało", ani co owo „udawanie się" oznaczało dla instytucji. Nie zrozumiał widocznie, dlaczego Jan Klata jako dyrektor Starego Teatru konsekwentnie nie wyrażał zgody na podtrzymywanie istnienia „wyspy Lupy" na Scenie Kameralnej, i pewnie nie rozumie żartu, którym pewien życzliwy mu przedstawiciel środowiska skomentował jego decyzję o zerwaniu współpracy z Teatrem Polskim we Wrocławiu, mówiąc, że teraz ta scena błyskawicznie zbilansuje budżet.

Że nie rozumie, dowodzi najlepiej pełne goryczy stwierdzenie: „Może Kantor miał rację, że nie da się pracować w teatrze instytucjonalnym, bo to nie jest praca artystyczna". Czas może najwyższy pojąć, że teatry instytucjonalne, w których Lupa pracuje w Polsce i na świecie, to sceny publiczne, zobowiązane do rozliczania się ze sposobu wydawania otrzymywanych pieniędzy oraz do brania pod uwagę opinii otoczenia społecznego.

Spychanie tej – kluczowej! – odpowiedzialności na innych i rezerwowanie sobie prawa do całkowitej od niej wolności oznacza podstawowy błąd nierównego podziału odpowiedzialności. Pozostaje on błędem, nawet jeśli dyrektorzy poszczególnych scen się na to zgadzają. Oznacza też, że wraz z realną zmianą nastawienia społecznego poziom zgody na zawieszenie tej odpowiedzialności w imię realizacji wizji artysty się zmienia. Lekceważenie tej zmiany kończy się tak, jak w Genewie. Co więcej, oczekiwanie, że osoby pracujące w instytucji muszą podzielać zainteresowania, pasje i potrzeby artystyczne Lupy, jest oparte na nieporozumieniu.

Jeśli chce się mieć współpracowników zaangażowanych we wspólną pracę, jeśli się chce tego zaangażowania wymagać, trzeba podjąć – tak jak onegdaj Tadeusz Kantor – trud stworzenia, prowadzenia i utrzymania własnego zespołu. To też nie jest łatwe i ma swoje cienie, które kładą się na historii Cricot 2 (wciąż pod tym kątem do końca nieopowiedzianej), ale przynajmniej sytuacja jest jasna i żadnemu przygodnemu pracownikowi nie stawia się wymagań nieobjętych jego zakresem obowiązków.

Dyktat powrotu do normalności

Krystianowi Lupie rzeczywiście długo udawało się balansować na linii napięć między własnym plemieniem a instytucją publiczną. Fenomen jego akceptacji przez środowisko i publiczność, której serwował przedstawienia nierespektujące jej oczekiwań, to zjawisko warte uważnego przestudiowania. Najwyraźniej jednak nadszedł tej akceptacji kres.

Sprawa genewska ujawnia też bowiem pewien złożony problem, który stanowi jej warstwę głębinową. W cytowanym tu wywiadzie reżyser dotyka jej, gdy mówi o opozycji między współczesną troską o higienę w relacjach międzyludzkich a rozumieniem sztuki jako obszaru podejmowania wyzwań, „opętania artysty tym, co w świecie i człowieku go przerasta, przeraża".

To argument dobrze znany – sztuka ma polegać na przekraczaniu granic, a to wiąże się z bólem i przemocą wobec siebie i innych. Codzienna normalność świata musi zostać przewalczona, by można było odkryć inne wymiary i moż-

liwości istnienia. Jeśli sztukę podda się procedurom zapewniającym wszystkim komfort i bezpieczeństwo, to przestanie spełniać swoją podstawową funkcję.

Argument ten często jest odsuwany i lekceważony. Mówi się, że przecież nie chodzi o to, by zrezygnować z wyzwania, a tylko o to, by go nie narzucać i by wszyscy mieli świadomość, w czym biorą udział i z jakim ryzykiem to się wiąże. No i oczywiście, żeby mogli w każdej chwili zrezygnować. A przekonanie, że poznanie prawdy wymaga wysiłku, bólu i narażania się na sytuacje pod wieloma względami niekomfortowe, miałoby być pozostałością romantyzmu wyhodowanego na glebie zafascynowanego cierpieniem i ofiarą katolicyzmu (jakkolwiek dziwnie by to w przypadku Lupy brzmiało). Co, oczywiście, wymaga jak najszybszego przewalczenia.

W tej argumentacji odsłania się owa głębsza warstwa problemu: żyjemy w epoce dyktatu racjonalistycznej normalizacji, która jest prawdziwą siłą jednoczącą ponad podziałami pozornie opozycyjne środowiska. Wprawdzie „normalność" różne grupy rozumieją inaczej, ale wszyscy w zasadzie zgadzają się, że trzeba ją koniecznie „przywrócić".

Konserwatyści naśmiewają się z dyskursu troski, ale cała ich praca nie polega na niczym innym, jak tylko na schlebianiu „normalnym ludziom", wywyższaniu „normalnej rodziny" (chłopaka i dziewczyny) oraz wspieraniu „zdrowej kultury i sztuki, która pozwala bez żadnego ryzyka napawać się pięknem i prawdą". Wprawdzie lewica i liberałowie niechętnie mówią o „wartościach", ale wystawiają na piedestał racjonalnie zorganizowane życie codzienne i głoszą prymat „realnych problemów": zdrowia, edukacji, godziwej zapłaty za godną płacę, odpoczynku, ekologii oraz przyjemności bycia sobą i celebrowania różnorodności. Byle była otoczona bezpiecznym kokonem.

Być może trwający przez lata fenomen teatru Krystiana Lupy zasadzał się na tym, że jego zrywający radykalnie z dyskursem normalności teatr stanowił rodzaj fascynującego rezerwatu „dziwactwa", trwającego kilka godzin snu o odmienności? Nawet jeśli męczył, to dawał widowni potrzebne jej poczucie niezwykłości, osobliwości. Przecież publiczności krakowskich, wrocławskich i warszawskich przedstawień Lupy nie stanowiły grupy „galerników wyobraźni", ale osoby w większości reprezentujące dobrze sytuowaną nową klasę średnią. Potrzebowała ona takiej sztuki, by móc zrównoważyć i usprawiedliwić swoje zanurzenie w regułach dnia codziennego i jego „ścieżek kariery". Jeśli tak, to najwyraźniej dominujące dziś w życiu społecznym środowiska już tej potrzeby nie odczuwają.

Fenomen jego teatru zasadzał się na tym, że był dla wykształconej publiczności rezerwatem „dziwactwa", trwającym kilka godzin snem o odmienności.

Wobec agresywnej głupoty lokalnej polityki, wobec niepewności i lęków, które obudziły najpierw pandemia, a teraz wojna, zwykłość i normalność stały się wartościami tak cennymi, że przekraczanie ich horyzontu z własnej, nieprzymuszonej woli wydaje się jakimś absurdem. W tym kontekście spektakle Lupy (i nie tylko jego, bo całej grupy jego uczniów tworzących kiedyś „nowy teatr", powiązany ściśle z dynamiką przemian społecznych przełomu stuleci) stały się zbędną artystowską fanaberią. A jeśli dodać do tego elitarystyczny i wsobny dyskurs oraz związek z tematami i postawami odczuwanymi już jako anachroniczne, to nie dziwi dość powszechnie słyszana teraz satysfakcja z upadku reżysera i gotowość, by doprowadzić ten upadek do końca.

Nie odczuwam jej i nie uważam „demaskacji Krystiana Lupy" za symptom wyłącznie pozytywnych zmian, zwycięstwo nowego, zdrowego ducha. Tak, irytuje mnie naiwność reżysera, przejawy braku zdolności prawdziwie krytycznej autoanalizy, przekonanie, że świat nie ma nic lepszego do roboty niż wsłuchiwanie się w jego monologi i powinien właśnie jemu zapewniać „wolność", bezwzględnie kupowaną kosztem innych. Ale obawiam się, że to, co może być smutnym końcem jego kariery, oznacza kolejne zwycięstwo dyktatu normalności, negującego i wyciszającego pragnienie przekroczenia. Wprawdzie kiedyś jej władza też zostanie rozbita w pył przez pragnienie życia, które jest gdzie indziej, ale czy zanim to się stanie, nie zmarnujemy zbyt wiele czasu i sił na podtrzymywanie mieszczańskiej fikcji, że nie ma nic więcej niż to, co jest?

Procedury diagnostyczne

Na koniec trzeba wspomnieć i o tym: niewesoły jest los piszących o teatrze w Polsce. Jeździ się po całym kraju, by oglądać przedstawienia, i próbuje o nich pisać w nadziei przyciągnięcia uwagi publiczności. Jednak uwaga budzi się głównie wtedy, gdy wybuchnie jakiś skandal albo afera, jak ta z Lupą.

Tymczasem owe afery można uznać za dowód na to, że teatr jest przestrzenią ujawniającą społeczne napięcia, a także obszarem generowanego, a czasem wybuchającego spontanicznie procesu konfrontacji i poszukiwania sposobów radzenia sobie z konfliktami, które inne dziedziny, instytucje, a już szczególnie normy życia codziennego prześlepiają, lekceważą lub oznaczają jako patologie. Skandale teatralne stanowią w tej perspektywie rodzaj procedur diagnostycznych, opowiadanie o nich tworzy zaś coś w rodzaju kroniki zapowiedzianych konfliktów i zmian.

Dotyczy to z pewnością kolejnych eksplozji teatralnego #MeToo, ujawniających różne formy wykorzystywania hierarchii zależności do wykorzystywania (nie tylko seksualnego) osób współpracujących i podnoszenia poczucia własnej wartości przez poniżanie innych. Nie słychać, by procesy podobne dokonywały się w innych sferach życia (z wyjątkiem szkolnictwa wyższego), co może tworzyć wrażenie, że tego typu zjawiska są właściwe teatrowi.

Jest to oczywiście nieprawda (choć specyfika pracy teatralnej w bliskim i intensywnym kontakcie z innymi osobami może im sprzyjać). Prawdą jest natomiast, że to właśnie środowiska teatralne najintensywniej i na różnych poziomach nad nimi pracują, a nawet jeśli niektóre aspekty tej pracy budzą poważne wątpliwości (wystarczy przyjrzeć się głośnej kiedyś, a dziś niemal zapomnianej sprawie Pawła Passiniego, by zobaczyć, jak łatwo zniszczyć słabych, a jak bez zadraśnięć wychodzą z poważniejszych oskarżeń mocni), to i tak teatr wypracowuje rozwiązania, które kiedyś może zostaną zastosowane na szerszą skalę w innych obszarach życia społecznego.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Nakazane piosenki

ROBERT KASPRZYCKI

Blond włosy, skórzana kurtka, biała rubaszka, opaska z trójkolorową rosyjską flagą, krzyż na piersi i mikrofon w kieszeni. Plac Czerwony w tle. Tak wygląda Shaman w pieśni „My".

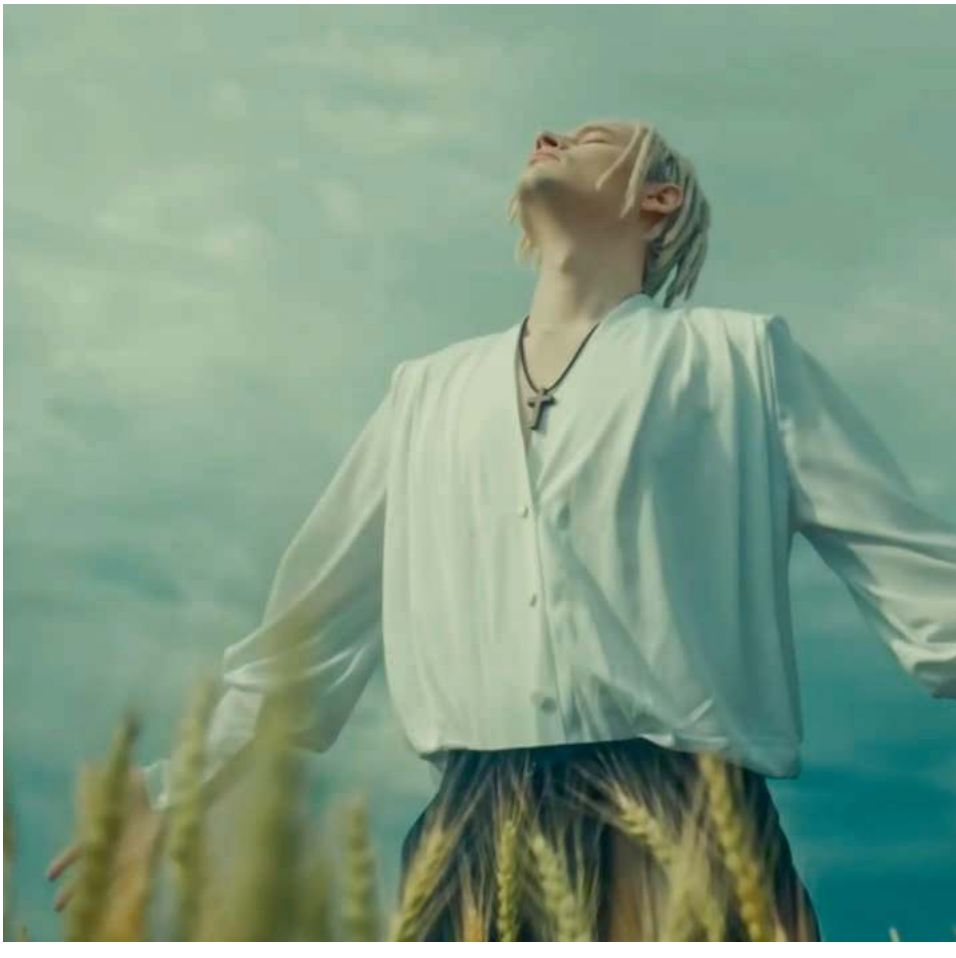

Na samym początku lat 80. ubiegłego wieku w niedzielne popołudnia emitowano w peerelowskiej telewizji serial „Decydujący front". Rozpoczynała go pieśń „*Wstawaj, strana ogromnaja / wstawaj na smiertnyj boj*", po której hollywoodzki gwiazdor, Burt Lancaster (rzecz kręcono w sowiecko-amerykańskiej kooperacji na użytek amerykańskiego widza) tłumaczył Polakom, jakie to mieli szczęście będąc wyzwolonymi przez Rosjan. Licho wie, czy to pieśń Aleksandrowa tak nas natchnęła, grunt, że w sierpniu 1980 r. stanęły kopalnie, stocznie i huty, a ruska para poszła w polski gwizdek.

Szkoda jednak nawet wyliczać dowody tworzenia światowej mody na Rosję, dla której tak wiele zrobili lewicowi filozofowie, filmowcy i pisarze, z odpowiednio spreparowanymi Dostojewskim, Czechowem, Teatrem Bolszoj, gwiazdami baletu czy piosenkami takimi jak „Nathalie" Gilberta Bécauda.

Dla wnikliwszych byli Okudżawa i Wysocki, na co dzień jednak mieliśmy oklaskiwać Chór Aleksandrowa, nie zważając na to, że w jego utworach tylko cienka warstwa pudru maskowała pychę, z którą traktowano resztę narodów słowiańskich. Tęskne piękno i śpiewność tych pieśni skutecznie maskowały zatrute jądro: jedne pełne były dumy z rozegnania atamanów, inne opiewały chwałę taczanek Budionnego, które chętnie zaturkotałyby na ulicach zachodniej Europy, w gruncie rzeczy chodziło jednak o krwawy podbój.

Karykaturalnym odbiciem tej wizji były zachodnie produkcje filmowe, w których Rosjanie grali role złoczyńców łączących przemoc i seksapil z nieprzewidywalnością. Ekran kochał Rosjan jako kogoś, kogo można demonizować, obśmiać lub nienawidzić, bez podejrzenia o rasizm czy nietolerancję. Rzadko zdarzały się wizje zniuansowane, zwykle ekran zaludniali ruscy mafiosi, niebezpieczni i groteskowi zarazem. A w tle nieustannie brzęczała bałałajka.

Po rozpoczęciu przez Władimira Putina „operacji specjalnej" szeregi artystów wspierających Rosję przerzedziły się jednak znacząco – odwołane zostały koncerty zespołów, których członkowie opowiedzieli się przeciw wojnie lub choćby nazwali „specoperację" wojną: Bi-2, Noize MC*, Monetochka*, Michaił Szats*, Manizha, Zemfira*, Egor Kreed, Morgenstern*, Andriej Makarewicz*. Wyjechali także Ałła Pugaczowa* i Maksim Gałkin*, zdawałoby się: ludzie instytucje. (Jeśli zaintrygowała Państwa gwiazdka umieszczona przy nazwiskach – oznacza ona ludzi oficjalnie uznanych za zdrajców Federacji Rosyjskiej).

Tyle że dla odmiany zajaśniała na rosyjskim firmamencie inna gwiazda, której pieśni zew dosłownie nie zna granic ni kordonów – niejaki Shaman.

Powstańmy

Skąd wziął się ten druh Putina i „głos specoperacji"? Jak każdy malowniczy bohater – z prowincji. Jarosław Jurijewicz Dronow (bo taki ma wpis w dowodzie) urodził się jesienią 1991 r. w rodzinie Ludmiły i Jurija Dronowów z miasta Nowomoskowska, w obwodzie tulskim. Matka psycholożka i logopedka, ojciec zawodowy gitarzysta – wcześnie zauważyli jego talent muzyczny. W wieku lat czterech po raz pierwszy wystąpił na scenie, później zaś startował w niezliczonych koncertach i konkursach.

Po ukończeniu klasy śpiewu ludowego zdał do Nowomoskowskiego Kolegium

SHAMAN / YOUTUBE

Shaman, kadr z klipu „Ja Russkij”

Muzycznego im. Michaiła Glinki, które ukończył z tytułem dyrygenta chóru ludowego. W 2012 r. został studentem wydziału śpiewu pop-jazzowego Rosyjskiej Akademii Muzycznej Sióstr Gnessin i przeniósł się do Moskwy. Startował w *talent shows* – takich jak „Faktor A”, gdzie w 2013 r. zdobył trzecią nagrodę i został wyróżniony przez Ałłę Pugaczową Złotą Gwiazdą, czy „Głos” rok później (odpowiednik „naszego” „Voice of Poland”). Musiało minąć niemal 10 lat – co w świecie show-biznesu jest wiecznością – aby pojawił się jako właściwy człowiek we właściwym miejscu i z właściwym repertuarem.

W 2020 r. Dronow przyjął pseudonim Shaman i wznowił karierę. Zmienił wizerunek, zajął się programem koncertowym i wydał pierwszy autorski singiel „Łuna” („Księżyc”). W podobnym stylu, który krytycy określili jako pop-electro z domieszką folku, utrzymane były kolejne piosenki – jednak nie przyniosły one większego sukcesu.

Przełom nastąpił po rozpoczęciu „operacji specjalnej”, choć Shaman swój bodaj największy przebój „Wstaniem” („Po/Wstańmy”) wydał dokładnie dzień przed 24 lutego 2022 r. Patetyczna piosenka, okraszona ekspresyjnym, oszczędnym klipem w zamyśle miała dotyczyć bohaterów wielkiej wojny ojczyźnianej: „I pamiętajmy o wszystkich, którzy zginęli w tym ogniu / Którzy szli umierać za wolność, nie za medale / Wiem, że na pewno się spotkamy / Powstańmy / I znów zaśpiewamy / Powstańmy / A nasza wieczna pamięć bije mocniej w naszych piersiach, między nami / Powstańmy / Bohaterowie Rosji pozostaną w naszych sercach / Do końca!”.

Ten sam utwór zaśpiewany dzień później kompletnie zmienił znaczenie – ale był to zaledwie kontekst, bez jasnej deklaracji odautorskiej. Na tę nadszedł czas 4 listopada 2022 r., kiedy Shaman nagrał piosenkę ponownie, tym razem wraz z grupą rosyjskich wykonawców. Towarzyszył mu zestaw propagandystów z kręgu Kremla – m.in. Nikołaj Rastorgujew z grupy Lube, Ołeg Gazmanow, Nikołaj Baskow, Grigorij Leps czy kolejny wielbiciel Putina – Stas Michajłow. W teledysku twarze wokalistów, pełne patriotycznego namaszczenia, zmiksowano ze zdjęciami z ukraińskiego frontu i kadrami z wielkiej wojny ojczyźnianej.

Shaman dołączył także do grupy wykonawców, którzy występują dla żołnierzy – na jednym z klipów zamieszczonych na YouTubie widzimy, jak śpiewa piosenkę „Ja Russkij” stojąc przed frontem piechoty. Warto wspomnieć, iż twarzą tej „akcji” jest Julia Cziczerina, poszukiwana na Ukrainie listem gończym. Ta wokalistka rockowa towarzyszy konfliktowi od początku, do Donbasu jeździła na długo przed 24 lutego, w nagrodę została kolejno „obywatelką Ługańskiej Republiki Ludowej” i „obywatelką Donieckiej Republiki Ludowej”, następnie zaś nagrodzona Orderem 100-lecia Armii Czerwonej i tytułem Zasłużonej Artystki Federacji Rosyjskiej.

23 września 2022 r. Shaman zaśpiewał na koncercie „Nie zostawiamy naszych”, poświęconym referendom w sprawie przyłączenia terytoriów Ługańskiej Republiki Ludowej, obwodu zaporoskiego i chersońskiego do Rosji. A już 30 września wraz z prezydentem Władimirem Putinem wykonał rosyjski hymn na placu Czerwonym.

Jestem Rosjaninem

O twórczości Dronowa w samych superlatywach wypowiadał się sekretarz prasowy prezydenta Rosji Dmitrij Pieskow, a według lidera frakcji Sprawiedliwa Rosja – Za Prawdę Siergieja Mironowa piosenkarzowi Dronowowi należy przyznać tytuł Honorowego Artysty Rosji.

Mniejsza już o tę honorowość – jest Dronow, jak się zdaje, artystą pod specjalną ochroną. Oto miesiąc po wydaniu teledysku do utworu „Ja Russkij” („Jestem Rosjaninem”) rosyjski komik Aleksander Gudkow nakręcił parodię z tytułem „Ja uzzkij” („Jestem wąski”). W odpowiedzi na nią Artur Szłykow, przewodniczący Rady Generalnej Komitetu Obywatelskiego Rosji, napisał do Prokuratury Generalnej donos na Gudkowa, prosząc o wszczęcie postępowania karnego na podstawie artykułu 282 Kodeksu karnego Federacji Rosyjskiej („Podżeganie do nienawiści lub wrogości, a także poniżanie godności ludzkiej”) – komikowi grozi za to grzywna w wysokości do 500 tysięcy rubli lub realna kara od dwóch do pięciu lat więzienia.

I tu pojawić się może kolejny wątek – obecną, drugą już żoną Dronowa jest Elena Martynowa, absolwentka Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego i Stanford Graduate School of Business, pełniąca od jesieni 2018 r. funkcję zastępcy dyrektora generalnego ds. komunikacji strategicznej i promocji marki MegaFon. Mówiąc w skrócie – rozrysowanie nitek zależności i kontaktów prowadzi nas od Martynowej do Aliszera Usmanowa – numeru 7 na liście najbogatszych Rosjan.

Shaman to zatem dziś całe zjawisko – z jednej strony starannie wykreowany *image* i, co ważne, autorski repertuar, z drugiej umiejętnie nakręcana machina promocji pozamuzycznej, z zagrywkami w rodzaju: podanie piosenki do sądu, publiczne wyjaśnienie złożone w prokuraturze, szum medialny wedle reguły „nieważne, jak mówią, byleby nie przekręcali pseudonimu”.

My

W wymiarze stylistycznym Shaman wykonuje rodzaj repertuaru „obrotowego”, znajdziemy tu bowiem nie tylko tęskne ↦

↦ ballady jak „Uletaj", z refrenem zaczerpniętym z opery „Kniaź Igor", patriotyczne pieśni zaśpiewane z całym dobrodziejstwem rosyjskich melizmatów i wibrato („Wstaniem"), sfilmowane w poetyce „parień z garmoszkoj" poprockowe łojenie z elementem disco („Ja Russkij"), ale także *duszoszczypatielna* „Moja Rossija", ze swojskim obrazkiem Rosji prowincjonalnej.

Shaman to także czujna obserwacja zmieniających się warunków i idąca za nią korekta wizerunku – być może noszone na początku kariery dredy dobre były na etapie wbijania się w świadomość widza, uniemożliwiały jednak wykonawcy wykorzystanie wizerunku prostego Rosjanina – w klipie do piosenki „Spowiedź" Shaman zwraca się do Boga, a co za tym idzie, oddaje mu cześć. Bohater klipu podąża przez zaśnieżone pola do drewnianego kościółka, gdzie spotyka siwowłosego księdza. Klęka przed starcem, wręczając mu nożyce, a ksiądz obcina słynne dredy, czarny sweter zaś zostaje zastąpiony białą koszulą. Te postrzyżyny, ni to słowiańskie, ni chrześcijańskie, w wymiarze symbolicznym przywracają Shamana prawosławnej ojczyźnie – na jego piersi wisi teraz krzyż.

Blond włosy, ścięte w jakimś nazi-pionierskim stylu, skórzana kurtka – ni to czekistowska, ni gestapowska – biała rubaszka, ciężkie buciory, na ramieniu opaska z trójkolorową rosyjską flagą, krzyż na piersi i mikrofon w kieszeni. I to wszystko z placem Czerwonym w tle.

Tak wygląda Shaman w pieśni „My", śpiewający, że nic nie powali Rosjan na kolana, bo z nimi jest nie tylko prawda, ale i Bóg. Tak, drodzy Państwo, to trzeba zobaczyć, i nic nie pomoże tego odzobaczyć – nawet internetowe przeróbki nakładające na piosenkę Dronowa kadry z „Kabaretu" Boba Fossa, na których aryjski chłopiec z Hitlerjugend jasnym, czystym głosem śpiewa swą piękną, więc tym bardziej zaraźliwą pieśń „Tomorrow Belongs to Me",

Dołączył do grupy wykonawców, którzy występują dla żołnierzy – na jednym z klipów zamieszczonych na YouTubie widzimy, jak śpiewa piosenkę **„Ja Russkij" stojąc przed frontem piechoty.**

czy czyjaś złośliwa wzmianka, iż premiera klipu odbyła się w dzień urodzin najbardziej znanego austriackiego akwarelisty.

Spowiedź

I tu pojawia się druga strona medalu – to, co Rosjanie robią *pro domo sua*, jest dość przewidywalne, w końcu to ich *russkij mir*, to oni toczą wojnę i każda metoda podtrzymania ducha „w narodzie" jest dobra, tym bardziej że żyjemy w dobie VPN, zapewniających anonimowy dostęp do sieci, i za korzystanie z oficjalnie zabronionych Instagrama czy Facebooka władza Putina niewiele może zrobić niesfornym obywatelom.

Ale nie o wewnętrzne igraszki z cenzurą tu chodzi. Shaman jawi się jako medialna *Wunderwaffe* – nie tylko dlatego, że już jego prawdziwe nazwisko kojarzy się bojowo. Tak oto w oczach Zachodu nawet Rosja agresorka może być *sexy* – trochę jak w powiedzonku „łobuz kocha bardziej". Rosja ma dziś androgyniczny seksapil Dronowa, ma swojego Draco Malfoya, ma przystojnego w tym charakterystycznym waregowsko-słowiańskim stylu młodzieńca o wilczym uśmiechu i drapieżnych oczach – obiekt adoracji nie do pogardzenia dla wszelkich płci i preferencji.

Na YouTubie spotkać można bowiem poza piosenkami Dronowa także dziesiątki, jeśli nie setki reakcji na puszczaną w tle piosenkę. W ogromnej większości są to wypowiedzi ludzi Zachodu – Brytyjczyków, Amerykanów, Włochów, Francuzek. I mniejsza o fakt, iż część słuchających ma w oczach łzy jak Miś Colargol (udawane czy nie, któż to wie), że chwali nam się gęsią skórką tudzież hiperwentyluje – ale część z nich próbuje coś bredzić na temat zawiłości rosyjsko-ukraińskich. Z drugiej strony czemu się dziwić, skoro w kwestii Ukrainy nawet tak, zdawałoby się, inteligentny twórca jak Roger Waters próbował jakiejś etycznej lambady – oto wesoły pożyteczny idiota nareszcie ma swój czas i medium.

W znakomitym „Wag The Dog" („Fakty i akty"), filmie Barry'ego Levinsona z 1997 r., dwóch macherów, granych przez Roberta De Niro i Dustina Hoffmana, żeby przykryć brzydkie uczynki urzędującego prezydenta, konstruuje całą medialną wojnę bez wojny, za to ze sztafażem wizualnym. Nie zaniedbują przy tym także kwestii muzycznej – oto widzimy, jak po ogrodzie o świcie przechadza się Willie Nelson, próbując złapać odpowiednią temperaturę i muzyczny wątek całości, ba, nawet pisze tradycyjną piosenkę folk, którą jakoby napisano dekady wcześniej. Bo tradycja to, proszę Państwa, wielka siła.

Księżyc

Czymś takim jest kariera Dronowa – powrotem do przeszłości, wyłuskaniem z wojny ojczyźnianej mitycznej, anteuszowej siły, która ma pociągnąć naród. Był, co prawda, w jego karierze szczególny incydent – kiedy odmówił latem 2022 r. wyjazdu do Donbasu, zaproponowanego mu przez propagandystę Władimira Kiselewa, i nagle jego piosenki zniknęły z anteny Rosyjskiego Radia, a udział w konkursie RU.TV został odwołany.

Ale, jak pamiętamy, już za chwilę Dronow wrócił, związany jak w świetnym filmie Istvána Szabó mefistofelesowską siecią powiązań i zapętleń. I dziś mamy, co mamy – kogoś, kto chyba nie zna granicy, kogoś promowanego, wylewającego się z każdego ekranu, z każdej wręcz lodówki. Kogoś, kto w Rosji śpiewa nakazane piosenki.

Przyznam, że po kilku dniach spędzonych w tym rosyjskim kosmosie turbopatriotyzmu nadal nie wiem, czy Dronow to tylko zdolny chłopak, który chciał obejść system i zbłądził, czy może po prostu jest produktem którejś z rosyjskich trójliterkowych agencji, wybranym dlatego, że świetnie śpiewa, dobrze wygląda i gra na gitarze.

A, jak wiemy, na gitarze można zagrać nawet w okopie. © ROBERT KASPRZYCKI

Podczas pisania tego tekstu korzystałem z artykułu opublikowanego przez Piotra Pogorzelskiego na belsat.eu oraz uwag Mariny Januszkiewicz.

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM
Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM
www.radiokrakow.pl

Jak z bicza strzelił

SEBASTIAN SMOLIŃSKI

80-letni Harrison Ford jako Indiana Jones jest w „Artefakcie przeznaczenia" zachwycający, przede wszystkim dzięki opanowanej do perfekcji zwyczajności. Znów bohaterem zostaje bardzo niechętnie.

JONATHAN OLLEY / LUCASFILM LTD.

Harrison Ford w filmie „Indiana Jones i artefakt przeznaczenia"

Oto mit założycielski Indiany Jonesa, bohatera, który stał się najsłynniejszym wspólnym tworem George'a Lucasa i Stevena Spielberga. W maju 1977 r. panowie odpoczywali na Hawajach. Pierwszy zaszył się na wyspach w obawie przed porażką „Gwiezdnych wojen", które właśnie wchodziły do kin; drugi był po zdjęciach do „Bliskich spotkań trzeciego stopnia". Według wielokrotnie powtarzanej narracji pewnego dnia Lucas wpadł w euforię, kiedy okazało się, że jego galaktyczna opera odniosła gigantyczny sukces. Lepiąc ze Spielbergiem zamki z piasku na plaży Mauna Kea, przedstawił mu pomysł na awanturniczą opowieść o krzepkim archeologu, która, jak obiecywał, będzie lepsza niż seria z Jamesem Bondem.

Kiedy czytałem za dzieciaka biografię Spielberga, obrazek dwóch 30-latków bawiących się nad morzem niczym przedszkolaki i wymyślających przy okazji jedną z najpotężniejszych ikon popkultury wydawał mi się czymś absolutnie wiarygodnym. Kino to przecież zabawa, a kto jak kto, ale duet Lucas & Spielberg, umeblowawszy wyobraźnię kilku pokoleń, wie o tym najlepiej. Teraz, kiedy do kin wchodzi „Indiana Jones i artefakt przeznaczenia", piąta już odsłona cyklu liczącego sobie ponad 40 lat, jestem sceptyczny. Czy taki epizod w ogóle się wydarzył? A może kreatywne pogaduchy na plaży to taka sama blaga jak pomysł, by naziści użyli Arki Przymierza, aby wygrać wojnę?

Geniusze rozrywki zarobili krocie, zyskali sobie bezprecedensowe uwielbienie fanów, ale też zebrali sporo krytyki za infantylizację Hollywoodu od połowy lat 70. do dzisiaj. Widzowie tęskniący za bezkompromisowym kinem w rodzaju „Taksówkarza" Martina Scorsese i „Rozmowy" Francisa F. Coppoli za upadek amerykańskiego kina obwiniają najczęściej tych dwóch twórców.

Przeszłość należy do nas

Zakrawa na lekką ironię, że zafascynowani kosmitami i futurystycznymi wizjami reżyserzy pomogli zbudować system, który fetyszyzuje przeszłość kina do granic wytrzymałości. „Gwiezdne wojny" to aktualnie zaledwie jeden, choć niebagatelny, przyczółek disneyowskiego kolosa. Lucas sprzedał prawa do kosmicznego uniwersum za cztery miliardy dolarów, aby, jak informowały media, „cieszyć się wreszcie normalnym życiem". Spielberg, który rzadko podejmuje się sequeli (z wyjątkiem „Indiany Jonesa" i „Parku Jurajskiego"), pracuje za to w imponującym tempie i nie wybiera się na emeryturę. To przede wszystkim potężny producent i człowiek instytucja, który w jesieni życia realizuje kosztowne projekty igraszki, jak nową wersję „West Side Story" (2021) i autobiograficznych „Fabelmanów" (2022). Nie przynoszą one zysków, co młodego Stevena pewnie by bolało i stawiało jego karierę pod znakiem zapytania, ale teraz? Kto mu czegokolwiek zabroni?

A jednak Spielberg wciąż żyje marzeniami o kolejnym wielkim hicie, o megaprzeboju, który rozmachem i jakością przyćmi wszystkie pozostałe. Taką fantazję można było wyczuć w jego wypowiedziach o „Player One" z 2018 r., adaptacji powieści, w której pojawiają się dziesiątki postaci znanych z wcześniejszych gier i filmów. W rękach reżysera stała się ona cudownie zainscenizowaną popkulturową maszyną losującą, oferującą nam słodkie przebodźcowanie. Spielberg podkreślał, że nie jest to po prostu „film", ale „movie" pełną gębą, czyli kawał kina, ↦

↦ które należy konsumować na dużym ekranie. Nostalgia za latami 80., dekadą, kiedy kino obrało jednoznaczny kurs na młodą widownię, nie przemija.

Postać Indiany Jonesa od samego początku była pośrednikiem między tym, co stare, a erą kina, która dopiero nabierała kształtów. Jedną z najważniejszych cech nowego pokolenia filmowców, którzy stworzyli – wedle używanego tylko w Polsce określenia Jerzego Płażewskiego – Kino Nowej Przygody, była ich wszystkożerność. Pochłaniali komiksy i telewizję, na którą składały się seriale *science fiction* i powtórki klasycznych filmów, spędzali dużo czasu w kinie, znali scenariuszowe konwencje na wylot. Nie tyle chcieli je jednak odrzucić, ile odkurzyć i dodać do nich nowy silnik.

„Poszukiwacze zaginionej Arki" z 1981 r., pierwszy film o archeologu z biczem, nawiązywali do przygodowych seriali kinowych z lat 30. i 40., chociażby do cyklu o Zorro zrealizowanego przez słynące z produkcji klasy B studio Republic Pictures. Mimo że tym razem budżet miał być wysoki, a sceny akcji brawurowe, w swojej istocie „Indiana" jest fenomenem z definicji nostalgicznym i wtórnym. Odpuśćmy więc narzekania, że do kin trafia po latach kolejna część; seryjny charakter jest od początku zawarty w DNA tego przedsięwzięcia.

Kiedy więc w jego najnowszej odsłonie, „Artefakcie przeznaczenia", niereformowalny nazista i wybitny matematyk grany przez Madsa Mikkelsena deklaruje, że „przeszłość należy do nas", wiemy, że przemawiają w tym momencie i obłąkany Aryjczyk, i spadkobiercy duetu Lucas & Spielberg – zanurzeni w czasie minionym i projektujący przyszłe korporacyjne atrakcje.

Najnowsze przygody Indiany Jonesa kręcą się zresztą wokół obsesji na punkcie przeszłości. Nie chodzi już tylko o archeologiczne znaleziska, ale też o roztrząsanie rodzinnych relacji, wspomnienia o zmarłych druhach, obowiązkowy powrót do walki z niezgułowatymi hitlerowcami, starzenie się Indiany (i przede wszystkim Harrisona Forda) oraz wyznaczający wizualny horyzont nostalgiczny filtr. Sprawia on, że lata 60., kiedy rozgrywa się główna część akcji, stają się kolejną okazją do wygładzenia kantów historii i – czemu nie? – radosnego świętowania pierwszego lądowania na Księżycu.

Pociąg uruchomiony przez Lucasa i Spielberga przewozi coraz bardziej nijaką rozrywkę, porozszczepianą na uniwersa, w których już dawno przestaliśmy się orientować. I już nie wierzymy w Marvela.

Naziści należą do popkultury

Aliści naziści: właśnie w relacji między Indianą Jonesem a sługusami Führera zawiera się istota cyklu i jego mitotwórczej siły. W latach 70. Spielberg dopiero testował swój talent komediowy i choć jego farsa o Pearl Harbor – „1941" z 1979 r. – to bodaj najbardziej kultowy tytuł w jego filmografii oraz wybitny przykład chaosu nie do końca kontrolowanego, film powszechnie uważa się za porażkę. „Poszukiwacze zaginionej Arki" byli następnym przedsięwzięciem reżysera, którego frapowało wówczas przedstawianie II wojny światowej i faszyzmu w krzywym zwierciadle.

Parę lat przed „Indianą Jonesem" ukazał się słynny esej Susan Sontag „Fascynujący faszyzm". I choć erotycznego powabu rekwizytów i mundurów z okresu Trzeciej Rzeszy Spielberg nie chciał wówczas eksplorować, naziści stanowią w cyklu o archeologu repozytorium wizualnych klisz i komicznych karykatur oraz wzorzec arcyłotrów, którzy na dodatek ubierają się w stylowe uniformy i płaszcze. Cykl o Indianie Jonesie to w pewnym sensie „komedie totalitarne", które w zamiłowaniu do slapsticku i absurdu czerpią pewnie z „Dyktatora" Charliego Chaplina. W latach 80., kiedy powstały trzy pierwsze części, był to dla Spielberga sposób, by pośrednio dotknąć traumy Holocaustu.

Specyficzne rozdwojenie jaźni Spielberga – zawieszenie między eskapizmem a bolesną powagą – objawiło się w niezapomnianej formie podczas kręcenia „Listy Schindlera" w Krakowie w 1993 r. Za dnia amerykański twórca, wówczas kładący już większy nacisk na swoją żydowską tożsamość, kręcił czarno-białą opowieść o horrorze Zagłady i cudzie ocalenia, a po godzinach nadzorował zdalnie postprodukcję „Parku Jurajskiego" – o dinozaurach wskrzeszonych przez naukowców. Indiana Jones to oczywiście dzieło chłopięco-przygodowe, ale fantazja o dzielnym archeologu gromiącym Niemców niedługo przed ich inwazją na Polskę stawia pod znakiem zapytania ów podział na „dwóch Spielbergów".

W „Artefakcie przeznaczenia" powrót do II wojny światowej ma inny charakter. Stara trylogia działa się w latach 30. Pozwalało to wejść w obrębie fikcji w tryb przypuszczający: globalna rzeź jeszcze nie nastąpiła. A co, jeśli można jej zapobiec? Najnowsza część „Indiany" wrzuca nas najpierw w rok 1944 w Europie, gdzie pokonywani naziści uciekają pociągiem wypełnionym skradzionymi skarbami. Dziejąca się w nocy sekwencja to wspaniały popis inwencji Jamesa Mangolda, który przejął reżyserię po Spielbergu.

Jeśli kogoś nie porusza piękno hollywoodzkiego rzemiosła lub energia bijąca z pieczołowicie nakręconych scen pogoni i kaskaderskich popisów, to „Indiana Jones" będzie pewnie dla niego szczeniacką zabawą, prezentującą plakatową wersję świata i przeszłości. Zarzut ten często kierowano pod adresem serii, której orientalny i względnie ksenofobiczny charakter prawie się nie zmienił (Tanger w „Artefakcie przeznaczenia" to teren dziki i pełen rzezimieszków, niczym Kair z „Poszukiwaczy zaginionej Arki"). Jednocześnie połączenie wizualnej wyobraźni, slapstickowego polotu i wyczucia montażowego rytmu dały nam w tych filmach jedne z najwspanialszych scen akcji w historii kina.

Ekran należy do Forda

Kapelusz i bicz Indiany Jonesa to własność Harrisona Forda. Jego aktorstwo ma przy tym szczególny charakter. W okresie zdominowanym przez osiłków i wyczynowców pokroju Sylvestra Stallone'a i Arnolda Schwarzeneggera Ford jako Indiana bohaterem zostawał niechętnie, podobnie jak Rick z „Casablanki", i kierował się zwykle własnym interesem. Legendarna jest też specyficzna zrzędliwość aktora. Przez nią zyskał łatkę megagwiazdora, któremu zasadniczo trochę się nie chce: błyszczeć, zabawiać fanów i napinać bez potrzeby.

PATRICIA DE MELO MOREIRA / AFP / EAST NEWS

Phoebe Waller-Bridge podczas pokazu filmu „Indiana Jones i artefakt przeznaczenia" na Festiwalu Filmowym w Cannes, 19 maja 2023 r.

80-letni Ford jest jednak w „Artefakcie przeznaczenia" zachwycający, przede wszystkim dzięki opanowanej do perfekcji zwyczajności. Doktor Jones w jego wykonaniu urasta do rangi figury ponadczasowej, wrzucanej w lata 30., 40., 50. i 60. XX wieku, ale najlepiej czującej się w starożytności, do której przecież mogłyby zaprowadzić go wybujałe koncepty scenarzystów. W nowym filmie staruszek Ford wkurza się na kontrkulturę, bo jego nowojorscy sąsiedzi grają od rana głośnego rocka. Studenci patrzą na niego już nie z uwielbieniem, ale z pobłażaniem. To odchodzący na emeryturę dziadek od przeźroczy, przynudzający na wykładach i żyjący we własnym świecie.

Kiedy teraz widzimy bohatera Forda po raz pierwszy w 1969 r., budzi się on z drzemki i wstaje z fotela: ciało aktora, pokazane bez koszulki, jest szczodrze owłosione, nieźle zużyte, ale wciąż rozpoznajemy w nim dziarskość i siłę. Sporo filmów z ostatnich lat przemyca obok fabuły wzruszającą refleksję o starzeniu się ukochanych gwiazd. Ford, dosyć przekonująco odmłodzony cyfrowo w scenach z lat 40., przez resztę opowieści nie ukrywa żadnej zmarszczki. Aktor na łamach prasy zarzeka się, że to już koniec jego przygody z Indianą Jonesem. Jeśli tak, to mamy pożegnanie z wielką klasą: archeolog-senior znowu dał popalić.

Przyszłość należy do niej

W przypadku wakacyjnych blockbusterów, na które sezon otwiera „Indiana Jones i artefakt przeznaczenia", najważniejsze dziś pytanie brzmi: co zrobić, żeby chodzenie do multipleksów było znów ekscytujące? Pociąg uruchomiony przez duet Lucas & Spielberg przewozi coraz bardziej nijaką rozrywkę, porozszczepianą na uniwersa, w których już dawno przestaliśmy się orientować. Franczyzy i bohaterowie przynoszący przed czterema dekadami miliony dolarów są z nami do dzisiaj, dołączyli do nich nowi, ale wrażenie przesilenia jest dojmujące. Odbijamy się często od mainstreamu, bo zamiast z dziecięcym podnieceniem i podwyższonym pulsem kino popularne kojarzy nam się z trzygodzinną, generowaną komputerowo kolubryną i irytującą modą na dodawanie krótkich scen po napisach – najczęściej po prostu reklam kolejnego odcinka, który trafił już do produkcji.

Tak, „Indiana Jones" przyczynił się do stworzenia tego toksycznego ekosystemu. Fundatorzy Kina Nowej Przygody to dzisiaj starsi panowie. Schedę po nich przejmują inni, np. Rian Johnson i duet Danielów, odpowiedzialny za oscarowe „Wszystko wszędzie naraz". Tęsknota za widowiskami dla szerokiej publiczności będzie w nas zawsze, ale trudno powiedzieć, kto miałby zaproponować widowni coś świeżego. Państwo wybaczą, ale od lat nie wierzę w Marvela. Wierzę za to w Toma Cruise'a, ale nawet człowiek od misji niemożliwych będzie musiał kiedyś przyjąć do wiadomości, że jest po sześćdziesiątce.

Smutny pejzaż kina przygodowego nieoczekiwanie rozświetla Phoebe Waller-Bridge, niesamowicie utalentowana Brytyjka, której serial komediowy „Fleabag" to majstersztyk współczesnej telewizji. Była współautorką scenariusza zeszłorocznego Bonda „Nie czas umierać", a w „Artefakcie przeznaczenia" gra Helenę Shaw, córkę chrzestną Indiany Jonesa. Ford trafił na godną ekranową partnerkę, której charyzma, dowcip i ironia wymieszane są w osobliwych proporcjach.

Helena to najświeższy element filmu, autentycznie zaskakujący i w kategoriach angielskiej etykiety niegrzeczny – kto inny z taką swobodą uśmiechałby się niedwuznacznie na widok umięśnionych, ogrzewanych słońcem męskich ciał? W zapatrzonej w przeszłość sadze o archeologu Waller-Bridge zdaje się mówić: „Nie interesuje mnie za bardzo to, co było, teraźniejszość jest równie ciekawa". Doktor Jones rozważyłby pewnie to stanowisko, ale ostatecznie ponownie zanurzyłby się w starych księgach i gonił za Świętym Graalem.

© SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Gwiezdny flirt

ANITA PIOTROWSKA

Wes Anderson jest mistrzem odwracania uwagi od rzeczy uchodzących za ważkie. Bardziej niż opowiadanie historii czy snucie głębokich dyskursów interesuje go samo światotwórstwo.

Kiedy świat patrzy w górę w oczekiwaniu na spadającą planetoidę, która da nam ostateczną lekcję pokory, Wes Anderson raz jeszcze zaprasza do wyimaginowanego uniwersum. Na pierwszy rzut oka przypomina on znów park rozrywki w stylu retro. Zresztą w miejsce, gdzie wzniesiono tytułowe Asteroid City, ciało niebieskie zdążyło uderzyć już pięć tysięcy lat wcześniej, czyniąc z miasteczka pośrodku niczego atrakcję turystyczną i stację badawczą. Tutaj właśnie, na bezkresną pustynię, zjeżdżają z początkiem lat 50. XX w. wszyscy, którzy mają coś wspólnego z gwiezdno-niebiańskimi marzeniami: mali geniusze astronomii, naukowcy odpowiedzialni za bezpieczeństwo narodowe, dziewczynki opłakujące niedawno zmarłą mamę, gwiazdy ekranu. Gdzieś obok trwają próby jądrowe, żar leje się z nieba, bohaterowie przywożą ze sobą swoją ludzką pychę, swe wielkie i małe dramaty... Wróć: przecież o kinie Andersona w ten sposób opowiadać się nie da.

Bo twórca „Wyspy psów" jest mistrzem tworzenia światów umownych i odwracania uwagi od rzeczy uchodzących za ważkie. Można mieć wrażenie, że bardziej niż opowiadanie historii czy snucie głębokich dyskursów interesuje go samo światotwórstwo i z pewnością największą frajdę mają przy tym współtwórcy obrazu: autor zdjęć (ponownie Robert Yeoman), scenografowie (Adam Stockhausen, Stéphane Cressend), kostiumografka (Milena Canonero). I Anderson tę umowność jeszcze zwielokrotnia: film, który oglądamy, okazuje się popularnym (i oczywiście wymyślonym) spektaklem teatru telewizji, a że powstawał w burzliwych okolicznościach, nakręcono o nim program, od którego „Asteroid City" się rozpoczyna.

Wiadomo, że w takich szkatułkowych strukturach reżyser czuje się niczym lis w kurniku, czy to na poziomie opowiadania, czy kompozycji kadru. Toteż nie mogło zabraknąć podwójnych ram i komiksowych okienek, podobnie jak symetrycznie podzielonych ekranów czy kamery, której ruch naśladuje kartkowanie książki. Albowiem na wszystkie sposoby chce się podkreślić iluzyjny charakter tego świata. Recytuje się didaskalia, dzieli opowieść na akty i sceny, postacie zaś błąkają się, jak u Pirandella, w poszukiwaniu autora, nie rozumiejąc do końca, w czym grają, i trafiając do nie swojej sceny. Albo przyznają się, że tak naprawdę noszą cudze kostiumy i nawet siniak pod okiem słynnej aktorki okazuje się jedynie charakteryzacją.

Mimo sztuczności, burzenia czwartej ściany oraz przeplatania koloru i formatu kinowego czarno-białymi zdjęciami telewizyjnymi próbujemy dopatrzyć się na ekranie czegoś więcej niż makiety. Gdy Asteroid City odwiedza nagle przedstawiciel pozaziemskiej cywilizacji i zakłóca porządek gwiezdnego konwentu, a potem całego państwa, spodziewamy się skrętu w *science fiction*. Jednak Anderson zdaje się w ogóle o te oczekiwania nie dbać, skazując swego widza na dezorientację. I, jak zwykle, ucieka w dygresje czy fikuśne detale, obsiewając nimi rozległe arizońskie pustkowia. Z rozkoszą filmuje architekturę fikcyjnego miasteczka – lalczyne domki lub archaiczne ustrojstwa w rodzaju automatów, w których można kupić nawet działkę na pustyni.

Osobliwe piękno i syntetyczne ciepło tego świata, dbałość o każdy najdrobniejszy odcień czy deseń czasem wydają się przekraczać dekoracyjny wymiar. Być może ekstrawagancka stylówka stanowi jakąś ucieczkę przed tym, co doskwiera bohaterom i samemu twórcy. Jeśli bardziej interesuje go samo światło (tu oldskulowo filtrowane) czy charakterystyczna paleta barw (z dominantą turkusu i żółci) aniżeli ludzkie losy, nie musi to być aktem eskapizmu ani zdrady. Wręcz przeciwnie: cała menażeria, która utkwiła w „Asteroid City" – owdowiały korespondent wojenny, dramatopisarz w kryzysie twórczym, naukowczyni z lokalnego obserwatorium astronomicznego – skrywa w sobie coś osobliwego i zasługuje na własną historię. Także Obcy, który nagle zstąpił na Ziemię i ograbił miasteczko z jego najcenniejszej „relikwii", ma w sobie jakąś poczciwość. I każdy staje się gwiazdą swojego filmu, przynajmniej na chwilę.

Stąd w obsadzie takie zatrzęsienie topowych nazwisk, ze Scarlett Johansson, Jasonem Schwartzmanem, Tildą Swinton, Tomem Hanksem, Edwardem Nor-

POP. 87 PRODUCTIONS / FOCUS FEATURES

ASTEROID CITY
– reż. Wes Anderson. Prod. USA 2023. Dystryb. UIP. W kinach.

Wes Anderson to dziś jeden z bardziej rozpoznawalnych filmowców amerykańskich, twórca wyjątkowego stylu narracyjno-wizualnego. Zabłysnął komedią „Rushmore" (1998), potem był „Genialny klan" (2001), „Pociąg do Darjeeling" (2007) czy animacja „Fantastyczny pan Lis" (2009). Największe uznanie przynieśli mu „Kochankowie z Księżyca. Moonrise Kingdom" (2012) i „Grand Budapest Hotel" (2014).

tonem, Adrienem Brodym czy Willemem Dafoe. Dzięki ich aktorskiej nadobecności postacie przestają być li tylko pacynkami czy zakładnikami świata przedstawionego, bo na poziomie meta są przede wszystkim sobą, czyli gwiazdami występującymi w bizarnym teatrzyku Wesa Andersona. Zwłaszcza że dominująca konwencja nadaje bohaterom rys wyraźnie infantylny. A kiedy dorośli zachowują się jak dzieci, to dzieci zaczynają przedwcześnie dorośleć, biorąc na siebie odpowiedzialność, wzorem „Moonrise Kingdom", jednego z piękniejszych filmów o dorastaniu i wolności. Oczywiście można dopatrywać się również w dziele najnowszym jakiegoś poważnego światoobrazu lub przynajmniej satyry na Amerykę z jej militaryzmem czy budowaniem sztucznych rajów, lecz i w tych kategoriach „Asteroid City" dostarcza materiału raczej wątłego. Podobnie jak poprzedni film tego reżysera, „Kurier Francuski z Liberty, Kansas Evening Sun" (2021), który miał przecież niewiele wspólnego z refleksją na temat dziennikarskiego etosu. Pozostawała nam wówczas intertekstualna zabawa połączona z czysto estetyczną przyjemnością – i tak jest tym razem.

Dlatego porzućmy wreszcie pytania: artystycznie wykonana pisanka to czy tylko wydmuszka? Bo raczej nie jajko z niespodzianką – prędzej efektowna bombonierka. Lata mijają, a mówiąc o kinie Andersona ciągle trudno uciec od cukierkowych skojarzeń. Tymczasem ów filmowiec, od zawsze dzieckiem podszyty, wcale wydorośleć nie zamierza i nadal bezwstydnie uprawia swój „niebiański flirt" (by przywołać użyte przezeń określenie), na przekór ekranowej dosłowności i doniosłości. Takich oryginałów w dzisiejszym kinie ze świecą szukać, aczkolwiek bywa on już nazbyt zalotny, za bardzo powtarzalny, a pewnie też na swój sposób wykalkulowany i chwilami męczący. Na TikToku jego styl stał się masowo podrabianym trendem, jednym z wielu modnych filtrów. Z tym kinem jest bowiem tak, jak ze schedą po ekscentrycznym wuju kolekcjonerze: spodziewając się, co nas czeka, przyjmujemy masę spadkową z całym dobrodziejstwem inwentarza. Bez zaskoczeń, bez ryzyka, ale i większych korzyści. ©

Lektor:
„Ja już wiem, kto Pan jest"

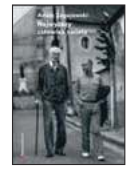

▪ *Adam Zagajewski*
NAJWYŻSZY CZŁOWIEK ŚWIATA. O JÓZEFIE CZAPSKIM
Redakcja, opracowanie i posłowie Andrzej Franaszek.
Wydawnictwo a5, Kraków 2023, ss. 254.

To miała być kolejna książka Adama Zagajewskiego: zbiór sześciu esejów układających się – jak chciał autor – w sylwetkę „malarza, pisarza, człowieka, obywatela, przyjaciela, czytelnika, rozmówcy". Los jednak chciał inaczej, esej szósty już nie powstał. Teraz do tych istniejących doszła część druga, obszerniejsza: ułożona przez Andrzeja Franaszka antologia, „próba odtworzenia rozmowy, jaką przez wiele lat Poeta i Malarz toczyli ze sobą na kartach listów, pośród zapisów dziennikowych, pomiędzy liniami wierszy".

Biograf Miłosza i Herberta, pracujący obecnie nad książką o Czapskim, wywiązał się z tego zadania znakomicie. Powstała całość nowa i prawdziwie fascynująca, portret podwójny i świadectwo przyjaźni, jaka w nagłym błysku połączyła ludzi, których daty urodzenia dzieliło niemal pół wieku.

Poznali się w styczniu 1983, kiedy Zagajewski odwiedził Czapskiego w Maisons-Laffitte – zaczynała się właśnie ostatnia dekada długiego życia Malarza, a twórczość Poety wchodziła w nową, świetną fazę. W maju tegoż roku Malarz po lekturze wydanego przez Instytut Literacki tomu Poety „List. Oda do wielości" pisze do niego „list poufny" (Andrzej Franaszek zauważa w posłowiu, że nie chodzi o tajemnicę, raczej o zaufanie), z niezwykłą frazą: „parę Pańskich wierszy było dla mnie nagłym szokiem; ja już wiem, kto Pan jest".

Zaczyna się dialog, którego wciąż powracającym tematem jest groza życia i okrucieństwo świata skontrastowane z jego pięknem. Tematem i przedmiotem tlącego się sporu, w którym Czapski pozostaje niepogodzonym buntownikiem. „Hołd mój i miłość natury – pisze o swoim malarstwie – jest równoległy z krzykiem, że życie jest niemożliwe", i w tym samym liście daje uzasadnienie, „drobny strzęp mojego krzyku". A równocześnie w wierszach młodego przyjaciela znajduje bliską sobie wrażliwość, trochę też wsparcie. „Jego wewnętrzna cisza po jakiemuś błogosławi" – notuje w dzienniku.

„Pisząc o Czapskim ma się do czynienia z kimś naprawdę wielkim, a samo pojęcie wielkości żenuje nas i niepokoi" – zauważa Zagajewski w eseju otwierającym książkę. Postać Malarza, która się z jej kart wyłania, jest tak niezwykła, że wydaje się aż nierzeczywista. Jakby przybył do nas z innego, lepszego świata. ©℗

OLGA

Drenda: *Niech to gęś (lub miś) kopnie*

Nadchodzi lato, a z nim sezon ogórkowy z bukietem wiadomości okolicznościowych. Nie są to zwykle informacje przełomowe, a jednak warto je notować, bo wpływają na koloryt swoich czasów. Standardowe opowieści dotyczą szaleństwa na punkcie gadżetów o żywotności jętki jednodniówki, przygód z przekąskami oraz niesamowitych wydarzeń z udziałem zwierząt. Te ostatnie szczególnie zapisują się w kalendarzu pamięci, jako symbole i znaki swoich dni. Jak „rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia", albo jak „dane nam było słońca zaćmienie", tak 2009 rok upłynął pod znakiem widywanej w okolicach Opola pumy, a pod koniec lat 80. kaczki dziennikarskie roznosiły wieść o faunie poczarnobylskiej, na czele z królisem, który miał jakoby przegryzać opony w samochodach.

Bieżący rok wyraźnie należy do gęsi. Najpierw widziano, jak pan Dariusz Brzeski zabierał gęś i kaczkę w podróż koleją, zażywał z nimi kultury w ramach Nocy Muzeów, maszerował w Marszu dla Odry, wywołując może czasem zakłopotanie, ale głównie uśmiech. Potem pewien tarnobrzeżanin postanowił występować na TikToku z zaprzyjaźnioną gęsią o niewątpliwie przykuwającym uwagę imieniu Pipa. I tu nastąpił moment cudownej, by użyć trafnego języka marketingu, synergii – bo popularność internetowego drobiu zbiegła się w czasie z pojawieniem się naręczy (ta nazwa wręcz się narzuca, gdy spojrzymy na kształt) pluszowych gąsek sprzedawanych na stoiskach z pamiątkami. To sprawiło, że polscy sprzedawcy zaczęli je anonsować jako „gęś z TikToka", a niebawem pojawił się szereg typowo „ogórkowych" artykułów o rzekomo niezrozumiałych stanach, w jakie ma wprowadzać zwłaszcza najmłodszego klienta widok pluszaka.

OLGA DRENDA

Nie pomyl z prawdziwym niedźwiedziem w mieście.

TikTok słynie z algorytmu tak precyzyjnego, jakby zgadywał nasze pragnienia, zanim zdążymy je sobie uświadomić. Czy zatem ptaki na pokładzie pociągu i gęś Pipa zostały zasuflowane polskiej publiczności, by sprzedać hurtowe ilości pluszowych gąsek? To już chyba zbyt dystopijne scenariusze, ale na pewno można prześledzić, że *giant stuffed goose* (co polskie tłumaczenie maszynowe nazywa z sarmacka „gęsią nadziewaną") sprzedaje firma krzak Mitrue, a TikTok pomógł nakręcić modę na nie jeszcze przy okazji ostatniego czarnego piątku. Tak zaczęło się budzić podświadome pragnienie kontaktu z tematem gęsi, co zdumiewa i jako udany akt biznesowy, i jako koronkowa inżynieria umysłów.

„Kalendarz Rolników" informuje, że gęś „jest symbolem czystości, krzepkości, gadatliwości, opiekuńczości, miłości i szczęścia małżeńskiego". Ale kto zna życie na wsi, ten wie, że z gęsią można się zaprzyjaźnić, ale też nie ma z nią żartów – gdy ktoś zakłóci jej spokój, potrafi dotkliwie podziobać.

Ambiwalencja, jaką budzą te piękne ptaki, obecnie przeżywające swoje pięć minut w przemyśle gadżeciarskim, przywodzi na myśl inne tyle niebezpieczne, co puchate stworzenie. Mowa oczywiście o niedźwiedziu – zawsze zastanawiało mnie, dlaczego na praprzytulankę, przodka wszelkich przytulanek, wybrano właśnie najgroźniejszego ssaka Europy, tak groźnego, że jego imienia Słowianie w nabożnym lęku zabraniali wymawiać, zastępując je jedynym znanym dziś określeniem „tego, który wie, gdzie jest miód".

W XVIII-wiecznym chińskim kompendium etnograficznym, stworzonym na zamówienie cesarza Qianlonga, Polacy zostali opisani jako lud, który „wychowuje w domu niedźwiedzie w celach rozrywkowych", jednak w naszym doświadczeniu ostatnich dekad miś żywy stał się doświadczeniem odległym, funkcjonującym co najwyżej w ostrzeżeniach dla górskich wędrowców. Przeciętny obywatel miewał kontakt z misiem pluszowym lub takim, który otwiera oczy niedowiarkom. Wszystko zmieniła podobno ustawa o segregacji śmieci, która niespodziewanie zbliżyła realia polskie do kanadyjskich: po oczekujące na zebranie worki z odpadkami wyprawiają się już niestety nie tylko dobrze znane dziki, ale i niedźwiedzie.

Oglądanie amatorskiego filmu z niedźwiedziem biegnącym po jednym z osiedli Nowego Sącza, ale też zapoznanie się z reakcjami na niego, to zaskakujące doświadczenie. Ludzie nie wiedzą, jak się zachować w obecności tak rzadkiego zwierzęcia (dlatego jadą za nim samochodem, licząc, że sobie pójdzie), a jednocześnie pozostają spokojni, rozmawiając o zdarzeniu, które ktoś szukający ogórkowej sensacji mógłby nazwać widokiem postapokaliptycznym. Nie odnotowano paniki, najwyżej rezerwę: „piękny", „biedny, zgubił się", „nie róbcie afery", „nie ma GPS-a". Ale metaforycznego GPS-a będziemy potrzebować my sami – nowych zasad co do tego, jak żyć bliżej innych stworzeń, a przede wszystkim, jak posprzątać nasze własne śmieci. ©

PAWEŁ

Bravo: „*Kucharz*” *to brzmi groźnie*

Trzydzieści siedem metrów długości liczy sobie jacht, z którego Jewgienij Prigożyn na razie nie skorzysta, bo Białoruś, która okazała się dlań bezpieczną przystanią, jest najwyżej przystanią rzeczną, nie posiada, *k sożaleniju*, portów morskich. To może nie dużo, królowa Elżbieta pływała wszak na ponadstumetrowej Britannii, ale zaprojektowane przez Versace wnętrza zapewniają wysokiej klasy komfort dwunastu osobom, które może pomieścić w sześciu obszernych kajutach „St. Vitamin” – bo tak się ów jacht nazywa. Zaiste, najwłaściwszy emblemat herbowy właściciela.

Chociaż na łódkę mógł sobie pozwolić dopiero w 2014 r., kiedy na dobre już rozhulał się jego parszywy biznes z najemnikami, to jednak czytelnicy naszej rubryczki, uważni na wieści okołospożywcze, są na pewno świadomi, iż pierwszy stopień do majątku i knajackiej sławy stanowiła dlań jedyna działalność równie lukratywna, co wojna – czyli karmienie za pieniądze. Na każdym regale mentalnej spiżarni, od *fine dining* przez tanie bistra (*nu, bystrieje!*) aż po szkolne stołówki, znajdzie się jakaś teczka na Prigożyna. W nadużywaniu przez media przydomku „kucharz Putina” dostrzegam grę na szokującym rzekomo kontraście: oto jakiś gość z chochlą urządza drakę, od której pospadały w stolicy niejedne prestiżowe portki. A mnie to wcale nie dziwi.

Pozostający w gestii Prigożyna, choć spowity siecią maskujących spółek, holding Concord był od lat 90. liderem na rynku eleganckich restauracji w Petersburgu. Choć nazwa jednej z nich – Russkij Kicz – dobrze oddawała pewien nadmiarowy, by tak rzec, aspekt w kwestii złota, kryształów i falban, a innej – Staraja Tamożnia – zachęcała w pierwszej fazie istnienia półnagimi kelnerkami, to jednak jadało się tam ponoć znakomicie. Choć w sumie banalnie: czarny kawior na lodzie, polędwica z sosem truflowym i inne takie pewniaki na liście „carskiego” luksusu. Kiedy czytam teraz menu kolacji, jakie świeżo upieczony prezydent Putin wystawiał w tych lokalach dla głów państw, to kusi mnie w nich tylko kapusta duszona z jarzębiną.

Ale Chiracom, Bushom, Santerom musiało smakować. Ówczesny szef MFW Michel Camdessus podczas bankietu w restauracji na łodzi sunącej Newą w białą noc miał ponoć nawet deklamować „Oniegina” po francusku. Ważniejsza od żałosnych anegdot jest więź, jaka rodzi się między nieufnym władcą a tym, który mu gotuje. Gotuje, a nie otruje – tu jest to źródło zaufania czy choćby mniejszego lęku. Powstaje jakaś strefa mniej zarażona paranoją. Zwłaszcza że Prigożyn potrafił na chwilę, kiedy się to opłacało, z wielkiego bossa przeobrazić się w skromnego kelnera dyskretnie dbającego o *table d'honneur* na prezydenckim bankiecie.

Potem przyszła nieudana próba pożenienia Wschodu z Zachodem – sieć fastfoodów Blin Donalts. Bliny zamiast buły, a reszta mniej więcej jak w oryginale, z dodatkami lokalnymi, takimi jak chrzan i kapusta. Rosjanie woleli chyba jednak oryginał, a nie takie *zapadnictwo* na pół gwizdka. Ale to drobiazg, Prigożyn już próbował sił w sektorze, który jest wprawdzie mniej efektowny, ale za to przynosi zyski w skali, jakiej nawet tuzin drogich knajp nie wygeneruje. Najpierw Petersburg, potem Moskwa i inne miasta – ponad 90 procent rynku jedzenia dla szkół należy do Concordu. I tu się parasol kremlowski bardzo przydał: pod koniec 2018 r. w Moskwie wybuchł skandal z masowymi zatruciami dyzenterią w szkołach i przedszkolach. Zdesperowani rodzice łatwo dotarli do dowodów na koszmarne warunki higieniczne w fabrykach Prigożyna. To była jedna z tych wielkich afer, jakie nagłaśniał i wyjaśniał Aleksiej Nawalny wraz ze swoimi prawnikami. Gdzie jest teraz Nawalny, a gdzie Prigożyn? Ten drugi zresztą dostał w 2022 r. nowy kontrakt szkolny o podwójnej wartości. Nie trzeba dalej wyjaśniać, kto komu zamknął gębę.

Ale nie tylko pierogi (z zatrutym twarogiem) dla dziatwy oraz (przeterminowane nawet o 7 lat) racje polowe dla żołnierzy. Concord jest głównym graczem w Rosji, jeśli chodzi o elegancki catering – wesela dla córek notabli i vipowskie imprezy firmowe. Na liście klientów (raczej byłych, ale internet pamięta): Liga Mistrzów, Siemens, Bosch, Porsche, Ford, BP, Heineken i inni. Jakże błądzą ci, dla których słowo „kucharz” brzmi mniej groźnie od „prezes” czy „generał”... ©℗

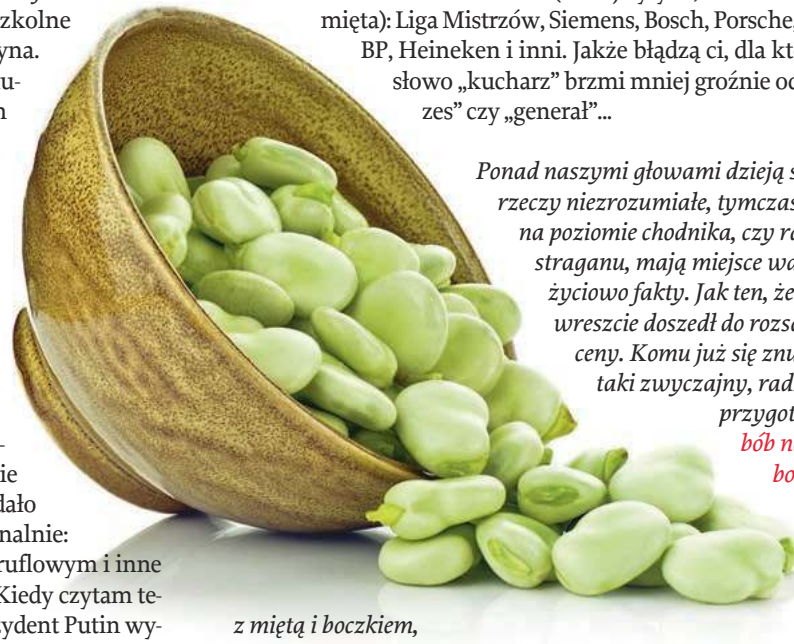

CUKMEN / ADOBE STOCK

Ponad naszymi głowami dzieją się rzeczy niezrozumiałe, tymczasem na poziomie chodnika, czy raczej straganu, mają miejsce ważne życiowo fakty. Jak ten, że bób wreszcie doszedł do rozsądnej ceny. Komu już się znudził taki zwyczajny, radzę przygotować bób na bogato, z miętą i boczkiem, często kojarzonymi z tym strąkiem we włoskiej chłopskiej tradycji. Gotujemy bez soli kilo bobu, ale krótko, tak żeby po szybkim przestudzeniu dał się obrać – nie musi być miękki. Na dużej patelni podsmażamy drobno pokrojone 100 g boczku, dodajemy drobno posiekaną cebulę, dusimy, aż się zeszklí, dalej garść siekanej pietruszki i dwie garści siekanej mięty, a na koniec wyłuskany bób. Zwiększamy nieco ogień, podlewamy 100 ml białego wina, po odparowaniu wlewamy ok. 200 ml bulionu warzywnego i gotujemy, aż bób będzie miękki (dolewając ewentualnie bulionu lub wody).

PIOTR PĘKALA / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI STANISŁAWA BAJA

PIOTR PĘKALA / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI STANISŁAWA BAJA

ZMYSŁY

BUG WIE

STANISŁAW BAJ, MALARZ:

Zawsze jeżdżę w to samo miejsce. Ale ono za każdym razem wygląda inaczej. Rzeka zwalnia lub przyspiesza, chmury inaczej się układają. Bogactwo możliwości jest niewyczerpane.

WOJCIECH BONOWICZ: Ten ptak nad nami to Duch Święty czy zwykły gołąb?
STANISŁAW BAJ: Duch Święty.

Skąd się wziął?
Wyrzeźbił go Józef Felczyński. Mieszkający w Chutczem koło Sawina, jak się jedzie na Chełm. Jego daleka rodzina to ci Felczyńscy, co dzwony odlewają.

I on wyrzeźbił również te pozostałe ptaki?
Tak, te duże. O, tę gęś na przykład. I tego wielkiego psa, który pilnuje domu. Ale posłuchaj, bo to jest niesamowita historia. Tu na parapecie są rzeźby Romana Śledzia, jednego z najgenialniejszych rzeźbiarzy, jakich znam. Jego dzieła możesz spotkać w północnych Niemczech i w Santa Fe w Kalifornii. I córka tegoż Śledzia mówi mi kiedyś z uśmiechem: „Panie Stanisławie, ja dopiero pokażę panu prawdziwego rzeźbiarza...". Zabrała mnie do pana Józefa. Przyjeżdżamy, a tam, wyobraź sobie, na środku podwórka, obok studni, stoi wyrzeźbiony koń, naturalnej wielkości.

Pan Józef był już wtedy po dziewięćdziesiątce, ale w świetnej formie. Codziennie jeździł piętnaście kilometrów rowerem – do kaplicy na mszę, do sklepu. No i zaczęła się rozmowa. „Ja do osiemdziesiątego roku życia byłem porządnym gospodarzem – mówi mi – miałem i ciągnik, i konie. Ale sił już brakowało i musiałem wszystko sprzedać. I tak mi się smutno zrobiło, tak pusto na podwórku, że z tego smutku wyrzeźbiłem sobie konia – żeby był". On o tego konia dba jak o żywego, na zimę okrywa go derką, żeby nie zniszczał.

STANISŁAW BAJ (ur. 1953) jest malarzem. Jego najnowsze obrazy można oglądać od 30 czerwca br. w lubelskiej Galerii Wirydarz. Wystawę zatytułowaną „Kamień rzeki" przygotowano z okazji 70. urodzin malarza.

Na zdjęciach: z portretami bliskich i matki, poniżej w ulubionym miejscu nad Bugiem

To była jego pierwsza rzeźba w życiu?
Tak. A potem zaczął rzeźbić inne zwierzęta, zawsze naturalnej wielkości. Wybudował nawet specjalną wiatę, gdzie te rzeźby zaczął stawiać – żurawie, bociany, ale też kaczki, kury, takie najprostsze domowe ptactwo. I ja trochę tych rzeźb mam. Jest w nich coś takiego, że człowiek chciałby się do nich przytulić. Ciepły wdzięk, tak bym to nazwał. I między innymi wyrzeźbił tego Ducha Świętego. „Bo Duch Święty jest potrzebny" – tak mi powiedział. I gdybyś go spytał, czemu rzeźbi, toby ci odpowiedział: „Bo jest potrzebne".

Był stąd?
Nie, urodził się w okolicach Łowicza. W czasie okupacji został przez Niemców wywieziony na roboty i pracował w zakładach zbrojeniowych Volkswagena. Widział na żywo Hitlera, który wizytował te zakłady. Kiedy zbliżał się koniec wojny, pan Józef wraz z trzema kolegami postanowił uciec do Polski. Zostali złapani przez Niemców gdzieś w pobliżu Odry, groziło im, że zostaną powieszeni. I wtedy stał się cud: podczas przesłuchania jego opowieści przysłuchiwała się młoda esesmanka. Okazało się, że pochodziła z tej samej miejscowości co on, z osiadłej tam niemieckiej rodziny. I kazała puścić ich wolno.

Po wojnie pan Józef ruszył na wschód za pracą. W Chutczem poznał przyszłą żonę, ożenił się, zajął gospodarką. Opowiadał mi, że był zapraszany do Niemiec na spotkania w szkołach, jako świadek historii. Utrzymywał kontakt z robotnikami, których razem z nim zwieziono do tych zakładów, nie tylko z Polski, ale również z Danii i innych krajów. I kiedyś mówi mi: „Ja już jestem ostatnim, który został z tej grupy".

A Roman Śledź?
To jest mój guru – jeśli chodzi o życie w rzeźbie i o formę plastyczną. Muszę powiedzieć, że ja w jego dziełach zakochałem się pod wpływem filmu Andrzeja Wajdy, chociaż samego Śledzia poznałem już wcześniej. Wajda zrobił znakomity dokument o kolekcji Ludwiga Zimmerera...

↦

↦ **„Zaproszenie do wnętrza”.**

Zimmerer bardzo pięknie opowiada o polskiej sztuce – ludowej? naiwnej? art brut? Ja nie lubię tych określeń. Najchętniej powiedziałbym: sztuka naturalna. I on w tym filmie sporo czasu poświęca właśnie twórczości Romana Śledzia. A sam Śledź, jako jedyny artysta, nie mówi tam ani słowa. Mnie ten dokument pomógł spojrzeć na jego rzeźby niejako na nowo. Zobaczyłem w nich coś, o czym zawsze marzyłem, malując portrety.

Czyli co? Sugestywność? Dramatyzm?

Sposób cięcia formy. On jest bardzo dramatyczny i jednocześnie bardzo pewny. Tam nie ma przypadku. Rzeźby Śledzia mają w sobie niesamowitą surowość, chropowatość i przez to są wyraziste. Uczucia są tu oddane w sposób naturalny, intuicyjny – jak w średniowiecznych pietach, ale z tych warsztatów, które nie miały jeszcze swojego charakteru i dlatego wychodziły z nich dzieła bardziej jednostkowe. Forma jest tu w nierozerwalnej symbiozie z tematem, wyraża treść i rytm istnienia.

Aleksander Jackowski powiedział o Śledziu, że to „El Greco rzeźby”. Obrazy El Greca są może bardziej uduchowione, a Śledź jest bliżej ziemi, ale u obu ujmująca jest ta surowość środków wyrazu. Rzeźby Śledzia to moja otucha, podpora w malowaniu. Ale, podkreślam, jeśli chodzi o portrety. Bo ja to rozgraniczam – rzekę od portretu.

To Twoje dwa główne tematy.

Tak. I wiele je łączy. Ale każdy traktuję trochę inaczej.

Rozmawiamy w Twoim rodzinnym domu w Dołhobrodach. Kiedy odkryłeś, co chcesz robić w życiu?

Tu, w tej kuchni. Pod tym oknem dawniej stała ława. Tu namalowałem później większość swoich portretów – matki, sąsiadów. Okno było wtedy mniejsze, światło słabe, może dobrze, bo przez to było ciekawsze. Jak byłem mały i przychodził wieczór, siadaliśmy na tej ławie i czekaliśmy na kąpiel. I ja właśnie wtedy, wieczorami, przed snem, bardzo lubiłem porysować.

A co rysowałeś?

Wszystko. Ludzi najczęściej. Dom był pełen ludzi. Bez przerwy ktoś wpadał. Zimą stał tu warsztat tkacki, musieliśmy z siostrą nawijać matce takie cewki z wełną, różnokolorową, co pewnie też wywarło wpływ na moje odczuwanie kolorów. A wokół siedzieli chłopi, zwykle kilkunastu, palili machorkę, bo wieczorami przychodzili na posiady. Nawet jak gospodarzy nie było w domu, to oni też przychodzili posiedzieć, pogadać. I ja ich rysowałem. Śmiali się, komentowali, a ja byłem zadowolony. To był dom otwarty, przez jakiś czas, rok chyba, była tu nawet gospoda. Pamiętam, jak pan, który zaopatrywał tę gospodę, przywiózł mi w prezencie czeskie kredki. Bardzo długo bałem się tych kredek dotknąć. Bałem się, że je połamię, że coś im się stanie.

Jakie miałeś dzieciństwo?

Kamień rzeki Bug, olej na płótnie, 71x30 cm, 2023 r.

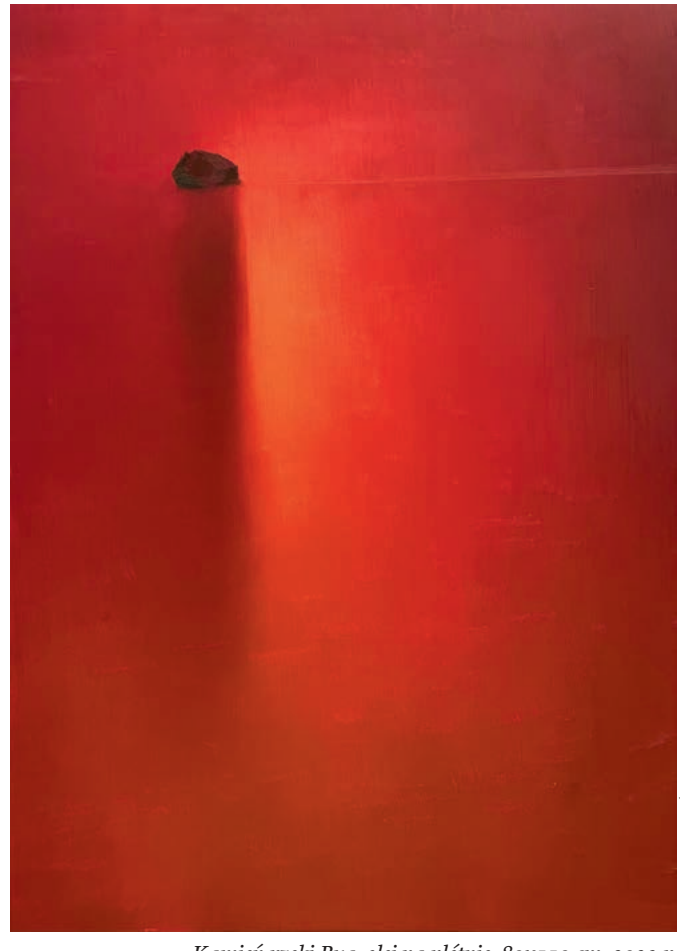

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI GALERII WIRYDARZ X2

Kamień rzeki Bug, olej na płótnie, 80x110 cm, 2023 r.

Nieustannie coś się działo.

Po drugiej stronie drogi była remiza strażacka, u nas przechowywano klucz – ojciec był w straży. Jak się gdzieś paliło, nikt nie patrzył, dzieci, nie dzieci, wpadali do domu, ojciec zaprzęgał konie do furmanki i jazda. Był też dom ludowy, wybudowany jeszcze przed drugą wojną, a w nim sala taneczna. W soboty i niedziele wyświetlano tam filmy. Chodziłem na wszystkie, nawet te dla dorosłych, bo jeden z moich chrzestnych sprzedawał bilety, a drugi był operatorem. Czasami najmowałem się do przewijania taśm – jak w „Cinema Paradiso". A obok na placyku, gdzie rosły dwa kasztany, zatrzymywały się rozmaite grupki cyrkowe, teatralne, dwu-, trzyosobowe. Biedni, jak nie wiem co, ale malowniczy ludzie. Siłacze, treserzy psów – kogo tam nie było?! Zdarzało się, że nocowali u nas, bo matce żal się robiło, że będą musieli spać na zimnie.

Rzeczywiście, działo się!

Dla dziecka to był raj. A do tego jeszcze Bug za domem, blisko. Łąki nad Bugiem. I to, myślę, w dużym stopniu określiło moją wyobraźnię. Nawet jeśli później w liceum plastycznym czy na studiach eksperymentowałem z różnymi stylistykami, to w końcu wróciłem do tego, co pierwotne: do ludzkich twarzy i do rzeki.

Wiesław Myśliwski stwierdził kiedyś, że Twoje portrety są malowane dłutem. Że w tych obrazach Ty właściwie bardziej jesteś rzeźbiarzem niż malarzem.

Bo ja najpierw chciałem być rzeźbiarzem. Ale potem jednak zafascynowało mnie malarstwo. Portret stał się w pewnym momencie moją obsesją. Zwłaszcza portretowanie matki. Próba uchwycenia tego, co w twarzy jest niepowtarzalne, a co czasem się ujawnia, a czasem skrywa. Moja matka całe życie bardzo ciężko pracowała, ziemię mieliśmy niezbyt urodzajną i dość daleko od domu.

W dodatku rodzice długo nie mogli mieć dzieci, mama nawet w tej intencji wybrała się do Częstochowy. No i potem ja się urodziłem, a niedługo po mnie siostra – Kazia. Twarz zbiera te rozmaite doświadczenia. Malowałem portrety na ogół zamaszyście, gwałtownie, grubo. Próbowałem jakoś przenieść na płótno to, czego nie potrafiłbym opisać słowami. To, co jest w wyrazie oczu, w bruzdach, zmarszczkach. Co jest zewnętrzne i wewnętrzne jednocześnie.

To na przykład, że wiejskie kobiety – moje babcie też – całe życie chodziły w chustkach. Na portretach mamy, które namalowałeś, to jest fascynująco oddane, bo ta opięta chustką twarz wydłuża się, a rysy się wyostrzają.

Gdy zacząłem uczyć malarstwa, to często mnie pytano: „Co to jest dobry portret?". A ja nie wiem. Mogę wskazać dobre portrety, ale nie wiem, co jest potrzebne, żeby taki portret powstał.

A jak pytają, co to w ogóle znaczy być dobrym malarzem, malarką?

REPR. AGATA CIOŁEK / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI STANISŁAWA BAJA

Rzeka Bug, olej na płótnie, 120x100 cm, 2001 r.

Rzeka odbija cały świat, ale odbija niedokładnie, bo dochodzą zniekształcenia, załamania, przejścia pomiędzy kolejnymi warkoczami odbić. Gdyby tego nie było, nie wiedzielibyśmy, że woda płynie. Byłaby tylko lustrem.

Wtedy na ogół proszę studenta lub studentkę: „Odwróć się i powiedz, co widzisz za oknem". „No widzę ładny pejzaż – budynek, drzewa różne, niebo". „No dobrze, to jaką widzisz między nimi różnicę, oprócz tego, że to jest niebo, drzewo i budynek?". I powinna paść odpowiedź, że ściana jest chropowata, że niebo jest gładkie i przeźroczyste, że drzewo liściaste to jest inna struktura, a iglaste inna... Wielka sztuka zaczyna się od tego, że się widzi te poszczególne struktury i napięcia pomiędzy nimi.

Przykład?

„Malarz i modelka" Vermeera. Te różnice, które istnieją w rzeczywistości, zostały tam oddane za pomocą języka malarskiego w sposób doskonały. Na tym obrazie – który, nawiasem mówiąc, nieraz mi się śni – włosy malarza to są włosy wszystkich włosów, a mapa to jest mapa wszystkich map. Ale ostateczny efekt nie polega na tym, że poszczególne elementy zostały wykonane niezwykle precyzyjnie. Ważne jest, jak one ze sobą współpracują, jak się do siebie odnoszą. Tam jest mnóstwo uproszczeń, ale precyzję osiąga się właśnie dzięki tym uproszczeniom. Chodzi o to, żeby w malarskim języku oddać strukturę istnienia – światła, materii, skóry – i jednocześnie stworzyć zupełnie nową strukturę, malarską właśnie.

I to nie musi być dokładne.

Dokładność na czym innym tu polega. Nie na naturalistycznym odwzorowaniu, tylko na tym, żeby malarz znalazł sposób, jak opowiedzieć o czymś za pomocą pędzelka i farby. Janusz Jaremowicz miał na to genialne określenie: „ciało obrazu".

Czyli coś spójnego, jednolitego.

I żywego. Żeby – przykładowo – ta farba nie naśladowała szkła, tylko w całej strukturze, jaką jest obraz, była tym szkłem. Kluczowy jest tu sposób malowania. Motywy, treści, ukryte symboliczne znaczenia – to jest ważne, oczywiście. Ale kluczowa jest ta harmonia, którą się osiąga, umieszczając poszczególne elementy w tym, a nie innym miejscu, i nakładając farbę tak, a nie inaczej.

Przy portrecie sprawa jeszcze się komplikuje. Mniejsza o to, czy rzeczywiście istniała taka „Dziewczyna z perłą". Może nie była dokładnie taka jak na obrazie? Ważne, że wskutek tych różnych zabiegów technicznych wyłania się ktoś, kto na nas patrzy...

...i w kogo my wpatrujemy się jak w żywą osobę.

A co jest decydujące? Kompozycja. Czyli to, że wszystko jest na swoim miejscu. Patrzysz na „Powrót syna marnotrawnego" Rembrandta i widzisz, że „cierpienie" malarskiej struktury przenika się z cierpieniem ludzkim, które jest tematem obrazu. Napięcia języka malarskiego oddają napięcia, o jakich obraz opowiada.

A kiedy tego nie ma, to obraz jest nieudany?

Są próby – tak powiedzmy. A jak są próby, to i rezultaty mogą być rozmaite. Ja zarówno w portretach matki, jak i w obrazach rzeki ciągle sprawdzam, jakie są moje możliwości. Czasem jest sukces, częściej jest klęska. Ale ważny jest ten wysiłek, poszukiwanie.

Ile portretów mamy namalowałeś?

Ze trzysta na pewno.

I dalej nie wiesz, jak powinien wyglądać ten jeden? Najlepszy?

No tak to jest. Gdyby żyła, tobym ją dalej malował. A dlaczego? Bo moje umiejętności dla mnie samego są zagadką. Nie znam siebie, nie wiem, co potrafię. W momencie, w którym

przystępuję do malowania, nie wiem, jaki będzie rezultat. Może malując kolejny obraz, dowiem się o sobie czegoś nowego?

A ile obrazów Bugu powstało?
Trudno powiedzieć. Kilkaset.

I z ilu jesteś zadowolony?
Z niewielu.

To co jest ważne, kiedy maluje się rzekę?
Materia wody, a szczególnie rzeki, jest zupełnie inna niż materia drzew, zarośli czy krzaków. Pion z poziomem spotykają się tu w sposób niepowtarzalny. Kiedy popatrzysz na rzekę, to co widzisz przede wszystkim? Odbicia. Czyli piony. Rzeka odbija cały świat, który jest dookoła. Ale odbija niedokładnie, bo jest w ruchu. Powolny ruch rzeki jest strasznie trudny do oddania na obrazie. Te piony, które przecinają taflę rzeki, są idealne, ale dochodzą rozmaite zniekształcenia, załamania, delikatne przejścia pomiędzy kolejnymi warkoczami odbić. Gdyby tego nie było, nie wiedzielibyśmy, że woda płynie. Byłaby tylko lustrem. Dlatego to jest takie fascynujące wyzwanie dla malarza. Namalowanie tego przecięcia pionowego z poziomym – gdy woda nieustannie marszy się, meandruje, ma swoją głębię i tak dalej – to jest istota sprawy. W przyrodzie wszystko się zgadza, nie ma innej możliwości. Ale musi się też zgadzać na obrazie.

I teraz – zależy mi na tym, żeby namalować to wszystko, o czym mówię, w najbardziej istotny sposób. Odjąć te wszystkie szczegóły, drobiazgi, a uchwycić to przecięcie, zawsze trochę rozmyte, trochę poruszone. Czyli istotę tego, co się dzieje. Dlatego coraz częściej maluję tylko jakiś fragment. Nie całość tego, co widzę, tylko jakiś element, miejsce, w którym to przecięcie jest najbardziej intrygujące.

Od 25 lat jeździsz w jedno miejsce? Zawsze z widokiem na to samo zakole?
Zawsze. Ale ono za każdym razem wygląda inaczej. Jest inaczej oświetlone, rzeka zwalnia lub przyspiesza, chmury inaczej się układają – i tak dalej. Fascynujące jest to, co się rozgrywa w głębi tego widoku. Jedna strona potrafi być jasna, nawet prześwietlona, a druga prawie czarna. Albo obie są ciemne, a tylko w szczelinie jest mocniejsze światło. Czasem kontrast między światłem a cieniem jest bardzo ostry, a innym razem niewyraźny, jakby za mgłą. Bogactwo możliwości jest niewyczerpane. I nie chodzi o to, żeby to od razu przenieść na obraz. Ale żeby pod wpływem tego, na co się patrzy, zrobić coś podobnego, oddać to napięcie.

Podczas stanu wyjątkowego też jeździłeś nad rzekę?
Jeździłem. Jestem przecież tutejszy.

Ale Bug przestał wtedy być tym samym Bugiem co rok czy dwa lata wcześniej. I nie myślę o płynącej wodzie, tylko o pętlach drutu rozciągniętych tuż przy brzegu.
To było dla mnie bardzo trudne – nie tylko moralnie, ale również malarsko. Bo nie wiadomo było, co zrobić. Udawać, że tego nie ma? Ale jeśli namalowałbym ten drut tak, jak on wygląda, to byłoby zbyt dosłowne.

Nie oddawałoby całego dramatyzmu tej sytuacji.
Wyszedłby banał. Zwierzęta, przyzwyczajone do tego, że przeprawiają się z jednej strony na drugą, kaleczyły się o tę concertinę. Mogłem więc namalować drut i plamy krwi. Ale efekt też byłby odwrotny do zamierzonego. Może gdyby to była, powiedzmy, kropla krwi rozpuszczona w wodzie? Taka krew, nie krew, ślad po cierpieniu, skaleczeniu... Szukałem sposobu, żeby w malarskim skrócie opowiedzieć o tym żywiole, ale też o tym, co działo się wokół.

Coś podobnego przeżywałem, kiedy miałem namalować obraz na okładkę „Pałacu" Myśliwskiego. Wiesiek i Jurek Illg chcieli, żebym namalował pożar na brzegu. Ale ja szukałem czegoś mniej dosłownego. I uparłem się, żeby było tylko odbicie tego pożaru w wodzie. To się może wydawać absurdalne – brzeg ciemny, a na wodzie łuna. Nie wiadomo, co się pali i czy w ogóle się pali. Może to światła samochodu albo coś podobnego. Ale gdybym namalował wprost, nie byłoby tego efektu.

Bo dosłowność, paradoksalnie, usuwa niepokój.
Wraz z tym, co się ostatnio stało – i co nadal się dzieje – wróciła do mnie cała historia tych ziem. Kiedy mi o niej opowiadano lub kiedy o niej czytałem, to chociaż krwawa, tragiczna, była dla mnie jakoś bezpieczna. To się zdarzyło tutaj, ale kiedyś, wiele lat temu. A teraz dramat rozgrywa się na naszych oczach.

Bug na Twoich obrazach jest zasadniczo wolny od ludzkiej obecności. Z rzadka pojawia się jakaś postać, na ogół jest sam nurt, brzeg, roślinność na brzegu, mgła i światło.
I teraz – jak w to wszystko wprowadzić historię? Tę najnowszą i tę dawną? To jest mój problem. Popatrz, to jest obraz malowany jeszcze przed rozpięciem drutu. Wraz z drutem w tym miejscu pojawił się nowy akcent, jakaś szarość, srebrzystość. Nawet nie plama, tylko smuga. Widziana z oddali, concertina przypomina delikatną biżuterię. No ale dla ludzi i zwierząt jest śmiercionośna. Niby niewiele się zmieniło, a jednak zmieniło się wszystko. Wcześniej granica też przecież istniała, ale wydawała się umowna. Drut po polskiej stronie sprawił, że stała się bardziej ewidentna.

Agresywna.
Ale to dla nas. A dla rzeki? Powstał dylemat: czy rzeka w ogóle to widzi?
Mówi się, że ta rzeka widziała już niejedno. Ale czy rzeczywiście? I jak pokazać to napięcie? Ciągle mnie to dręczyło.

I dlatego na nowych obrazach w nurcie rzeki pojawia się kamień?
Dlatego. Bo kamień kaleczy tę jednolitą powierzchnię. Jest znakiem niepokoju. Albo buntu. Albo może też być figurą bezradności. Zbiegają się tu najrozmaitsze znaczenia. Gdy latem woda w Bugu opada, pojawiają się pojedyncze kamienie, szczególnie tu, na zakolu. W takiej leniwie płynącej wodzie kamień jest zgrzytem, zaburzeniem, solą w oku rzeki.

Czymś, o co woda się potyka.
To jest moja próba odpowiedzi. Ale szukam dalej.

© Rozmawiał WOJCIECH BONOWICZ

STANISŁAW

Mancewicz:
Drugie dno

Trwają Igrzyska Europejskie w Krakowie i okolicach. Rzec trzeba, jest to wydarzenie przeciekawe z różnych powodów, głównie finansowych i politycznych, artystycznych, personalnych, obyczajowych, literackich, a najmniej sportowych. I ta znakomita konstatacja uświadamia nam, że Polska jest krajem drugiego dna. Permanentnie.

Otwarcie było bardzo interesujące, choć słychać liczne głosy krytyczne, naszym zdaniem niesłuszne, bo pozbawione tzw. refleksji. Refleksja i zaduma to w naszym kraju dobra rzadkie. No więc miło było patrzeć na tę wielogodzinną, niezrozumiałą ceremonię, transmitowaną do każdego zakątka kuli ziemskiej, przedstawiającą zgrubnie historię naszego kraju. Mogłoby to trwać – jak na nasz gust – dłużej, bo godzin dwanaście, dobę bądź tydzień, a i tak historia Polski byłaby opowiedziana nie do końca, lecz w skrócie. Wiadomo. Dla nas ważne by było, by oglądali to z nami bez przerw p. Sasin z p. Dudą i p. Majchrowskim. Można by wtedy dodać więcej scenek rekonstruujących prawdziwą historię prawdziwych Polaków. Jakiś zdolny aktor mógłby odtworzyć skok Jarosława Kaczyńskiego przez mur stoczni w Gdańsku, potem jego radość i troskę po wyborze na przewodniczącego NSZZ „Solidarność", potem dramatyczną scenę jego uwięzienia w mroźną noc grudnia, brawurową ucieczkę z Syberii i zainicjowanie burzenia muru w Berlinie i tak dalej. Wiadomo. Tak byśmy to widzieli, gdyby zaproponowano nam jakieś modyfikacje ceremonii otwarcia Igrzysk Europejskich na stadionie Wisły Kraków, ongiś klubu szalenie gwardyjskiego, co znaczy milicyjnego. Impreza ta – co chyba już wie każdy – obfitowała w tzw. Polish Special Effects.

Owe PSE mają swoją długą i fajną historię. Dawno temu nazywaliśmy tak wszelkie tutejsze próby dociągnięcia do osiągnięć technologicznych w mieście Hollywood. W kraju naszym było biednie, nie było na opał i leki, więc trudno było wymagać, by pożar stepu w polskim filmie wyglądał jak pożar stepu, trzęsienie ziemi – dla przykładu – robiło się w łóżku bądź pod stołem, którymi trzęśli pracownicy planu filmowego. Wiadomo. Było biednie, ale szczerze bądź moralnie niepokojąco.

Dziś słowo „biednie" jest zabronione. Polska jest dziś krajem bardzo bogatym. Taka jest wersja oficjalna i to widać. Jednak drugie dno obecnych PSE jest takie, że wszystkie efekty specjalne bardzo dużo kosztują, owszem, co najmniej tyle, ile w Hollywood, ale trudno się zorientować, co w nich kosztuje cokolwiek. Prawdopodobnie najwięcej kosztuje wystawienie faktury, bo przecież październik aż tak nie podrożał. Koszty operacyjne są po prostu większe. W Polsce określenie „koszty operacyjne" ma zawsze drugie dno.

W ogóle i w szczególe trzeba ogłosić, że scenariuszem, wykonawstwem, kolorystyką, czym kto chce, wkroczyliśmy tą imprezą w erę nowej polskiej koncepcji gigantycznych, masowych widowisk z przekazem rozumianym przez garstkę widzów. To daje do myślenia. Igrzyska Europejskie w Krakowie i regionie miały być ludycznym darem dla narodu przed jesiennymi wyborami, to jasne. Trzeba jednak rzec, że coś zgrzytnęło, a raczej gwizdnęło. Kibic to ciekawa istota. Otóż z ust apostolskiego majestatu p. Sasina dowiedzieliśmy się, że buczenie i gwizdanie, gdy on mówi, jest zdradą Polski. Skłonność p. Sasina do utożsamiania siebie z bytami wyższymi robi wrażenie. Polska to ja – powiada p. Sasin po wizycie na stadionie Wisły Kraków. Ta reakcja i wypowiedź muszą mieć drugie dno, na miejscu p. Sasina zrobilibyśmy sobie test na postrzeganie rzeczywistości.

Gdy prześlizgujemy się po drugich dnach polskich wydarzeń, to oczywiście nie może nam umknąć świeże objęcie teki przez Jarosława Kaczyńskiego. Będzie zastępcą Mateusza Morawickiego, będzie jego podwładnym. Oto nie ma w Polsce ani jednego człowieka, który by w to uwierzył, a więc jest jednak coś, co nas wszystkich łączy, co nie wywołuje potępieńczych swarów i nie należy do tzw. polskiego piekiełka. Drugie wicepremierostwo p. Kaczyńskiego to już ostatnie drugie dno, o którym chcieliśmy dziś powiedzieć. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

CZAS NA ROZMOWĘ

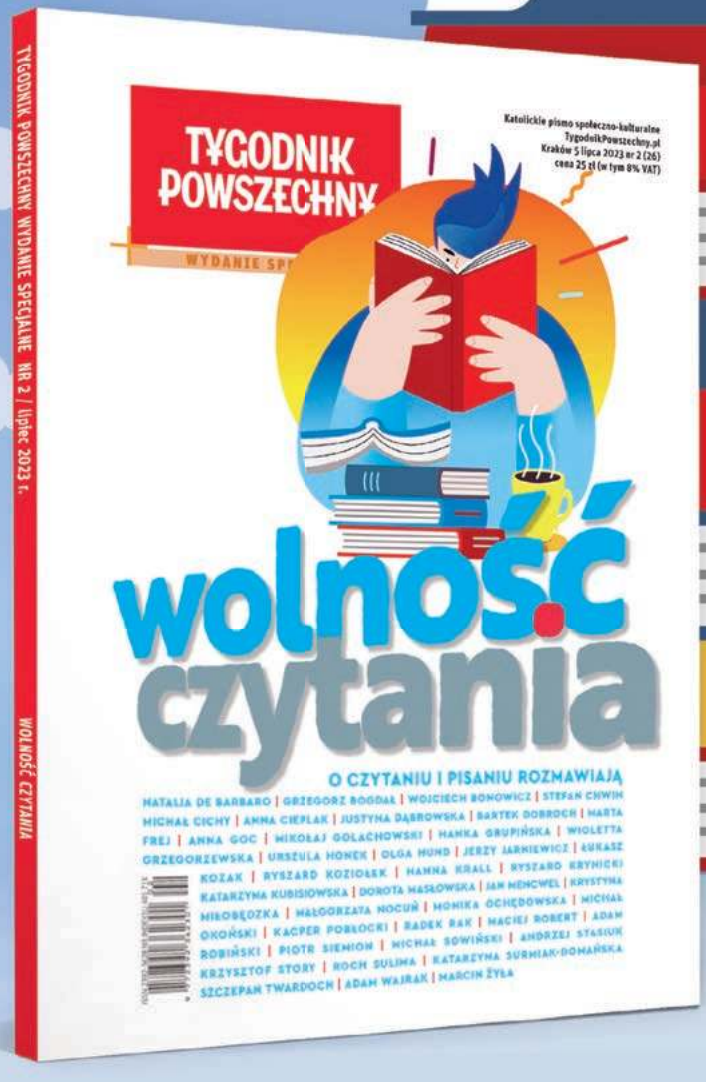

Nowe wydanie specjalne w sprzedaży już od 5 lipca.
Szukaj w miejscach z dobrą prasą
lub zamów swój egzemplarz
na zamowienia@tygodnikpowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WSPÓŁWYDAWCA:

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA:

Kraków

ERGO HESTIA

PRZE KRÓJ Fundacja

ZAKAMARKI

REKLAMA

POLIN

Muzeum Historii Żydów Polskich

WOKÓŁ NAS MORZE OGNIA

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

Wystawa w ramach programu „Nie bądź obojętny. 80. rocznica powstania w getcie warszawskim"

WYSTAWA CZASOWA

WOKÓŁ NAS MORZE OGNIA

Losy żydowskich cywilów podczas powstania w getcie warszawskim

polin.pl

18.04.2023-08.01.2024

ORGANIZATOR

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

WSPÓŁORGANIZATORZY

Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelblum

Centrum Badań nad Zagładą Żydów Instytut Filozofii i Socjologii PAN

PATRON HONOROWY

Europejskie Stowarzyszenie Upamiętnienia Holokaustu

WYSTAWA POWSTAŁA DZIĘKI WSPARCIU

Jankilevitsch Foundation

Yad Vashem

Fundacja EVZ

Fundacja Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość

Przy wsparciu Conference on Jewish Material Claims Against Germany | Sponsorowane przez Fundację „Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość" | Wspierane przez Federalne Ministerstwo Finansów Niemiec

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

THE DAVID BERG FOUNDATION

Fundacja Kronenberga citi handlowy

Heinrich Böll Stiftung Warszawa

Konrad Adenauer Stiftung

Program działań artystycznych finansowany jest przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Islandia Liechtenstein Norwegia grants

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

PARTNERZY

TVN

TVN 24

Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma

Niemiecki Komitet Współpracy z Muzeum POLIN

PARTNERZY MEDIALNI

zwierciadło

sens

Wysokie Obcasy

VOGUE

wyborcza.pl

wyborcza.pl Magazyn

VIVA!

ams

Newsweek

Historia

100% Magazyn Historyczny

K MAG

Multikino

onet